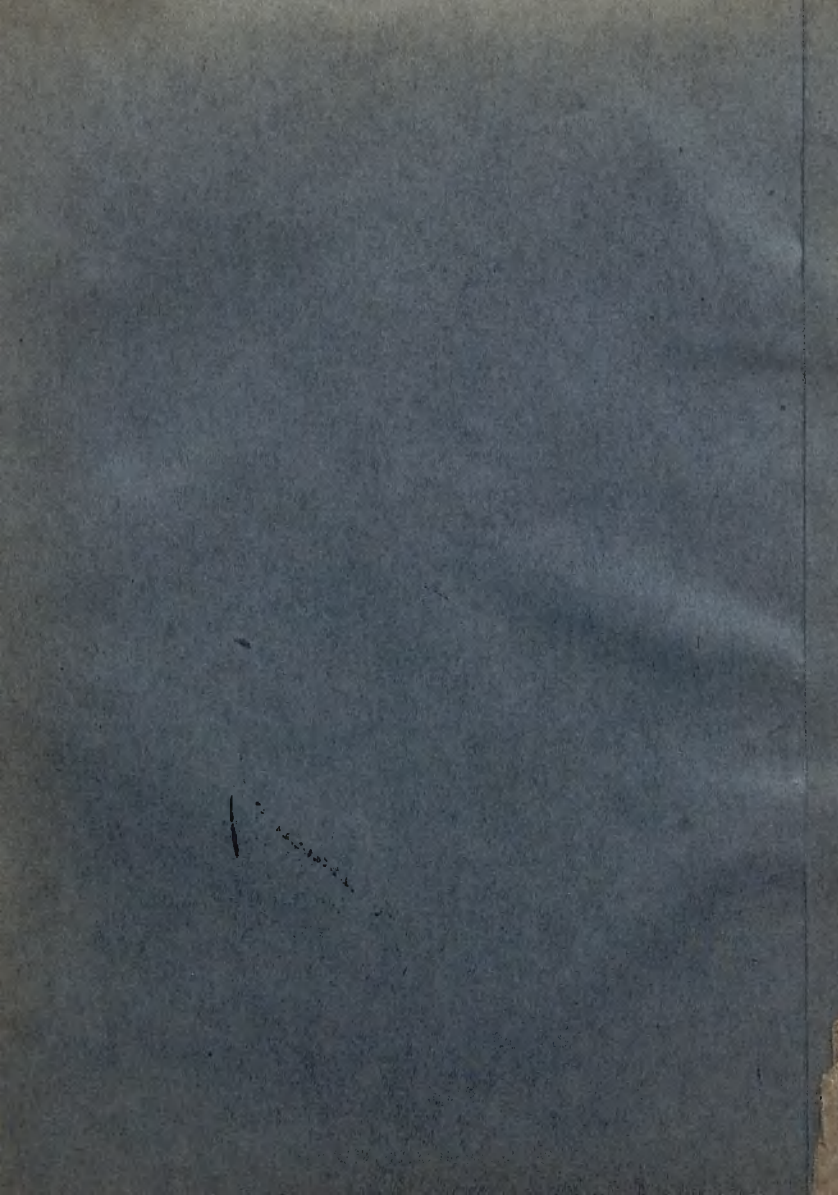




Biblioteka „Siedmiu Groszy“

NR. 9

E. Phillips-Oppenheim

Beztraski arystokrata

Powieść sensacyjna



Polonia

**Drukiem i nakładem: Spółka Wydawn. „Polonia”
Katowice 1926.**

No 6

K 714 193

17553821

D-17133/22



24.03

4,00

ROZDZIAŁ I.

Z powagą i w zamyśleniu opuszczał gmach sądu najwyższego sir Reginald Graham Thursford, wicehrabia de Trawers, a zarazem markiz of Mandelej. Widać było, że chciał co prędzej uciec od tych ponurych murów i przedostać się na drugą stronę placu, który tonał w blaskach majowego poranka.

Obok markiza kroczył jego doradca prawny, nieco zakłopotany i pełen uniżonego szacunku dla swego wysokourodzonego klienta.

Gdy wreszcie przedarli się przez tłum przechodniów, wyrwało się z ust markiza:

— Przekłęta sprawa!

Jego wyniosła, szczupła postać wydawała się jeszcze bardziej wydłużona, usta zaciskały się mocniej, a z oczu przebijał z trudem hamowany gniew.

— Istotnie, wyrok dzisiejszy, jest wręcz katastrofalny! — odparł prawnik, uśmiechając się zlekka.

Markiz wzruszył ramionami i skreślił w prawo w stronę hotelu „Savoy“.

— Myślę, — rzekł. — że zasłużyłem na chwilę odpoczynku i że czas najwyższy, aby pokrzepić się nieco. Proszę, niech pan dotrzyma mi towarzystwa, panie Wydham.

Zajęli jeden z bocznych stolików i milczkiem pochłaniali przekąski.

— I cóż będzie dalej? — zapytał po chwili markiz adwokata.

— Niestety nic dalej nie będzie! — odpowiedział obojętnie prawnik.

— Jak pan to rozumie, panie mecenasie?

— Rozumiem, że dobiegliśmy kresu, gdyż wyrok dzisiejszy jest ostateczny i bezapelacyjny.

Markiz porywczo odstawił kieliszek.

— A Izba Lordów? Wszakże mam prawo odwołać się do niej?

— Niewątpliwie, panie markizie, lecz nie zmieni to istoty rzeczy. Przewodniczący sądu podkreślił z naciskiem, że wyrok nie może ulec żadnej zmianie.

— Ale mimo to wszystko, mogę odwołać się do Izby Lordów. Obywatele angielscy mojej rangi mają jeszcze trochę przywilejów... Nie jesteśmy zmuszeni poddawać się biernie tak zwanym sądom demokratycznym...

Mr. Wyddham odkaszlnął z zakłopotaniem.

— To prawda, panie markizie, wydaje mi się jednak, że Izba Lordów ma ważniejsze sprawy do załatwienia, aniżeli nasza.

— Ważniejsze?

Prawniki spostrzegł swą niezręczność i usiłował ją zatrzeć, rozdmuchał jednak jeszcze więcej podniecone poczucia ambicji swego klienta.

— Książę, pan raczy wziąć pod uwagę, że Izba Lordów jest raczej instytucją, kontrolującą rząd i parlament.

— Czego bo pan nie wymyśli, panie mecenasie! — odparł drwiąco markiz.

Zapanowało przykre milczenie. Radca prawny wyczuwał, jak bardzo oburzały markiza jego uwagi,

znając jednak niefrasobliwość swego klienta, wyczekiwał jego dalszych rozumowań.

— Czyżby pan mecenas faktycznie był tego zdania, że na przyszłość powinienem zaniechać walki i odstąpić ów dworek obok mego pałacu, temu intruzowi?

— Tak postanawia wyrok sądu najwyższego, sir. Akt darowizny tego dworku tak jest jasny i zrozumiały, że nie może wzbudzać żadnych wątpliwości.

Markiz jednak kręcił głową z niedowierzaniem. Twierdzenia jego wieloletniego doradcy prawnego nie trafiały mu do przekonania.

— Gdy spoglądam — odparł, — ze szczytu mego pałacu w Mandeley na wszystkie cztery strony świata, nie widzę żadnych innych obszarów ziemi, prócz moich własnych. A pan twierdzi, że u progu mego, we własnym moim parku istnieje kawał ziemi, na którym pierwszy lepszy Smith, czy Tompson, może bezkarnie gospodarować i rządzić się, jak szara gęś?

— Naturalnie, że nie wydaje mi się to sprawiedliwe! — odrzekł prawnik i skinął na służącego, by napełnił kieliszki. — Z punktu widzenia księcia pana może to nawet być niezrozumiałe, ale ów intruz ma za sobą prawo.

Bynajmniej nie przekonany, zapalił markiz Mandeley cygaro i wypił trochę wina.

Dla mnie jest to niezrozumiałe — odpowiedział — i nie mogę się pogodzić z orzeczeniem sądu. Dla tego też poradzę się jeszcze mego zięcia, sir Roberta Lees, który, jak panu wiadomo, jest człowiekiem całkiem nowoczesnym i jako taki wynajdzie niewątpliwie jakieś rozwiązanie.

Sir Robert jest człowiekiem mądrym! — odrzekł prawnik. Wątpię jednak, czy wobec faktu dokonanego, znajdzie inne rozwiązanie, jak ugodę polubo-

wną z obecnym lokatorem domku. Kodeks prawny też nie przewiduje innego rozwiązania.

— Proces pochłoniął z pewnością dużo pieniędzy, panie mecenasie?

— Jeżeli podliczę koszty wszystkich instancji, do których zwracaliśmy się, ogólna suma przekroczy chyba ośmnaście tysięcy funtów.

— Do stu diabłów! — mruknął markiz. — Wściekle dużo pieniędzy!

— Skoro książę pan poruszył ten temat, — rzekł prawnik, — byłbym mu niezmiernie obowiązany za zmniejszenie swego salda debetowego w naszych księgach...

Na spokojnej dotychczas twarzy markiza odmalowało się zdziwienie.

— Czy mam przez to rozumieć, panie Wadham, że powinienem się troszczyć o pańskie sprawy pieniężne?

Adwokat Wadham zmarszczył brwi, jak gdyby się zastanawiał, jak należy przyjąć słowa markiza. Pojedynawczość wydała mu się najbardziej wskazana.

— Mam wrażenie, — odparł, — że książę pan fałszywie mnie zrozumiał.

— Czy dlatego powierzyłem panu mecenasowi kierownictwo mych interesów, aby co chwila słyszeć, ile mu jestem winien? Wszakże pan ma całkowity wgląd w całokształt mego majątku i powinien orientować się, skąd czerpać fundusze... Czyż ja mieszałem się w te rzeczy?

Pan Wadham z trudnością usiłował ukryć swe zakłopotanie.

— Istotnie, panie markiziel — odparł tonem uniżonym, jak gdyby przepraszał za swą niezręczność. — Ani ja, ani mój wspólnik nie wiemy, skąd

zaczepnąć pieniędzy na pokrycie wyłożonych na proces osiemnastu tysięcy.

Markiz podniósł się i strzepnął starannie z rękawa odrobinę popiołu.

— Przykro mi, — rzekł, — że nasza miła rozmowa zeszła na tory, na których nie potrafię dotrzymać panu kroku. Poza tym przypominam sobie, że córka moja zaprosiła na śniadanie kilku przyjaciół, proszę więc wybaczyć mi, że odchodzę i w sprawie pieniędzy porozumieć się z moim administratorem, panem Merridew. Jest on nader oddany memu domowi i najlepiej wskaże panu fundusze rozporządzalne w najbliższych miesiącach.

Rada ta nie przypadła jednak do smaku panu Wadhamowi, jak się tego spodziewał markiz.

— Do pana Merridew — zauważył — pisaliśmy przed paru tygodniami, chcąc wyrównać dług na rachunku księcia pana. Niestety, odpowiedź jego bardzo była zniechęcająca.

— Tak? Wiem, że Merridew lubi patrzeć na świat przez swe okulary, zakopcone pesymizmem... Proszę jeszcze raz napisać do niego. Nie uwierzy pan, panie Wadham, ile można jeszcze wycisnąć z Merridew, byle go tylko zręcznie przyprzeć do muru.

— Obawiam się, że i książę pan stosuje względem niego jaknajwiększy nacisk! — zauważył trochę ironicznie prawnik.

Zanim jednak markiz zdążył odpowiedzieć, uwagę jego zwrócił głośny śmiech kobiety.

Ku wyjściu szły dwie wytworne damy w towarzystwie kilku młodych ludzi. Jedną z dam przysta-

nęła obok stolika markiza i z całą swobodą zapytała z wyraźnie amerykańskim akcentem:

— Witam pana, panie markiziel

Chwila ta dobrze utkwiała w pamięci adwokata Wadham'a.

Markiz podniósł się i ze zdumieniem spoglądał na Amerykankę. Dwukrotnie nasadzał i wyjmował monokl, nie wymówił jednak słowa, odwrócił się i pociągnął za sobą prawnika ku wyjściu.

— Widział pan coś podobnego? — zapytał Wadham'a. — Oto są przejawy dzisiejszego wychowania! Jakim prawem ośmieliła się ta dama przemówić do mnie, zaczepić mnie?

— Nietylko, że zaczepiła, ale nawet nazwała pana markiza z tytułu...

— Hm! A w dodatku w lokalu publicznym. Pannie Wadham, mam wrażenie, że żyjemy obadwaj w czasach, w których wydajemy się conajmniej staroświeckimi... Ma pan trochę drobnych na taksówkę, prawda? Ja nie potrafię myśleć o tych drobiazgach...

Bezwiednie wyjął adwokat z kieszeni banknot i kilka drobnych monet, zanim jednak zdążył podać markizowi jedną z monet, tenże zgarnął już wszystko, wręczył portierowi, który stał w pobliżu, 10 szylingów i pożegnał adwokata.

— Do widzenia, panie Wadham! Nie wątpię, że pan ożywiony jest najlepszymi chęciami złagodzenia moich przykrości prawnych i mego rozczarowania... Proszę pozdrowić ode mnie swego współnika i zapewnić go o moim szacunku!

Skinął na szofera, a gdy samochód oddalił się, pan Wadham stał wciąż nieruchomy z wyciągniętą próżną ręką.

— Czy mam przywołać taksówkę? — zapytał portier, spodziewając się napiwka?

Napróżno adwokat szukał w kieszeni choć jednej sztuki monety.

— Nie! — odparł. — Wolę pójść piechotą.

ROZDZIAŁ II.

W salonie pałacu przy Grosvenor square 94 rozmawiała lady Letycja Thursford, jedyna niezamężna córka markiza, ze swym szwagrem sir Robertem Lees. Był on trochę głodny i dlatego przyszedł o kwadrans wcześniej. Mimo to był w dobrym usposobieniu. Ze szwagierką swą rozmawiał zawsze bardzo chętnie.

— Czy zauważyłaś, Letycjo, — rzekł, nakładając monokl i obrzucając wzrokiem meble — że wszystko tu u was jest, jakby... zwietrzałe?

Miss Letycja uśmiechnęła się.

— Zwietrzałe? To zwietrzenie jest właśnie patyną naszego rodu. Ty, jako „nouveau riche“ widocznie tego nie pojmujesz.

— Nie wyrywaj się tylko z tym przezwiskiem w obecności twego ojca, proszę! — zauważył z naciśkiem sir Robert.

— Nie polegaj zbyt na twym teściu, Roberte. Przed sześćdziesięciu laty salon ten był może niezbyt gustowny, dziś jednak jest całkiem „comme il faut“.

— Skoro w tak niezwykle sposób oceniasz te stare graty, Letycjo, to muszę ci przyznać rację.

— I tak dobrze, że mamy te meble — dodała

z uśmiechem. — Słyszałam, że magazyny mebli udzielają dziś niechętnie kredytu i śmiem wątpić, czy ojciec mój dostałby choćby jeden garnitur bez zapłaty zgóry.

Sir Robert potakująco kiwnął głową.

Był to mężczyzna zarówno mądry, jak miły. Brunet około czterdziestki, staranny w stroju i zrównoważony w geście.

— Z pewnością ojciec zaprzepaścił dużo pieniędzy w tym procesie — zapytał.

Na twarzy Letycji odmalowało się przykre zakłopotanie.

— Ten proces to bezdenna beczka! — westchnęła z goryczą. — Z całą pewnością ojciec utopi tysiące, a proces mimo to przegra.

— Niemiała historia! — odrzekł sir Robert w zamysleniu. — Rozumiem jednak w zupełności ojca. Dla niego nie do zniesienia jest, aby o sto metrów od pałacu usadowił się ktoś obcy we dworku, który zawsze do was należał.

— Naturalnie, że jest to nieznośne! — odparła potakująco miss Letycja, ale tego nie sposób odmienić. — Stryj Krzysztof odstąpił ten dworek wraz z przyległym ogrodem staremu Vontowi aktem darowizny, w sposób całkowicie odpowiadający literze prawa. Przeczyć temu może jedynie człowiek tak starej daty, jakim jest mój ojciec.

Rozmawiając, lady Letycja krzątała się wśród roślin pokojowych i obrywała zwiędłe listki. Sir Robert przypatrywał się jej z uwagą.

Była wysmukła, wiotką i pełną nieokreślonego wdzięku. Twarz jej, nieco blada, okolona była falą ciemnych włosów. Oczy, pełne wyrazu, patrzyły spokojnie, rozumnie, a zarazem pogodnie, nawet wesoło.

— Świełnie pasujesz do tego średniowiecza! — zauważył sir Robert. A jednocześnie jesteś dla mnie prawdziwą zagadką. Przed chwilą wydawało mi się, że brak ci tylko krynoliny i loków naszych prababek, by cię sportretować do galerii przodków. Ale onegdaj, gdy poszliśmy do kina, byłaś niezaprzeczenie kobietą nawskroś nowoczesną...

— Istotnie, — odparła, — jestem taką, jak mnie trafnie opisałeś. — Posiadam dar przystosowywania się do otoczenia. Gdy wchodzę do naszego domu, czuję się przeniesioną w wieki średnie i odpowiednio do tego postępuję i działam. Gdy jednak doleczą mych uszu dźwięki tej modnej muzyki cygańskiej, która oczarowała Londyn, wówczas dostosowuję się do otoczenia i nawet strój mój odpowiednio do tego dobieram... Ale oto nadchodzi Meg. Jakże wspaniale dziś wygląda.

Podeszli oboje do okna i obserwowali, jak z eleganckiego samochodu wysiadła w całej swej krasie lady Małgorzata Lees.

Lokaj uchylił drzwiczki, a stary marszałek dworu w czarnym tużurku przywitał ją u wejścia, podczas gdy portier w liberii otwierał bramę.

— Tak, Meg jest zawsze bez zarzutu! — rzekł Robert. Jest ona moją najlepszą żoną... Dlaczego ty, Letycejo, nie wychodzisz za nią?

— Być może, że moje staropanieństwo wiąże się z moją nieobecnością na owym słynnym balu w Raynham Court przed dwoma laty... — odparła wesoło.

— Czyżbyś sobie wyobrażała, że zamiast poślubić Meg, mógłbym się być tobie wówczas oświadczyć?

— Nie, dla ciebie byłam za młodą, Robercie. Szkoda, że nie masz młodszego brata.

— Żartujesz, Letty. Z pewnością poślubiłaś by

go tak, jak mnie. Typy mojej rodziny nie są w twym guście, wiem o tym dobrze.

Weszła lady Małgorzata, jak zwykle serdeczna i szczebiotliwa.

— Zaraz poznać Roberta! — rzuciła wesoło. — Naumyślnie przychodzi o kwadrans wcześniej, by spędzić chwilę sam na sam ze swą piękną szwagierką... Kto dziś będzie na śniadaniu, Letycjo? A ojciec gdzie jest?

— Przypuszczalnie powraca z sądu! — rzekła Letycja. — Obawiam się, że będziesz się nudzić, Meg. Ciotka Karolina przyprowadzi ze sobą jakiegoś Amerykanina, którego poznała na okręcie, powracając z Nowego Jorku. Czy upatruje w nim lokatora u siebie w Bayfield, czy też zamierza mnie wydać za niego, nie wiem. W każdym razie napewno snuje jakieś plany.

— Tak, ciotka Karolina jest zawsze pełna pomysłów, — wtrącił sir Robert.

— Zamierza ona poprawić świat! — dorzuciła lady Małgorzata. — Naturalnie, o ile to ją nic nie będzie kosztowało.

— Otóż i ona! — zawołał sir Robert, spoglądając przez okno. — Naturalnie w taksówce. Prawdziwa sknera z tej waszej ciotki.

— Zapewne chce się przypodobać temu Amerykaninowi swymi demokratycznymi nawykami! — dodała uszczypliwie lady Małgorzata. — Ciotka Karolina dąży do prostoty, do powrotu do obyczajów pierwotnych, choć narazie jest wciąż jeszcze wierną klientką paryskiego Worth'a.

Z chwilą zjawienia się księżnej Karoliny w salonie zapanowała atmosfera kosmopolityzmu. Wysooka, jak topola, zgrabna, o wyrazistych rysach twarzy, zawsze uśmiechnięta i ożywiona, była ona uoso-

bieniem nowoczesnej arystokracji. Zamieniła z rodziną kilka uścisków ręki i zwracając się do swego towarzysza, rzuciła swobodnie:

— Letycjo, przedstawiam ci pana Dawida Thain'a. Panie Thain, to moja siostrzenica, lady Letycja Thursford. Pan Thain jest po raz pierwszy w Anglii, trzeba więc, by poznał naszą ojczyznę z jej najlepszej strony. A to moja siostrzenica, lady Małgorzata Less i mąż jej, sir Robert Less... Nie widzę jednak Reginalda?

— Ojca tylko co patrzeć! — odrzekła Letycja. — Nie będziemy jednak na niego czekać, możemy zaraz zasiąść do stołu.

— Doskonale! — odparła księżna Karolina. — Siadajmy. Całe przedpołudnie biegałam z nim po mieście, by mu pokazać naszą stolicę. Skończyliśmy na magazynach.

Podchodząc do dzwonka, przeszła miss Letycja obok Amerykanina, którego spokojny a badawczy wzrok czuła na sobie.

Czemu przypisać, że jego obecność tak zmieniła zwykły nastrój, panujący w tych starych ścianach, do których jaknajmniej pasował. Jego silna postać dyszała życiem, rozłaczał wokoło siebie uczucie siły i tłumionej energii.

Na dzwonek Letycji otworzył lokaj drzwi jadalni, której ściany ozdabiały portrety przodków rodu Thursford-Mandelej.

Lady Letycja wskazała Amerykaninowi miejsce obok siebie. Zdawało się jej, że przyjął zaproszenie z uczuciem ulgi. Widocznie był rad, że uszedł towarzystwa księżnej Karoliny. Po drugiej stronie lady Letycji usiadł sir Robert Lees.

— Ojciec z pewnością poszedł na śniadanie do

klubu, — szepnęła Letycja do swego szwagra. — Zwłaszcza, że wie, iż ciotka Karolina jest u nas.

— W dodatku dzisiejsze posiedzenie sądu prawdopodobnie do reszty odebrało mu humor — dorzucił sir Robert.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i wszedł gospodarz domu.

Spojrzeniem badawczym odrzucił obecnych.

— Proszę mi wybaczyć spóźnienie! — odezwał się uprzejmie. — Jak się masz, Karolino? Dzień dobry, Małgosiu! Nie pytam o twoje zdrowie, gdyż wyglądasz doskonale.

Na skinienie księżnej Karoliny podniósł się Amerykanin i podszedł do markiza. Przywitali się nader uprzejmie, jakby wiedzeni jakimś nieokreślonym uczuciem sympatii.

— Przedstawiam ci pana Dawida Thain'a! — rzekła. — Brat mój, markiz Reginald Mandelej. Reginaldzie, pan Thain jest Amerykaninem.

— Znajomi twoi, Karolino — odparł markiz, — zawsze są mile widziani w moim domu.

Zwracając się do zięcia swego, rzekł markiz:

— Dowiaduję się, Robercie, że wygłosiłeś wczoraj w Izbie gmin mowę o położeniu rolnictwa? Czy znasz się na tych rzeczach? O ile mi wiadomo, nie posiadasz ani piędzi ziemi.

Sir Robert uśmiechnął się. — Właśnie dlatego mogę przemawiać bezstronnie, nie rządząc się żadnymi wpływami obcymi, ani uprzedzeniami.

— Uprzedzenia ma każdy w tej materii, — odparł markiz.

— Zostaw, ojcze, tę wymianę poglądów, — wtrąciła Letycja, — a opowiedz nam lepiej, co cię spotkało w sądzie

Dopiero gdy sobie napełnił drugi kieliszek, zaśpokoił markiz ciekawość swej młodszej córki.

— Z żalem muszę wyznać, że sprawę przegrałem. Bardzo niesympatyczny pan w peruce i todze przewodniczył posiedzeniu, a jak się dowiaduję, ma on zostać wkrótce przewodniczącym Izby Lordów, co mi uniemożliwi odwołanie się do tej instancji.

— Boli mnie to bardzo, — dorzucił sir Robert, — zwłaszcza, że pewno i koszty procesu musiały być znaczne.

— O, tak! — rzekł markiz. — Mój doradca prawny aż nadto nad tem utyskiwał.

— Sprawa jest więc ostatecznie pogrzebana? — wtrąciła lady Małgorzata.

— Tak by się wydawało — rzekł markiz — i tego samego zdania jest mój radca prawny. Osobiście nie mogę się jednak pogodzić z myślą, aby nasze skądinąd sprawiedliwe prawa odmówiły mi zadośćuczynienia.

— O co tam właściwie chodzi, Reginaldzie? — wtrąciła księżna Karolina. — Wprawdzie nieraz słyszałam o tej historii, ale mam taką krótką pamięć... Na sprawach sądowych nic się nie znam. Ilekroć jednak otwieram gazetę, spostrzegam zawsze nagłówki: Król-markiz Mandelej, lub też: Król, markiz Mandelej-Vont. Czyż ów Vont nie był dawniej naszym oficjalistą? Zdaje się, że marszałkiem dworu? Przypominam sobie to nazwisko...

Markiz zmarszczył brwi.

— Nie tylko ty jedna, Karolino, — odrzekł, — nie znasz źródła tej sprawy. Drohne, a niezręczne posunięcie mego stryja, po którym odziedziczyłem tytuł markiza Mandelej, sprawiło, że darował on klin parku w Mandelej wraz z dworkiem, leżącym naprzeciw pałacu, niejakiemu Vontowi, który od sze-

regu lat służył w naszej rodzinie. Vont odnosił się do mnie... złowrogo. Po śmierci swej żony wyjechał w świat i przez 20 lat dworek stał pustkami... Gdy na mnie spadł tytuł markiza Mandeley próbowałem drogą układu polubownego odzyskać utracony kawałek parku, jednakże wszystkie moje propozycje spotykały się z oporem Vonta, który nadsyłał pieniądze na koszty sądowe z Ameryki, co świadczy, że doroził się tam majątku... Obecnie, gdy proces przegrałem, wygląda na to, jakby Vont zamierzał powrócić do Anglii i osiąść we dworku na stałe, o kilkadziesiąt metrów od naszego pałacu...

Sir Robert wybuchł śmiechem.

— Doprawdy nie zły kawał! — rzekł głośno.

— Obawiam się, kochany Robercie, — wtrącił markiz, — że twój humor wszedł w związku z twym mandatem do parlamentu na... niewłaściwe tory.

— Jak nazywa się, panie markizie, pański przeciwnik? — zapytał Amerykanin tonem, który brzmiał jak dysonans.

— Ryszard Vont! Ameryka jest tak wielka, że nawet przypadek nie mógł zrządzić, aby mógł pan spotkać tego człowieka, panie Thain.

— Pasażer o tym nazwisku przybył do Anglii na tym samym parowcu razem ze mną przed trzema tygodniami. Przypuszczalnie jest to ten sam Vont, z którym pan markiz procesuje się.

— Jakże mały jest świat! — odrzekł markiz. — Nie chcę jednak dłużej nudzić państwa tą sprawą osobistą. Może mi pan poświęci, panie Thain, po śniadaniu chwilę rozmowy. Chciałbym nieco więcej dowiedzieć się o tym Vontcie ze statku.

Wkrótce potem towarzystwo opuściło jadalnię. Panie przeszły do salonu, a panowie do gabinetu gospodarza na cygara.

Gdy miss Letycja przechodziła obok Thaina, doszedł go lekki zapach lawendy, tak bardzo dostrojony do siedziby markiza w tych ścianach, trącących myszką czasu

ROZDZIAŁ III.

Podczas gdy sir Robert wolał dotrzymać towarzystwa paniom, gospodarz domu wraz ze swym amerykańskim gościem usiedli w wygodnych fotelach gabinetu.

Gdy lokaj podał likiery i cygara, markiz rozpoczął rozmowę, o którą prosił:

— Cieszy mnie, że mogę z panem pomówić, panie Thain. Sądzę, że fotel jest dla pana dość wygodny?

— Dziękuję, najzupełniej!

— A jak panu smakują moje „Regalitas“? O ile są zbyt łagodne dla pana, znajdę mocniejsze.

— Dziękuję uprzejmie, najchętniej palę łagodne cygara.

— Przyznam się szczerze, że co do mnie, wolę dobrego papierosa. A więc pan poznał w czasie podróży Vont'a? W jaki sposób zetknął się pan z nim?

— Ryszard Vont miał z moim służącym wspólną kabinę drugiej klasy! — wyjaśnił Amerykanin. — Kilka razy musiałem przywołać mego służącego i wówczas poznałem Vont'a.

— To ciekawe! — wycodził markiz. — Hm, druga klasa? Widocznie Vont'owi nie brak było pieniędzy, skoro mógł wytrzymać znaczne koszty procesu ze mną.

— Boże drogi... może i miał dość pieniędzy, co jednak nie przeszkadza, że mógł się czuć lepiej w kabini 2-ej klasy. Wspomniał, że w Anglii był strzelcem nadwornym, a później leśniczym pewnego domu arystokratycznego i, że wraca do ojczyzny.

— Czy nie podawał innych przyczyn, które go skłoniły do powrotu do Anglii?

— Nie, Vont był na ogół mało mówny. Nie mogłem niczego się od niego dowiedzieć poza tym, że wraca do kraju, by wykonać jakieś dawno projektowane zamiary.

Markiz ściągnął brwi.

— Domyślam się... — rzekł. — Wraca, by mi dokuczać i grać mi na nerwach... Czy nie opowiadał panu szczegółów ze swego życia?

— Nie! O swej przeszłości nigdy nie mówił.

— Ryszard Vont należał do tych prostaków, których niedostateczne wykształcenie uczyniło malkontentami. Przed laty, za czasów pańszczyzny byli oni użytecznymi. Dziś wobec tego ohydneho liberalizmu ludzie, podobni do Vont'a, są niemożliwi. Nie znaleziono dla nich dotychczas odpowiedniego miejsca na świecie...

Amerykanin nie odpowiadał na te utyskiwania arystokraty.

Markiz uważał to milczenie za całkiem naturalne i po krótkiej chwili znów mówił.

— Proszę mi wybaczyć, panie Thain, że pana nudzę. Jako Amerykanin z pewnością gani pan w duchu moje staroświeckie poglądy. Ameryka wydaje mi się wielkim piecem, który wszystko przetapia na jedną modłę. W pańskiej ojczyźnie nie znalazłbym pewnie dla siebie spokojnego kąta. Na to jestem zbyt Anglikiem. Przodkowie moi, anglosasi, od wieków osiadli w Anglii, wpoili we mnie te feudalne poglądy,

które trudno dostosować do dzisiejszych czasów... Dlatego też na sprawę Vont'a patrzę może z punktu widzenia, który panu, jako Amerykaninowi, wydaje się pewno niezrozumiałym lub dziwacznym. Ale ja z pewnością nudzę pana?...

— Ależ przeciwnie, panie markiziel — odpowiedział Thain uprzejmie.

— Gdy oddziedziczyłem tytuł i dobra Mandelej, Ryszard Vont był leśniczym u nas. Żona moja zmarła wówczas przed rokiem. Vont, który uratował był życie memu dziadowi, cieszył się u nas wielu względami. Niestety ożenił się z panienką z lepszej sfery, zdaje mi się z nauczycielką. Gdy przyjechałem do Mandelej, mieszkał już tam jako wdowiec, z córką swoją i siostrzeńcem, małym chłopcem. Córka z usposobienia i zdolności przypominała żywo matkę i czuła się nieszczęśliwa wśród tych prosiaków. Zakochałem się w niej, a ona odwzajemniała moje uczucia... Przed dwustu laty chłop uważałby to sobie za zaszczyt, ale w obecnej dobie wyzwolenia, Vont uważał się za pokrzywdzonego... Czy pan coś powiedział, panie Thain?... Nie?... Tak mi się wydawało, że słyszę głos pana. Widocznie omyliłem się...

Thain poruszył ustami, z których jednak żaden dźwięk nie wyszedł.

— Jak dotychczas, opowiadanie moje nie zawiera nic godnego uwagi — kontynuował markiz. — Wziąłem to, co mi jako panu tych włości z prawa zwyczajowego przysługiwało... Atoli Vont, ze swymi nowoczesnymi przekonaniemami o prawach człowieka czuł i myślał inaczej. Stał się tak gwałtowny i nieznosny, że byłem zmuszony zwolnić go ostatecznie... Gdy i to nie pomogło, zdecydowałem się dla uniknięcia ciągłych scen i nieporozumień opuścić na parę lat Anglię i wyjechać na kontynent.

— A co się działo w Mandeley w czasie pańskiej nieobecności? — spytał Thain.

— Wkrótce po moim wyjeździe Vont wyemigrował do Ameryki ze swym siostrzeńcem, pozostawiając dworek pod opieką jakiejś swej krewnej. Wprawdzie ta ostatnia nie zachowywała się tak wyzywająco wobec nas jak Vont, jednakże jej ciągła obecność tuż pod pałacem była dla mnie zbyt uciążliwa. Należała np. do gminy metodystów i chodziła do kościoła, jakby naumyślnie w tych samych godzinach, co moja rodzina. Nigdy przy tym nie pozdrawiała nas, ani nie okazywała należnego nam szacunku...

— Tak, to było wstrętne... — zauważył Thain z lekką ironią.

— Po jej śmierci — ciągnął dalej markiz — poleciłem memu adwokatowi, by zbadał prawomocność aktu darowizny. Nosiłem się z myślą odkupienia tego kawałka parku, którego wartość wynosi co najwyżej paręset funtów. Zdołałem odszukać adwokata Vont'a i ofiarowałem za ów klin dwa tysiące funtów... Niestety spotkałem się z odmową przy tym w formie tak niegodziwej, że dotychczas wstydzę się na samo jej wspomnienie...

— Zdecydowałem się wówczas — mówił po chwili przerwy — dojść do posiadania wyrwanego mi kawałka ziemi drogą procesu, który ciągnął się osiem lat i właśnie dziś zakończony został w sposób dla mnie niekorzystny i ostateczny... Vont pozostaje właścicielem klinu i dworku. Na koszty procesu wyłożył napewno pięć do sześciu tysięcy funtów, musiał więc doskonale zarabiać w Ameryce.

— Dziwi mnie bardzo, — rzekł Thain — że Vont, którego z tym skrawkiem ziemi łączy tyle niemiłych wspomnień, upiera się, by pozostać przy swej własności.

— I mnie też zastanawia ten jego upór — odpowiedział markiz. — Ale skończmy już z tą historią i przejdźmy do salonu, gdzie oczekują nas panie.

— Jeszcze jedno pytanie, panie markizie! — rzekł Amerykanin. — Co się stało z córką Vont'a?

Pytanie to mocno zmieszało markiza.

Wstał i nieco zbladł. Po chwili jednak odzyskał równowagę i strzepując starannie popiół z papierosa z rękawa, odparł:

— Pani ta wywalczyła sobie pozycję, odpowiadając jej wykształceniu i zaletom serca oraz osobistemu czarowi... Siostra moja napewno jest zdziwiona, że tak długo pozostajemy sami a i moja córka radaby niewątpliwie pogłębić zawartą z panem powierzchowną znajomość.

Thain jednak nie dał za wygraną i zadał markizowi jeszcze jedno pytanie:

— A więc ta pani żyje?

— Tak jest, żyje! — odpowiedział markiz.

Lokaj otworzył drzwi do salonu i markiz zaprowadził swego gościa do pań.

Gdy wchodzili, sir Robert powstał i skinął na Amerykanina.

— Na litość Boga, panie Thain — szepnął mu do ucha. — niech pan nie daje żadnych finansowych rad memu teściowi. Wyobraża on sobie, że powołany jest do odzyskania majątku Mandelej'ów i w związku z tym wdaje się nawet w spekulacje giełdowe. Markiz jest naprawdę ozdobą swego rodu, ale jako teść bywa częstokroć zbyt kosztowny.

Dawid Thain uśmiechnął się ironicznie.

— Będę się miał na baczności! — przyrzekł.

ROZDZIAŁ IV.

Tegoż dnia złożył markiz jeszcze jedną wizytę.

Wkrótce po wyjściu Thain'a kazał podjechać szoferowi i dał mu znak. Szofer widocznie zrozumiał, dokąd ma jechać, gdyż bez żadnego pytania, podążył w stronę Battersea. Przed jednym z nowoczesnych domów przystanął i markiz wysiadł.

Przy drzwiach, na których widniał metalowy szyldzik z napisem „Marta Hannaway“, przystanął i nacisnął guzik elektryczny. Pokojowej, która uchyliła drzwi, podał rękawiczki, kapelusz i laskę, po czym nie pukając, wszedł do niewielkiego, ale ze smakiem umeblowanego saloniku.

Na widok jego oderwała się od maszyny do pisania młoda przystojna kobieta, wyciągając ręce z zabrudzonymi cokolwiek taśmą maszynową palcami.

— Mam na wykończeniu nowy tom powieści! — rzekła z uśmiechem. — Spocznij na chwilę, aż umyję ręce.

Marszcząc czoło, podszedł markiz do maszyny, po czym ujął za rękę gospodynię domu i wycisnął na niej pocałunek.

— Marto droga! — rzekł z wyrzutem. — Czy naprawdę potrzebujesz się tak męczyć?

— Gdybym nie musiała, nie zapędzonoby mnie nawet batem do tej roboty — odrzekła wesoło. —

Wież, proszę, nowy numer „Graphic’a” i usiądź na chwilę.

Opuściła pokój, niebawem jednak powróciła z umyтыми rękami.

Ubrana była z niewymuszoną elegancją, a obcisła suknia uwydatniała jej kształtną postać.

Usiadła naprzeciw markiza w fotelu na biegunach i zapaliła papierosa.

— Jakże zakończył się twój proces, Reginaldzie? — zapytała nieśmiało.

— Przegrałem! — odrzekł.

— Przeczuwałam to. Z pewnością drogo cię ta zabawa kosztowała?

— Tak drogo, że nawet moi obrońcy prawni smutnie kiwają głowami.

Po chwili milczenia młoda kobieta spojrzała badawczo na markiza.

— Powróci on zatem do Mandelej?. Hm! Jak to się nieraz dziwnie na tym świecie składa. — westchnęła. — Co też go skłania do powrotu?

— Upór. — odparł markiz. — Bezmyślna, wściekła potrzeba dokuczania mi.

— A ów chłopiec? Czy słyszałeś o nim cośkolwiek, Regy?

— Nic! Nawet mi na myśl nie przyszło dowiadywać się o chłopaku.

— Gdybyśmy my, ludzie nowoczesni — zauważyła Marta. — posiadali choć część tej energii, jaka cechowała dawną generację...

— Marto, — odparł — jesteś chyba człowiekiem tej miary, by odróżnić energię od zawziętości. Ojciec twój sam sobie popsuł życie, upierając się przy swych ciasnych i prostych myślach. Tobie każdy dzień przynosi coś nowego, doznajesz ciągle nowych wrażeń!

zdobywasz powodzenie w twym zawodzie. Człowiek natomiast, który wytknął sobie jeden tylko cel w życiu, spada do roli bezmyślnej maszyny.

— Twoje rozumowanie jest niewątpliwie logiczne, Reginaldzie. — odparła Marta. — Powróćmy jednak do twego procesu tak tragicznego... Czy domyślasz się, co ojciec zamierza robić w Mandeley?

— Nie mam pojęcia. — odparł.

— Minęło dziewiętnaście lat od czasu, gdyśmy się poznali. Czyżby po tylu latach, znów zamyślał on przesiadywać całymi dniami w swym ogrodzie i złożyć wam? A może powziął jakiś nowy plan zemsty?

— Był czas, — rzekł markiz. — gdy dzierżawcy moi czaili się wieczorami pod płotem, by mnie potrącić. Ośmielali się nawet pukać ze swych pistoletów, co ich bawiło. Z Vont'em jednak sprawa przybierała podkład poważniejszy... Przypominam sobie, że był on znakomitym strzelcem.

— Z punktu widzenia psychologicznego, postępowanie ojca jest nawet interesujące. — rzekła Marta. — Gdyby cię zastrzelił przed dziewiętnastu laty w uniesieniu, mógłby być nawet uniewinniony. Ale on opuścił kraj i zachował w sercu nienasyconą chęć zemsty. Po latach powraca... Co byś zrobił, gdybyś go zobaczył w ogrodzie?

— Zaczepiłbym go. Być może, że przez 20 lat, jakie spędził za oceanem, zapomniał o swej dawnej u nas służbie, tem niemniej instynktownie mógłby mi okazać szacunek...

— Jakże ty zawsze dumny jesteś, Reginaldzie! — zauważyła cicho.

Markiz zmarszczył czoło. Marta była wprawdzie jedynym człowiekiem, którego uważał za potrzebnego w swym życiu, wydawało mu się jednak, że i ona

była w stanie drwić czasem z jego przestarzałych poglądów.

— Nie psujmy sobie krótkich chwil naszego spotkania dociekaniem zamiarów Vont'a! — przerwał. — Nie tracę nadziei, że znajdę sposób usunięcia intruza z mej posiadłości.

— Mnie zaciekawia, co się stało z chłopcem! — dorzuciła Marta.

— O ile Vont okaże należny mi szacunek, zapytam go o chłopca. — odparł.

— Kiedy zamierzasz jechać do Mandeley? — zapytała.

— Narazie nie śpieszy mi się opuszczać Londynu! — odparł.

— Gdybyś jednak wyjechał, skorzystałabym z możliwości udzielenia sobie krótkiego urlopu, by zobaczyć Rivierę.

Markiz spojrział na nią zdziwiony.

— Rivera? O tej porze roku? Czy słyszałaś, aby ktokolwiek z towarzystwa wybierał się tam obecnie? Marta śmiała się serdecznie.

— Jakiś ty nie skomplikowany! Czy nie wiesz, jak lubię podróżować? Przytem Elżbieta Grant chce mi towarzyszyć przed swymi występami w jesieni.

Zdziwienie markiza wzrosło, a w głosie jego brzmiało uczucie rezygnacji.

— O ile byś rzeczywiście miała jechać, polecę memu adwokatowi, panu Wadhamowi, by zwiększył twoją rentę. Nie mogę utaić, że bardzo mi cię będzie brak.

Słowa jego były dla niej niespodzianką.

Wstała i siadła obok niego.

— Czy naprawdę będzie ci mnie brak? — szepnęła, gładząc jego rękę. — To dziwnel



— Czyż nie okazywałem ci zawsze, droga Marto, przywiązania i szacunku?

Jej śmiech brzmiał nieco nie szczerze.

— Nie wątpiłam nigdy o twym przywiązaniu. Ale wspomniałeś o mej rencie... Przrzeknij, że to, co ci powiem, przyjmiesz bez żadnej urazy...

— Rozumie się samo przez się. Mów, Marto, proszę.

Podniosła się i podeszła do biurka. Wyjęła list, który podała markizowi.

Nałożył monokl i zaczął czytać:

„Wielce szanowna i łaskawa pani! Czuujemy się w obowiązku wyjaśnić powody, dla których nie przekazaliśmy Jej za ostatnie dwa półrocza, renty, myznaczonej przez pana markiza Mandeley. Niestety, nie rozporządzamy już od dłuższego czasu żadnymi funduszami pana markiza, o czym go niejednokrotnie powiadomiliśmy. Ponieważ listy nasze pozostały bez odpowiedzi, uważamy za wskazane, by Szanowna Pani skomunikowała się z panem markizem bezpośrednio.

*Z wysokim szacunkiem
W a d h a m j r . & D i c k s o n*“

Zwolna złożył markiz list swego radcy prawnego i zdjął monokl.

Na twarzy jego nie drgnął ani jeden muskuł i pozornie zachował całkowity spokój. Marta jednak, która znała go lepiej niż inni, wiedziała, jak bardzo cierpiał i jak głęboko był upokorzony.

— Niech cię to nie martwi, Reginaldzie. — rzekła ze współczuciem — Wiesz, jakie powodzenie ma moja ostatnia powieść, a mój artykuł w „Wieku“ przyniósł mi 30 funtów. Robię zatem majątek, jak

widzisz. Jeżeli ci pokazałam list adwokata, to jedynie dlatego, że podobnych listów i to do osób wyżej ode mnie stojących, mogło być więcej. Pragnęłam więc ostrzec cię, zwłaszcza, że lubisz nieraz bujać w obłokach, bez troski.

— Wdzięczny ci jestem Marto, za twą cierpliwość i wyrozumiałość. — rzekł. — Mam ci jednak za złe, że tak długo milczałaś. Muszę to natychmiast uregulować. Obawiam się, że firma Wadham zbyt ulega nowoczesnym metodom postępowania. Zaraz tam pojadę.

— Prosiłam cię, abyś się tymi rzeczami nie przejmował, Regy! — rzekła cichym głosem. — Chciałam ci wyznać całą prawdę...

Od miesiący zbroiła się Marta w odwagę do tej nieuniknionej rozmowy, gdy jednak przyszła odpowiednia chwila, brak jej było słów i zwlekała.

— Żadna ofiara nie jest dla mnie za wielka, by ci ułatwić życie, droga Marto! — oświadczył markiz. — Cieszy mnie, że to niewłaściwe postępowanie adwokata nie sprawiło ci kłopotu. Z drugiej strony jednak nie sądzę, abyś była zmuszona pracować przy tej okropnej maszynie do pisania...

— Nieraz muszę na niej pisać, — odparła. — by myśli moje wiernie przenieść na papier. Zdarza się, że oddaję robotę maszynistkom, bo też prowadzę ożywioną korespondencję i mam do załatwienia mnóstwo listów. Znajomi moi skarżą się często, że nie mogą odczytać mej bazgraniny, wolę zatem maszynę...

— Ja zawsze odczytywałam twe listy z łatwością! — odrzekł markiz.

— Nic dziwnego, przez tyle lat przyzwyczaiłeś się do mego pisma.

Przyciągnął ją do siebie i wycisnął pocałunek na jej ustach.

Raptem odskoczył.

W drzwiach ukazała się służąca, niosąc serwis do herbaty.

— Tak, — ciągnęła dalej Marta, szybko opanowawszy się. — miałeś niejednokrotnie sposobność odcyfrowywać moje bazgroty tak, jak ja w twych długich latach naszego współżycia nauczyłam się, jak przygotowywać ci herbatę. Na tych drobnostkach opiera się harmonia naszego życia... Czy wiesz, Reginaldzie, którą cnotę uważam za najwyższą? Wierność względem ludzi, do których mamy przywiązanie oraz stałość w naszych przekonaniach.

— Mam wrażenie, — rzekł markiz. — że ci przeszkodziłem w budowie twego nowego romansu?

— Nie! — odparła. — Romansów nie fabrykuje i dlatego książki moje mają takie uznanie. Podpatruję życie trzeźwo i staram się wiernie je odtwarzać.

— Możemy sobie powinszować zgodności charakterów! — dorzucił markiz.

Napełniła filiżanki i nałożyła mu pełen talerzyk doskonałych wafli, które z zadowoleniem spożywał.

Po chwili wstała.

— Wybieram się na zebranie, Regy. Czy podwieziesz mnie do Piccadilly?

— Chętnie! — odrzekł.

Wyszła z pokoju, by się przebrać.

Markiz pograżył się w zamyśleniu. Jak ciężko odczuł to przerwane spotkanie o szarej godzinie.

Gdy Marta zjawiła się, zeszedł z nią do samochodu i pomógł jej wsiąść. Po kilku minutach dojechali do miejsca zebrania. Pomógł jej wysiąść i zapytał, czy ma jej pozostawić samochód.

— Dziękuję! — rzekła. — Spotkam tu wielu znajomych i niezawodnie pozostanę parę godzin. Przypuszczam, że zjem tu również kolację. Czy przyj-

dziesz znów w przyszłą środę? Muszę wykończyć mój artykuł i wysłać go do środy parowcem, który we wtorek przed wieczorem odchodzi do Nowego Jorku.

— Dobrze, droga. Zrobię, jak sobie życzysz!

Skinęła doń raz jeszcze u wejścia na zebranie i markiz wsiadł do auta.

Przeszła długa chwila zanim wydał rozkaz szoferowi:

— Do klubu!

Jak ciężkimi chmurami zaciągnęło się niebo! Jak chłodny był drobny i przenikający deszczyk. Ogarnęło go uczucie pustki.

„Jakiż mam cel w życiu?” — pomyślał

ROZDZIAŁ V.

Biuro adwokatów Wadham jr. & Dickson urządzone było z dużym smakiem. Mieściło się w starym gmachu na „Lincoln's Inn“, który samym już wyglądem ciemnym, ponurym, wskazywał na to, że prawo jest tutaj specjalnie szanowane. W poczekalni było niewielu interesantów. Goniec biurowy szybko przeknął cukierek gumowy, który chciwie ssał i podskoczył do nowoprzybyłego.

— Chcę mówić z panem Wadham-ojcem, lub z jednym z szefów firmy! — rzekł markiz.

— Kogo mam zameldować? — spytał goniec uniżenie.

— Markiza Mandeleyle! — usłyszał w odpowiedzi.

Goniec pośpiesznie podał krzesło i znikł za drzwiami. Markiz odsunął jednak krzesło i stojąc, rozglądał się niecierpliwie.

Za chwilę goniec już był z powrotem, a tuż za nim wbiegł zadyszony Wadham-junior.

— Co za zaszczyt nas spotykał Księżę-pan w naszym biurze! — mówił, wyciągając rękę do markiza.

Cofnął ją spieszenie, widząc, że markiz nieskory jest do przywitań.

— Ojciec mój prosi. Czy księżę-pan pozwoli, że wskażę drogę?

Młody Wadham podobny był do swego ojca, jak dwie krople wody, był jednak więcej od starego wygadany. Pan Wadham-senior wstał pośpiesznie, ujrzawszy wchodzącego markiza. Junior podał fotel na którym markiz, zdjawszy rękawiczki i podciągając spodnie, zwolna zajął miejsce.

— Zaszczyt dla mnie rzadki! — rozpoczął oględnie pan Wadham-senior.

— Mimo to wolałbym zaoszczędzić sobie tej wizyty! — odparł zimno markiz.

— Książę-pan raczy przypomnieć sobie, że od początku byłem przeciwny procesowi! — zauważył adwokat.

— Owszem zgadzam się, że pańska rada była trafna. Jednakże niema już lekarstwa. Prawda?

— Tym razem wasza książęca mość ma słuszość!

— Przyszedłem, — ciągnął dalej markiz. — by z całym naciskiem zaprotestować przeciw postępowaniu firmy pańskiej w stosunku do mnie!

— Doprawdy bardzo mi jest przykro...

— Przypadkowo dowiedziałem się wczoraj po południu, że panowie od pół roku nie przekazują panie Marcie Hannaway wyznaczonej jej przeze mnie renty.

— Proszę nie przypisywać nam winy. Od października roku ubiegłego zwracaliśmy uwagę księcia-pana na niepomysłny stan jego majątku. Dochody, jakie administracja jego dóbr przelewała do banku, wystarczyły zaledwie na opłacenie procentów od długów hipotecznych. Jakże więc można mówić o rencie dla wspomnianej damy?. Czyż mogłem posyłać jej czeki, których by bank nie honorował? Markiz bebnił nerwowo palcami po biurku adwokatów. Rzecz dziwna, wydawał on się obu Wadham'om aniołem,

karzącym ich biczem ognistym. Wstydzili się obydwaj swej małoduszności, choć jako prawnicy nie poczuwali się do żadnej winy.

— Przecież pan mecenas wie, że listów pańskich nie czytam! — rzekł markiz, obrzucając Wadham'a seniora wzrokiem pełnym wyrzutu.

Wadham-senior z cicha pokasływał, junior wsunął głębiej do kieszeni rękę.

Obydwaj byli zawstydzeni i onieśmieleni.

— Nie wiedziałem więc, jakie tematy poruszał pan w swych listach... — ciągnął dalej markiz.

Wadham-junior mniej był przybity, starszy natomiast czuł się powalony na obie dwie łopatki. To też syn zdobył się po dłuższej chwili na odpowiedź:

— Książę-pan nie może czynić nas odpowiedzialnymi za to, że nie czyta naszych listów! — wtrącił nieśmiało.

Markiz, jak gdyby dopiero teraz spostrzegł obecność Wadham'a-juniora.

— Myślałem, — odrzekł. — że panowie, będąc tyle lat rzecznikami interesów moich rodzinnych, dość mieli czasu, by przystosować się do moich nawyków.

Słowa markiza brzmiały w uszach Wadham'ów jak trąba jerychońska.

— Niewątpliwie zgłosiłbym się do księcia-pana osobiście, — rzekł Wadham-senior. — gdyby nie fakt, że ta młoda dama prosiła nas stanowczo, abyśmy zaniechali przekazywania jej renty, albowiem jej sukcesy literackie dostatecznie ją zabezpieczają. Dlatego też obracaliśmy te fundusze na zaspokojenie różnych drobnych zobowiązań...

— Jak dotychczas, to ja sam rozstrzygałem, na jakie cele należy obracać dochody z mych majątków!

• **zaznaczył z naciskiem markiz.**

— Nigdy nie kwestionowaliśmy tego prawa księcia-pana! — rzekł pan Wadham-senior. — Nie mogę jednak pominąć milczeniem tego, że administrator księcia-pana domaga się stale, abyśmy płacili należności dostawców do pałacu przy Grosvenor square.

— Wydaje mi się, że lwia część mych dochodów obracana jest na opłacanie różnych rachunków? — nadmienił markiz, nieco zirytowany.

Obydwaj Wadham'owie oniemieli. Starszy, choć zdawał sobie sprawę, że należy dać markizowi należytą odpowiedź nie mógł dobrać słów, młodszy zaś, uważając, że jest zbyt cichy, udawał głuchego.

— Co się tyczy renty miss Hannaway, to porozumiem się z nią osobiście i zakomunikuję panom moją decyzję. Natomiast proszę mi powiedzieć, ile wolnej gotówki mają panowie dla mnie osobiście?

— Książę-pan pyta o gotówkę? — wykrztusił, ciężko dysząc, Wadham-senior.

— Tak, o gotówkę! Wszakże teraz przypada termin, w którym dzierżawcy moi winni płacić czynsze?

Wadham-senior osłupiał. Nie wiedział, czy markiz kpi, czy o drogę pyta.

— Gdyby nawet dzierżawcy płacili wszystko punktualnie, to i tak nie starczyłoby na zaspokojenie procentów i kosztów. Wkrótce będziemy zmuszeni prosić o nową pożyczkę...

— Te bankiety stoją mi kością w gardle! — rzekł markiz zniecierpliwiony.

Słowa te nie wymagały od prawników żadnej odpowiedzi. Milczeli przeto, podczas gdy markiz mówił dalej z pewnym zastanowieniem:

— Do cyfr nie mam głowy. Chciałbym jednak wiedzieć, ile wynoszą dochody moje kwartalnie?

— Siedem do ośmiu tysięcy funtów! — odrzekł prawnik. — Suma ta powinna wpłynąć w tych dniach

od dzierżawców. Pan Merridew przelewa ją zazwyczaj punktualnie. Obciążenia hipoteczne pochłaniają jednak niemal całkowicie wpływy tak, że pozostaje zaledwie 1000 funtów, które idą na pokrycie rachunków dostawców do pałaców przy Grosvenor square i w Mandeley.

— To po prostu niesłychane, — wtrącił markiz. — aby dochodami ludzi, którzy coś posiadają, rozporządzali się z góry jacyś tam dostawcy... A już te długie hipoteczne są wręcz obrzydliwością...

— Potrzeby osobiste księcia-pana — ciągnął adwokat. — wywołały przed piętnastu laty konieczność zaciągnięcia hipotek, a spekulacje giełdowe na akcjach metalurgicznych dopełniły miary.

— To wystarczy, panie Wadham, mam już tego dosyć. Proszę mi powiedzieć, jaka suma potrzebna jest, aby oczyścić długie hipoteczne?

— Oczyścić hipoteki? — powtórzył niedowierzająco adwokat.

— Proszę mi określić tę sumę, panie mecenasie!

— Na to muszę mieć, proszę księcia-pana, ze dwa dni czasu. Na pewno jednak potrzeba będzie dwieście do dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

— Cyfry mało mnie interesują! — wtrącił markiz. — Suma jednak wydaje mi się niewielką... Ale dość już tego! Spieszę się. A zatem ćwierć miliona mniej więcej? Tak panowie powiedzieli, prawda?

— Tak jest, suma ta powinna wystarczyć! — potwierdził adwokat-senior.

Powoli wkładał markiz rękawiczki, aby uniknąć podania ręki swym obrońcom prawnym. Młodszemu zaledwie skinął głową, a starszemu zaś skłonił się lekko, kierując się ku wyjściu. Wadham-junior odprowadził go do drzwi, które otworzył goniec biurowy.

— Jest to jednak duży zaszczyt — rzekł do ojca po wyjściu księcia — mieć księcia w liczbie klientów, prawda?

— Tak by się zdawało! — odrzekł Wadham-senior.

— W towarzystwie takiego księcia człowiek się czuje jak wśród kolekcji wzorów fabryki sztucznego lodu! — dodał Wadham młodszy.

— Masz rację, synu. Ilekroć stoję przed księciem, wydaje mi się, że jestem smarkaczem. Wiesz, co zrobiłbym najchętniej? Wyjąłbym wszystkie akta spraw księcia, rozrzuciłbym je na podłodze i powiedział: „Do wszystkich spraw księcia-pana dokładaliśmy pieniądze z własnej kieszeni. Ale mamy już tego dosyć! Niech książę szuka sobie innego doradcę prawnego i niech idzie do stu diabłów!”

— Na to się ojciec nigdy nie zdobędzie.

— Masz rację, mój chłopczel — odparł melancholijnie pan Wadham-senior.

ROZDZIAŁ VI

Z ciekawością przypatrywała się lady Małgorzata swej siostrze w jej buduarze

Letycja miała na sobie suknię atłasową koloru kości słoniowej, co robiło wrażenie, że dopiero co wyszła z ram obrazu Rafaela.

— Nareszcie cię schwyciłam, Letty! — rzekła Małgorzata, siadając na wygodnym, niskim foteliku. — Od paru tygodni chciałam cię o coś zapytać, aż wreszcie dziś mój mąż przypomniał mi o tem.

— Czy się gdzie pali, kochana siostro?

— Chciałam cię zapytać się, dlaczego nie wychodzisz za mąż za Karola Granthama?

— Hm... Na to składa się wiele przyczyn, Małgosiu, a najważniejszą bodaj jest ta, że dotychczas Karol nie zapytał mnie, czy chciałabym zostać jego żoną.

— Bo zachowujesz się zbyt pasywnie, Letty. Daj mu okazję, a zobaczysz, że nie upłynie pięciu minut, jak ci się oświadczy. Czy myślisz, że mężowi mojemu przyszłoby do głowy poślubić mnie, gdybym go do tego nie skłoniła?

— Zapewne, ale ty jesteś mądrzejsza ode mnie!

— wyznała Letycja nie bez cienia złośliwości.

— Nic podobnego. Nie mam z pewnością więcej

komórek mózgowych od ciebie, ty natomiast masz więcej gustu, ubierasz się szykowniej, niż ja i może masz tylko mniej ode mnie tak zwanego chłopskiego rozumu.

— Dlaczego jednak mam się śpieszyć z zamążpójściem? — zapytała Letycja.

— Nie bądź dzieckiem, Letty. Panny klasy średniej mogą się bawić, jak im się podoba. Zarabiają one na swe utrzymanie i nie przywiązują do małżeństwa większej wagi. Przed tymi dziewczętami wszystko stoi otworem...

— Jak to opisujesz, najchętniej chciałabym być modystką, lub stenotypistką! — wtrąciła Letycja drwiąco.

— Do tego najmniej nadajesz się moja droga. Wiesz chyba lepiej ode mnie, że panny naszej sfery nie są zdolne do pracy zawodowej. Przede wszystkim musimy wychodzić za mąż, a potem — droga przed nami wolna. Możemy sobie wtedy urządzić życie według naszych upodobań, wolno nam podróżować, pracować i kosztować wszelkich uciech życiowych.

— A jaką drogę ty sobie obrałaś po ślubie, Małgorzato?

— Ja? Hm! Ja stanowię wyjątek. Mąż mój jest faktycznie bez zarzutu i najlepiej się czuję w jego towarzystwie. Poza tym ja... nie mam temperamentu i nie odczuwam najmniejszej potrzeby szukania rozrywek poza domem. A gdzie jest ojciec?

— Dopiero co wrócił z Mandeley. Powinien niebawem nadejść.

— Kogo więcej zaprosiliście na dziś?

— Karola, ciotkę Karolinę, pana Honeywell oraz... Amerykanina. Wogóle dzisiejsze przyjęcie jest, że tak powiem, dla niego. Prawdopodobnie ojciec chciałby go naciągnąć na większą pożyczkę.

— Yankes nie wygląda na takiego, któryby się dał naciągnąć! — rzekła Małgorzata.

— Ojciec potrafi wycisnąć wodę nawet z suchej gąbki. Trudno się przed nim obronić! — rzekła Letycja na wpół wesoło, na wpół smutno.

— W każdym razie musi coś nastąpić — odparła z westchnieniem Małgorzata. — Mąż mój był przed paru dniami w majątkach ojca i przeglądał księgi gruntowe. Obciążenia hipoteczne są olbrzymie i nie ma jednego pręta ziemi niezadłużonego. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć, że Mandelej będzie wkrótce wystawione na licytację.

Na twarzy Letycji odbiło się przygnębienie.

— Ja już całkiem zobojętniałam na te rzeczy, Małgorzato. Po Mandelej pójdzie niezawodnie nasz pałac w Londynie. Zdaje mi się, że ojciec z resztką uratowanych pieniędzy osiadzie w jakiejś miejscowości kąpielowej we Francji. Tam będę mogła, mając w żyłach krew błękitną, a w skarbcu rodzinnym pustki, oddać się uciechom życia, które, jak mówiłaś, dostępne są dla panien klasy średniej... Nie mam więc tak dalece czego się obawiać.

— Zanim jednak to nastąpi, możesz wyjść za mąż...

— Pan Dawid Thain! — zameldował lokaj.

Ten dziwny zbieg słów Małgorzaty z oznajmieniem wizyty Thaina zastanowił przez chwilę Letycję. Odwróciła się do Amerykanina, który zbliżył się od strony długiego salonu. Jego wysoka, postawna figura i spokojny, równy chód znamionowały człowieka czynu i pewności siebie. Wąskie zaciśnięte usta rozumne oczy i czoło wysokie mówiły, że ten człowiek wie, czego chce i dokąd dąży w życiu. Ucisnął lekko rękę Letycji, po czym powitał lady Małgorzatę z dystynkcją i uprzejmością.

— Obawiam się, że przyszedłem za wcześnie...
Proszę mi wybaczyć...

— Możemy być tylko wdzięczne panu za to! —
rzekła Małgorzata. — Gdy jestem z siostrą, nudzimy
się tylko, a ja czuję się raczej gościem w domu rodzic-
ców.

— Zazdrościmy innym tej swobody, jakiej same
nie mamy! — wtrąciła Letycja.

— Swobodę każdy może sobie wywalczyć! —
rzekł Thain.

— W to może wierzyć pan, pochodząc z kraju, w
którym kobiety uchodzą za istoty rozumne i są ró-
wnouprawnione! — odparła Letycja. — W Ameryce
mężczyźni są dla kobiet bardziej wyrozumiali, niż u
nas w Anglii. Ale co to znaczy, że nie widać twego
męża, Małgorzato?

— Siedzi w dolnym salonie. Gdy stamtąd wy-
chodziłam, prosił Gosset'a, by mu podał szklanę
Wermutu. Ale otóż i on!

To mówiąc uśmiechnęła się do swego męża, któ-
ry ukazał się w drzwiach.

— Widzicie państwo, jaki jest zadowolony, że
może o kilka sekund wcześniej przybiegnąć do mnie.

— Zaraz poznać moją żonę! — westchnął głośno
sir Robert, całując rączkę Letycji. — Ona nigdy nie
dowierza! — dorzucił. — Jak się pan miewa, panie
Thain? Jeżeli jestem cichym alkoholikiem, to winna
jest temu pańska ojczyzna, kochany panie. Tam przy-
zwyczaiłem się do cocktail'ów, które cenię ponad
Burgunda.

Sir Robert nie wspomniał o tym, że od paru dni
dowiadywał się o warunkach majątkowych i osobi-
stych Thain'a.

Dowiedział się, że Amerykanin jest milionerem

i jednym z magnatów kolejowych w Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce nadszedł markiz, a za nim reszta zaproszonych osób.

Dawid Thain, którego nazwisko pojawiało się w ostatnich czasach w gazetach, czuł się jak ryba w wodzie. Przy stole miał za sąsiadkę z lewej strony zawsze zmęczoną panią Honeywell. Z prawej strony usiadła lady Letycja.

— Czy pan zna wszystkich naszych gości? — zapytała.

— I owszem! — odpowiedział. — Z wyjątkiem tego młodego człowieka, który siedzi obok pani.

— To jest lord Karol Grantham, starszy syn księcia Leicester. Ojciec jego jest akurat tak samo niefrasobliwy jak mój. Ale na szczęście, Karol był ostrożnym w wyborze matki, która mu pozostawiła wielki majątek. Czy nie wygląda on dość poważnie?

— Może pracuje zbyt wiele! — rzekł Amerykanin, rzuciwszy okiem na Granthama.

Letycja potrząsnęła głową.

— Niel — odparła. — Nie potrafi się zdecydować, czy ma oświadczyć się o moją rękę, czy nie.

— A pani, czy jest zdecydowana poślubić go?

Letycja spoważniała.

— Czy pytanie pańskie, nie jest trochę niedyskretne?... Chwilowo nie znajduję odpowiedzi na nie. Muszę poczekać, aż lord Karol zdecyduje się powziąć decyzję.

— Moim zdaniem pasujecie państwo do siebie doskonale! — rzekł Thain chłodno

Spojrzenia ich spotkały się.

W oczach jej było wyzwanie, które on podjął.

— Przekonanie pana — odpowiedziała z uśmiechem. — napęłnia mnie spokojem.

— Panie Karolu proszę mnie bawić rozmową i niech się pan cieszy, gdyż doszłam przed chwilą z panem Thain'em do jednej i tej samej konkluzji. — zwróciła się do lorda Karola.

Ale Amerykanin nawiązał już rozmowę z panią Honeywell, zanim Karol przestał rozmawiać z księżną-ciotką i zanim zdążył spełnić życzenie Letycji.

Dopiero pod koniec obiadu nawiązała ona ponownie rozmowę z Thain'em.

— Niezawodnie opowiadał pan pani Honeywell, w jaki sposób doszedł pan do swych milionów? — zapytała.

— Po części zgadła pani. Mówilem pani Honeywell, że tylko pierwszy milion trudno jest zdobyć. Dalsze przychodzą już bez wysiłku.

— Jakże rozkoszne musi być życie w Ameryce! — dodała Letycja. — I ja mogłabym zostać milionerką, gdybym pożyczyła od wszystkich mych przyjaciół w sumie pierwszy milion? Prawda panie Thain?

— Kobietom brak instynktu do gromadzenia pieniędzy. — odparł.

— Jakież więc instynkty posiadają kobiety według pana? — zapytała z widoczną ironią. — Takbym chciała usłyszeć zdanie pańskie.

— Dotychczas brakowało mi czasu na studiowanie tych zagadnień! — odparł.

— Jaka szkoda! Rozszerzyłabym niewątpliwie widnokrąg mych myśli.

Jej ironiczne uwagi nie stropiły go.

— W walce o codzienny, szary byt, — odrzekł twardo — kobiety są niedoścignione i czują się wtedy

najlepiej. Dla szerszych horyzontów jednak nie mają one dostatecznego polotu.

— Jakie to szczęście, że nie jestem nowoczesnym trybunem w spódnicy, który na zebraniach wyborczych potrafi przekonywać tłumy. Usłyszałby pan wtedy niejedno miłe słowo dla siebie

— Emancypacja kobiet nie odpowiadałaby pani. Natura wyposażyla panią w zbyt wiele przymiotów specyficznie kobiecych...

— Radabym znać choć jeden z nich. — odparła z uśmiechem.

— Przede wszystkim dobry humor! — rzekł Thain.

— Jeżeli człowiek tego pokroju, co pan, prawi mi podobne komplementy, to świadczy, że...

Raptem przerwała.

Zbyt krępująco przenikały ją stalowe, zimne oczy Amerykanina.

— Dlaczego pani nie kontynuuje? — zapytał drwiąco.

— Mam niemiłe przyzwyczajenie, że często nie kończę rozpoczętego zdania... Adelo, — zwróciła się do pani Honeywell. — pan Thain wyjaśnił ci, w jaki sposób dochodzi się do milionów?

— Niestety nie jestem dość pojętną uczenicą. — odrzekła.

— Natomiast przyrzekł mi pan Thain pomoc dla mej ochronki.

— To nie ładnie karotować gości podczas obiadu! — rzuciła ze śmiechem Letycja.

— Gdyby ojciec twój nie siedział w pobliżu to bym ci powiedziała, co o tym sądzę.

Po chwili namysłu dodała:

— Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego mamy wszyscy taki respekt przed twym ojcem. Spójrz, Le-

tycy! Wszakże jest on najzaczniejszym człowiekiem i stara się dla każdego być uprzejmym, a mimo to boję się zawsze zagadnąć go, bo mi się zdaje, że popełniłabym jakieś „faux pas“...

— Pod tym względem nie rozumiemy się, gdyż ja patrzę na ojca innymi oczami niż pani, oczami córki. Tym niemniej przyznaję pani rację. Ojciec mój ma w sobie coś, czego niepodobna określić słowami. Nigdy nie gniewa się, ani też nie śpieszy. Nic go nie potrafi wyprowadzić z równowagi i trudno go przyniknąć. Ale...

Przerwała i zwróciła się do swej ciotki, księżny Karoliny:

— Ciociu, proszę się nie krępować i pozostać z panami w jadalni. Już od kwadransa szukam cię oczami, by cię namówić, abyśmy przeszły do salonu.

Po wyjściu pań, Thain chciał podejść do gospodarza i usiąść obok niego.

Po drodze zaspokoili ciekawość sir Roberta, który pytał o stosunki kolejowe w Stanach. Młody lord Karol widocznie się nudził i patrzył bezmyślnie na swój kieliszek z winem, obracając nim do światła.

Markiz zagadnął natychmiast swego amerykańskiego gościa, skoro ten zbliżył się do niego.

— Czy grywa pan w bridge'a, panie Thain?

— Niezbyt chętnie.

— To proszę przez kilka minut dotrzymać mi towarzystwa.

Obadwaj przeszli do gabinetu markiza. Gdy zapalili cygara, rozpoczął markiz rozmowę na niedokończony ongiś temat.

— Czy spotkał pan Vont'a, panie Thain?

— Nie!

— Spostrzegłem go wczoraj na dworcu kolejowym w Ranham, skąd jedzie się do Mandeley.

— Świadczyłoby to, że Vont powrócił do Mandeleyley! — wtrącił Amerykanin.

Markiz spochmurniał i zmienił temat rozmowy.

— Prosiłem dziś pana, — rozpoczął — aby pomówić z nim o pewnej rzeczy, która mi leży na sercu. Należy pan do tych niewielu ludzi szczęśliwych, którym los się uśmiechnął.

Thain niedbale strząsnął popiół z cygara.

Na twarzy jego widniał spokój.

— Mówił mi zięć mój, że pan zrobił majątek na giełdzie. Jestem przekonany, że miał pan naśladowców, którzy nieraz zadawali się okruszynami z pańskiego stołu?

Thain wciąż milczał.

Zdawać się mogło, że nie słyszał słów markiza tak spokojnie palił cygaro. Chcąc nie chcąc markiz musiał mówić dalej:

— Potrzeba mi niezwłocznie pewnej sumy... Hm... dwustu do dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów...

Thain podniósł wzrok, jak gdyby rozmowa zaczynała go interesować.

Opanował się jednak i rzekł obojętnie:

— Okrągly milion dolarów!?

Markiz potwierdził skinieniem głowy.

— Nie potrafie, jako członek angielskiej arystokracji rodowej, zarobkować, jak pierwszy lepszy pan X lub Y. Próbowałem grać na giełdzie ze zmiennym szczęściem, ale ta suma nie da się tak łatwo osiągnąć zwykłymi środkami.

— Jakim kapitałem rozporządza książę? — zagadnął Amerykanin.

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której przypomniał sobie markiz swą wizytę u Wadham'ów.

— Właśnie brak mi kapitału, ściślej mówiąc, gotówki...

— Jak każda gra, tak i spekulacja na giełdzie wymaga środków pieniężnych, w razie bowiem przegranej należy wyrównać niedobór. — zauważył Thain.

— Niewątpliwie, — odparł markiz — chociaż te metody nie przyszły mi do głowy. Pragnąłem tylko dowiedzieć się od pana, który zna kulisy finansowe, które papiery, mało znane i tanie, mają szansę dać zyski z wyłączeniem strat...

Thain osłupiał i z widocznym zaciekawieniem patrzył na markiza.

— Tego rodzaju papierów trudno znaleźć! — odparł.

— Przypuszczałem, że finansista pańskiej miary, potrafi mi udzielić rady w tym względzie.

— A więc pan szuka mojej rady, panie markizie?

— To było moim zamiarem, gdy pana prosiłem o chwilę rozmowy.

— Krótko mówiąc, — odparł Amerykanin. — ksiązę chciałby zarobić milion dolarów, nie brudząc sobie rąk i nie ponosząc żadnego ryzyka. Takich ludzi znalazłoby się bardzo dużo na świecie.

— Tak, ale tacy ludzie nie mają zaszczytu znać pana! — rzekł markiz z właściwą mu niedoścignioną galanterią. — Pan jest tytanem finansów, panie Thain. Tak pana trafnie nazwał „Daily Express“.

— Zapewne mi ksiązę nie uwierzy, że gra na giełdzie nigdy mnie nie pociągała. Kupowałem teryny pod koleje, ale na tych rzeczach znam się od dzieciństwa. Minał jednak już czas, gdy na tym można było zarobić. Dziś pozostała tylko spekulacja giełdowa, naturalnie o ile będzie szczęśliwa. Powiem panu w zaufaniu, że wsadziłem sam parę milionów w inte-

res, który wydawał mi się korzystny. Niestety, jak dotychczas, przewidywania moje nie sprawdziły się.

Markiz poruszył się niespokojnie na fotelu.

— Czy nie mógłbym przyłączyć się do tego interesu? — zapytał.

— Owszem, o ile pan kupi pakiet akcji... — odpowiedział Amerykanin.

W zamyśleniu spoglądał markiz przed siebie. Wszystko, co wiązało się z „kupnem“, było dlań nie do osiągnięcia.

— Proszę, niech mnie pan poinformuje bliżej... Co to za akcje?

— Naftowe!

Nadzieje markiza wzrosły gwałtownie. Nafta! Nieraz dochodziły go pogłoski o naftowych krezusach. A nuż uda się kupić akcje na weksle? Czyżby jego podpis był bez wartości?...

— Wiem do jakich majątków dochodzą ludzie w tych przedsiębiorstwach! — rzekł. — Osobiście wierzę w naftę. Gdzie leżą pańskie tereny?

— W Arizonie!

— Doskonale. A ile dziś kosztuje akcja?

— Akcje są dolarowe. Obecnie stoją al pari. Na giełdzie nie są notowane, chyba dorywczo, albowiem niemal wszystkie są w moich rękach.

— Słusznie. Czy pan nie odstąpiłby mi pewnej ilości?

Thain zastanowił się

— Nie wiem doprawdy, co mam księciu odpowiedzieć. Koleje przyniosły mi 20 milionów i to mi wystarcza, a spekulacja giełdowa zupełnie mnie nie pociąga...

— Dwadzieścia milionów dolarów, to wcale nie zła suma! — zauważył markiz.

— W każdym razie dla mnie jest ona dostate-

— Kolację jadam w klubie i tam zwykle prze-
siaduję. Jakaż inną mam rozrywkę? Za dnia dosyć
się napracuję...

— Czy otrzymałeś jakieś nowe, interesujące rę-
kopisy? — zapytała.

— Tylko trzy rosyjskie i naturalnie w języku
francuskim, trzeba więc będzie je przetłumaczyć.
Przeczytałem jeden i wprost byłem przerażony tre-
ścią. Zanim jednak poweźmę decyzję, przeczytałem
dwa pozostałe. Czy nie mogłabyś mi pomóc?

— Ależ chętnie, jeżeli tylko nie będziesz przesia-
dywał tak długo w klubie. Ile też wypiełeś szklanek
whisky z wodą sodową?

— Przyznam ci się, że... nie liczyłem! — odparł
jowialnie.

— Tak też myślałam... Powiedz, Jerzy, dlaczego
ograniczasz się do życia klubowego? Dlaczego nie by-
wasz w poważnych i miłych domach, które cię za-
praszają?. Dlaczego nie żenisz się?

— Ożeniłbym się w tej chwili, gdybyś chciała
zostać moją żoną, Marto.

— To niemożliwe, Jerzy! Wiesz dobrze, że nie
rozporządzam sobą.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia, po czym
odezwał się Borden wskazując na list.

— Co zamýślasz zrobić z tymi pieniędzmi, Mar-
to?

— Muszę je zatrzymać. Czyż wolno mi sprawić
mu ból?

— Ze mną jednak pod tym względem nie liczysz
się zupełnie... — dodał z goryczą.

— Czy mało rozmawialiśmy na ten temat, Je-
rzy? Czy wolno mi porzucić Reginalda? On jeden
tylko ma tutaj głos decydujący. Jemu tylko wolno
mnie porzucić.

Słowa, jakie jej rzucił, brzmiały ostro:

— Powinien nareszcie to zrobić! Zabrał ci najlepsze lata życia!

— Nie żądał tego bez wzajemności... I on poświęcił mi najlepsze swe lata. Od lat dziewiętnastu jest moim wiernym, pełnym poświęcenia przyjacielem. Nigdy nie złamał swego słowa, nigdy mnie nie zdradził, ani obraził. Jeżeli wydaje się dumnym i niedostępnym, to dlatego, że zrósł się ze swymi tradycjami rodowymi. Wierzy on dotychczas w przywileje arystokracji, do której należy. Z początku raziło mnie to, chciałam nawet napisać powieść na tym tle, ale nie śmiałam... Z biegiem czasu zżyłam się z tym...

— Napewno przestałaś już go kochać? Prawda Marto?

— Był on moją pierwszą i jedyną miłością. — odparła.

— Pozwól mi zadać ci jeszcze jedno pytanie, Marto. Czy nie nienawidziłaś go nigdy? Przecież wyrwał on cię z twego środowiska i pozbawił cię wielu... możliwości wskutek swego egoizmu. Traktował cię jak niewolnicę, przykuł do swego rydwanu. Bądź szczerą, Marto! Czy z tych i innych powodów nigdy go nie nienawidziłaś?

— Nigdy! — odpowiedziała Marta bez wahania. — Nigdy! Pochodzę ze skromnej sfery i byłam nauczycielką wiejską. Mogłam wyjść za jakiegoś rządcę, czy leśniczego. Ale taką karierę przeklełabym. Takie życie nienawidziłabym, Jerzy... Miałam zaledwie 19 lat, gdy Reginald mnie poznał i z całą delikatnością starał się pozyskać mnie. Błagał mnie, bym poszła za nim do Londynu i tak jak przed laty, tak dotychczas jestem jego towarzyszką. Nic się nie zmieniło...

— Jesteś dla mnie zagadką Marto! Żadna inna kobieta nie ma tak złotego serca, jak ty.

— Tak, byłam dla niego zawsze dobrą, to prawda i jeżeli dobroć idzie w parze z wiernością, to nie ma kobiety lepszej ode mnie. Związałam sobie życie według własnej, nieprzymuszonej woli, mając do tego prawo, o czym nawet w chwilach gorzkich nigdy nie wątpiłam.

— Wszystko to brzmi nader pięknie, droga Marto. — rzekł Jerzy Borden. — Dotrzyjmy jednak do jądra rzeczy, skoro poruszyliśmy już raz ten temat. Wiesz, jak bardzo do ciebie jestem przywiązany, jak bardzobym pragnął, byś została moją żoną. Czy wolny wybór drogi życiowej nie jest najcenniejszym darem człowieka? Zmienić przekonania markiza nie znaczy być mu niewierną. Możesz go się nadal trzymać, ale przestań go kochać... Ja wogóle nie wierzę, abyś go tak kochała, jak ci się to wydaje...

— Pod tym względem może masz trochę racji, Jerzy, ale w innych punktach mylisz się najzupełniej.

— Dlaczego nie pozwoliłaś mi nigdy nawet rąk twych ucałować, Marto?

— Już raz przyznałeś mi rację, że między nami tego być nie powinno. Gdybyś pragnął pocałunku tylko jak przyjaciel, nie odmówiłabym ci go. Ale przecież tak nie jest. I ja jednak nieraz myślę o tych rzeczach i wydaje mi się, że w uczuciach moich względem ciebie zaszła wielka zmiana. Nawet Reginald to spostrzegł i zdradzał pewne zaniepokojenie... Lepiej jednak, że unikał na ten temat rozmowy.

Po raz pierwszy uśmiech radosnej nadziei odbił się na twarzy wydawcy.

— To twoje pierwsze słowo zachęty od czasu, jak się zacząłem do ciebie garnąć, Marto.

Uśmiechnęła się.

— Boże kochany! Nie ma na świecie nic niemożliwego, Jerzy... Ale odłóżmy te rozważania na później. A teraz podaj mi szcztokę do rzeczy, żebym cię oczyściła. Potem, jeżeli zechcesz, możesz mnie zaprosić na śniadanie. Nie znaczy to jednak, — dodała, wskazując na kapelusz Bordena. — abym miała odwagę pokazać się z tobą na ulicy w tym pomiętym dekelku.

— Jeżeli tylko większych nie ma przeszkód... — odparł wesoło. — Poczekaj pięć minut, to się przebiore.

— To zbyt uczte. Oczyściłam ci ubranie i wyglądasz aż nadto przyzwoicie. Każ tylko podać sobie inny kapelusz. Pójdziemy do „Savoy'u“. Mam ochotę na łosiosa z wody z masłem, a potem kotlecik z młodym szpinakiem. Chyba nie jestem zanadto wybredna?

— Przeciwnie jesteś tak skromna, że najchętniej zarazbym cię ucałował! — wypalił, korzystając z jej dobrego humoru. — Przyjemnie jest wyjść na miasto z damą, która naprzód wie, czego chce.

Wyszli razem i w restauracji oboje jedli śniadanie w najlepszych humorach.

Dopiero przy kawie odezwała się Marta serio:

— Mam przeczucie, że Reginald, o ile uda mu się spekulacja finansowa, osiadzie na stałe w swym majątku i, że zostanie lordem-marszałkiem hrabstwa. W ten sposób stosunek mój do niego znajdzie naturalne swe rozwiązanie. Zarówno on względem mnie, jak i ja względem niego dopełnimy warunków obojecznej umowy i nie chyba nie stanie wówczas na przeszkodzie, by zwrócił mi wolność. Sądzę, że nie będziesz się o to gniewał, Jerzy?

Jak gorąco pragnął przycisnąć ją do piersi, choćby zaraz, tutaj, na oczach wszystkich.

Czuła, jak walczył z sobą, by opanować przejaw swych uczuć. Ujęła jego rękę pieśczośliwie.

— Niezadługo czeka mnie bolesna pielgrzymka do Mandeley. — rzekła.

— Do niego? — zapytał podniecony.

— Nie! Ojciec mój powrócił do Anglii po długiej bytności w Stanach Zjednoczonych. Sąd przyznał mu ostatecznie dworek z ogródkiem w parku Reginalda. Muszę koniecznie odwiedzić ojca i to w najbliższym czasie.

— Czy ojciec przywiózł ze sobą tego chłopca, swego siostrzeńca? — zapytał.

— Nie, nie przynajmniej o tym nie słyszałam. Był on wątłym dzieckiem, gdy go ojciec zabrał do Ameryki. Może już nie żyje... Nie myślę, by ojciec zbyt za mną tęsknił, skoro jednak powrócił, obowiązkiem moim jest odwiedzić go i przywitać.

— Czy pozwolisz, że cię tam zawiozę w moim samochodzie? Teraz tak pięknie na wsi i wspólna taka wycieczka z pewnością będzie dla nas bardzo miła. Gdy będziesz grać rolę posłusznej i kochającej córki, przejrzę w tym czasie kilka rękopisów...

— Świetny pomysł, Jerzy! — odparła uradowana. — Wycieczka ta w twoim towarzystwie odpędzi ode mnie smutne myśli. Dla porządku powiem o tym Reginaldowi, który nie będzie chyba mieć nic przeciwko temu, abyś mi towarzyszył.

Cokolwiek poirytowany gryzł Borden koniec swego cygara.

— Zrób, jak uważasz za stosowne! — odparł. — Czekam twego telefonu.

— Jak tylko dostanę odpowiedź, zatelefonuję do ciebie natychmiast.

ROZDZIAŁ VIII

Z nieutajoną radością wchodził nazajutrz markiz do gabineciku Marty. W butonierce jego piaskowego sakpalta widniał bukiet fiołków.

— Jesteś prawdziwym zwiastunem wiosny! — przywitała go Marta. — A ja siedzę tutaj przy wygasłym kominku i marznę.

— Tak, wiatr jest jeszcze cokolwiek chłodny. — rzekł markiz. — Ja jednak biegłem tutaj szybko z wybrzeża i chłodu nie czuję.

— Z wybrzeża? — zapytała ze zdziwieniem

— Mamy przecież nad Tamizą całe szeregi hoteli i gmachów publicznych.

— Więc załatwiałeś interesy?

— Tak. Adwokaci moi lata całe zabiegali nieudolnie, by mnie uwolnić od hipotek, muszę więc wreszcie sam pilnować interesów, zwłaszcza, że — jak ci mówiłem — mam widoki wybrnięcia z długów.

— Jakże mnie to cieszy, Reginaldzie. Daj Boże, abyś jak najprędzej oczyścił twe majątki i zajął w hrabstwie należne ci stanowisko.

— Masz rację, Marto. Niestety w ostatnich dziesięciu latach zadłużone hipoteki nie dawały mi spokoju. Nieraz nawet doznawałem upokorzeń... Czy otrzymałaś czek, kochanie?

— Leży właśnie na stole... Dziękuję ci bardzo, Reginaldzie. W ostatnich miesiącach dochody moje stale wzrastają, gdyż moje powieści są dość poczytne. Po prostu zgarniam pieniądze szuflami. To też byłabym dumna, gdybyś mi pozwolił kroczyć o własnych siłach.

Spojrzał na nią badawczo i chłodno.

— Chcesz być niezależną? — zapytał oziębło. — Dlaczego?

— Nie żartuj proszę, Reginaldzie. Od dziewiętnastu lat płacisz mi po 600 funtów rocznie. Czy wiesz, ile to razem uczyni? Majątek. Zarabiam obecnie nieźle i wstydy mi było korzystać nadal z twych pieniędzy...

— Czy to ma oznaczać, Marto, że radabyś, aby nasz dotychczasowy stosunek uległ zmianie?

Usiadła obok niego na poręczy wielkiego fotelu skózanego.

— Nie, Reginaldzie, chyba, że sam życzyłbyś sobie tego... Tak długo, jak nie zarabiałam, przyjmowałam twą pomoc. Dziś jednak, gdy mi się doskonale zaczyna powodzić, nie wolno mi brać od ciebie pieniędzy. W roku zeszłym tantiemy z moich utworów literackich wyniosły z górą 600 funtów.

Markiz patrzył przed siebie błędnym wzrokiem. Wydawało się, że nie rozumie słów Marty.

Odczuła jego ból i miała łzy w oczach, gdy ujęła jego rękę.

— Bądź dobrym, proszę! — szepnęła. — Jeżeli zależy ci na tych pieniądzach i jeżeli uważasz, że są one łącznikiem, który nas wiąże, to zgódź się przynajmniej, aby renta moja wynosiła w przyszłości tylko połowę.

Markiz odzyskał panowanie nad sobą.

— W sprawach pieniężnych jesteś dzieckiem,

Marto. Nie mówmy o nich więcej. Pod koniec roku powrócimy do tego przedmiotu. Jeżeli nie potrzebujesz wydawać pieniędzy, to je oszczędzaj.

Pokojowa podała herbatę i rozmowa potoczyła się dalej dość obojętnie. Dopiero po pewnym czasie Marta znów się zamyśliła.

— Mam zamiar odwiedzić ojca w Mandeley. — rzekła.

— Skoro uważasz to za swój obowiązek, to nie mam nic przeciw temu. Myślę, jednak, że doznasz rozczarowania. Vont nie zmienił się ani na jotę, jest nadal nieustępliwy i twardy, jak kamień.

— To też długo tam nie będę bawić. — odrzekła — Ale po tylu latach niewidzenia się z nim czuję się w obowiązku wyjaśnić mu przyczyny mego ówczesnego kroku, domyślasz się, Reginaldzie, co mam na myśli, i prosić go o przebaczenie. Może da się przebłagać. Doznałabym wówczas ulgi, bo wszakże to jednak mój ojciec. Może czas wpłynął na niego kojąco. Ciekawa też jestem, co porabia mój brat cioteczny...

— Ojciec twój powrócił sam, Marto. — odpowiedział markiz. — Jechał drugą klasą. Pewien znajomy mój Amerykanin spotkał go na okręcie i opowiadał mi o tym.

— Mój mały braciszek był podówczas jeszcze za młody, aby wiedział, co to jest tęsknota za krajem ojczystym. Zapewne pozostał w Ameryce, która jest dlań drugą ojczyzną.

— Szkoda, że i Vont tam nie pozostał. — zauważył markiz, — Tak, jedź do ojca, Marto i pomów z nim. Dowiem się od ciebie, co myśli o przeszłości. Przypuszczalnie trwa nadal w uporze i zawziętości. Świadczy o tym zresztą ten proces, który przegrałem. Mimo to, radbym wiedzieć, co on myśli...

— Czy miałbyś coś przeciw temu, abym pojechała do Mandelej w towarzystwie mego wydawcy? — zagadnęła Marta. — Wspomniałam ci nieraz o panu Bordenie...

— Dlaczegoż miałbym być temu przeciwny? — odparł markiz. — Czy pan Borden ma znajomych w Mandelej?

— Nie. Chciałby on tylko odetchnąć kilka godzin świeżym powietrzem a zarazem służyć mi swym samochodem.

— Jeden z twych wielbicieli?

— Pan Borden był dla mnie zawsze bardzo życzliwy. — odparła Marta.

— Nigdy ci nie rzucałem kamieni pod nogi i nie chcę ograniczać twej swobody Marto.

— Jak zawsze Reginaldzie, jesteś dżentelmenem w każdym calu. Łańcuchy, jakie nas wiążą, uplotłeś z jedwabiu. Mogę cię za to zapewnić, że przez lat dziewiętnaście żaden inny mężczyzna nie przekroczył progu tego domu.

— Nigdy w to nie wątpiłem i nigdy też o to nie pytałem, Marto. Wiem, że w zachowaniu się moim dostrzegałaś nieraz wyniosłość i oziębłość. Nie zapominaj jednak, kochanie, że jest to wina mego wychowania. Nakazywano mi zawsze tać przed obcymi prawdziwe moje uczucia. To mi wsiąkło w krew i stało się drugą moją naturą.

Wziął ją za rękę i głaszcząc pieszczotliwie, mówił zwolna dalej:

— Ale ty, Marto, byłaś dla mnie zawsze przystanią bezpieczną i prawdziwą ostoją wśród niepokojów i zawodów życiowych. Pocieszałaś mnie w chwilach zwątpień i rozczarowań, jakich mi życie nie szczędziło... Jak często cierpiełem nad tym, że nie mogłem ci dać pozycji, na którą zasługiwałaś...

— Nigdy po nią nie sięgałam, Reginaldzie. — odparła skromnie. — Dobrze mi było z tobą, dawałeś mi możność uzupełniać braki mego wykształcenia i z biegiem czasu poczułam twardszy grunt pod nogami. Dałeś mi uczciwie wszystko to, czego od ciebie oczekiwałam. Miłość nasza ukazywała nam zawsze jasny promień w ciemności i zniechęceniu.

— Ja niestety — odrzekł markiz. — zarzucam sobie czasem, że nie zawsze postępowałem w życiu tak, jak mi nakazywała tradycja mego rodu. Brak mi było szerszego gestu, zasklepiałem się najchętniej w Mandeley, w klubie byłem rzadkim gościem i poza tobą nie miałem przyjaciół.

Marta wzruszyła ramionami.

— Jak dziwnie brzmią w twych uszach te zapewnienia wierności... — zauważyła.

— Czy nie zgadzają się one z opinią, jaką ludzie mają o mnie? W takim razie przewyższyłem samego siebie.

W drodze do domu zastanawiał się markiz, dlaczego Marta nie odpowiedziała na te jego słowa. Na próżno szukał przyczyny jej powściągliwości.

— Borden? — wycodził przez usta. — Co to za człowiek?

— W gabinecie swoim zajrzał do „Informatora towarzyskiego“. Ku zdumieniu swemu znalazł tam nazwisko „Borden Jerzy“. Borden pochodził z dobrej rodziny, studiował z odznaczeniem w Oxfordzie i był o dziewiętnaście lat od niego młodszy.

W zamyśleniu odłożył księgę.

Po raz pierwszy zapomniał mieszać whisky z wodą sodową, które zazwyczaj pijał przed snem.

Dziewiętnaście lat różnicy! Jaka tragedia kryła się w tym okresie czasu! Wszak Borden miał dziś aku-

rat tyle lat, co on, markiz, gdy ubiegał się o względy Marty.

Wstał i podszedł do wielkiego lustra, jakie zdo-
biło jedną ze ścian gabinetu. Był wysoki i dobrze
zbudowany, choć pochylał się cokolwiek. Twarz mia-
ła zawsze przyjemny wyraz i odbijała się w zwier-
ciadle, jak wyrzeźbiona z marmuru. Policzki jednak
jak gdyby zaczynały już obwisać, oczy nie jaśniały
już dawnym blaskiem, a liczne zmarszczki świadczy-
ły, że te dziewiętnaście lat nie przeszły bez śladu na-
wet na markizie Mandeley.

Siadł, pogrążony w myślach.

Marta? Widzi ją w całej jej krasie. Wygląda,
jak młoda mężatka, smukła, przystojna i rozumna.
Widzi jej uśmiech, jej jasne włosy i wdzięcznie wy-
krojone usta. Tak, te dziewiętnaście lat kryją w so-
bie tragedię...

ROZDZIAŁ IX.

Dawid podjeżdżał do swych stron rodzinnych.

Z daleka widniały wieżyczki i wysokie drzewa w Mandeley. Biegał tam jako chłopiec psocił i grał w krokieta.

Tutaj, w alei przez którą teraz jechał, siadywał nieraz ze swym wujem w cieniu drzew. Opodał ciągnął się żywopłot parkowy, z za którego małe dziewczynki z pałacu: Małgosia i Letty przekomarzały się z nim. A tutaj, akurat w tym miejscu, gdzie przystanął, podbiegła ku niemu przed laty Letycja, trzymając w ręczce rozluźniony pasek od łyżwy, a który jej przypiął, jak na grzecznego kawalera przystało... Miała wtedy osiem, może dziewięć lat...

Na wspomnienia te Dawid poczuł się jakby przeniesiony w lata dziecięce i trwożliwie rozejrzał wokoło, czy go kto nie podpatruje.

Daremnie usiłował opanować uczucie rozrzewnienia, ale czy nie był tułaczem, który powraca do ojczyzny?...

Był już w obrębie parku, w alei, wiodącej do pałacu. Dokoła — żywego ducha.

Na prawo widniał olbrzymi stary pałac, a na przeciw mały dworek z czerwonej cegły, otulony bluszczem i otoczony ogródkiem, pełnym rabatów kwiatowych.

Dawid przeszedł przez mostek i szybkim krokiem podbiegł do starego swego wuja, który siedział przed dworkiem.

— Czy to ty, mój chłopcze? — zawołał stary, wyciągając obie dwie ręce do Thaina. — Dobrze, żeś przyszedł. Jestem sam, więc się nagadamy do woli. Dawno już nie widziałeś tych kątów... Czy poznałeś twoje rodzinne strony? Siadaj obok mnie. Czuję się już bardzo starym i brak mi sił nieraz...

Dawid przyniósł sobie krzesło z dobrze mu znanej kuchni i siadł obok wuja.

Jakże się zmienił i zestarzał biedny wujaszek od powrotu do ojczyzny! Zgarbiony, z tą wielką białą brodą, wydawał się jakimś patriarchą, groźnym i tajemniczym.

— Nie przypatruj mi się tak, Dawidzie! Nie będę tał przed tobą moich myśli. Ostatnie dni wydają mi się snem, przykazaniem, które przytoczone jest w Piśmie świętym, ale którego nikt dotychczas nie wypełnił. Krewna moja, Maria Wells nie przemówiła do mnie jednego słowa. Zaledwie uścisnęła mi rękę na przywitanie. Ten pałac przed nami... przeklęty niech będzie na wieki! Nie brak w nim jednego kamienia, ale okna są puste, nikogo w nich nie widzę. Widzisz te chwasty na trawniku, te osty i dzikie zielisko w parku? Trzymają dwóch ogrodników, a dla dziesięciu byłoby co do roboty... A ta aleja, pełna burzanów, mchu i pleśni. Dziewiętnaście tysięcy funtów wydał na proces ze mną... Panu Bogu dziękuję, mój Dawidzie, że mogłeś twymi pieniędzmi pomagać mi podtrzymywać ten proces, inaczej zgniółby mnie markiz, bo wszakże w dzisiejszych czasach jedynie pieniądz coś znaczy...

W zamyśleniu wyjął Dawid z kieszeni kapciuch

z tytoniem i podał staremu, który zaczął nabijać swoją fajkę.

— To ładnie z twojej strony, że pamiętałeś o tytoniu. Zapomniałem przynieść sobie z miasteczka. Zmieniłeś się trochę, Dawidzie...

— Czuję się jakoś inaczej, wuju... A w tobie nic się nie zmieniło od czasu powrotu do kraju?

— Co masz na myśli, Dawidzie?

— Nie umiem tego dobrze wypowiedzieć. Przeszedłem przez pola i łąki i zobaczyłem pałac... Czuję się jakby przeniesiony do lat dziecięcych... Czy wiesz, co mam na myśli, wuju?...

— Nie.

— Przypomniałem sobie minione czasy i pomyślałem, czy nie przypisywaliśmy do niektórych rzeczy zbyt wielkiego znaczenia? Tutaj nic się nie zmieniło, wujaszku. Wszystko wygląda jak dawniej, wszystko i pogodnie...

Umilkł na chwilę, potem mówił dalej:

— Gdy szedłem przez park, wstyd mi było zamyśłów, jakie planujemy w stosunku do nich... Czy nie zgadzasz się ze mną, wuju? Czy nie lepiej porzucić myśli, które nas przytłaczają i rozpocząć inne życie, w zgodzie ze wszystkimi, w dobroci, w pojednaniu z ludźmi i z sobą samym?...

Stary Vont odłożył fajkę. Podniósł się i ujął siostrzeńca mocno za ramiona, popychając go ku wejściu do domu.

— Słuchaj mnie dobrze, Dawidzie! Do zmroku jeszcze dwie godziny, ale dzień powoli zapada. Czy słyszysz, jak szpaki nawiołują się? Wiatr ucichł i wieczór się zbliża... Tutaj właśnie był jej pokój. Zapukał do okna. A przez te drzwi zwykła była przechodzić... Nic się nie zmieniło... Widzisz to wielkie drzewo, tam dalej?... Schowałem się za nie, by mnie nie

dojrzał, on, do którego w piersi mej kipiała nienawiść, w którego gotów byłem wycelować z dubeltówki, jaką miałem przy sobie. Nikt nie domyślał się mej obecności. Wszyscy byli pewni, że poszedłem do miasta i, że nie wrócę przed północą. Wtem usłyszałem szmer. Odwróciłem się ostrożnie w obawie, by go nie spłoszyć. Z pokoju swego wyszła Marta... Podszedł ku niej. Oplotła go ramionami i przyciągnęła ku sobie. Przeszli tuż obok drzewa, za którym czailem się. Raptem drgnęła, widocznie przeczuła moją obecność, lub dostrzegła. Zanim zdołałem złożyć broń do strzału, wyrwał mi ją i rzucił w krzaki. Zamierzyłem się na niego pięścią, lecz ją odtrącił, podły uwodziciel. Był silniejszy ode mnie i zwinniejszy... Jeszcze dzisiaj mi wstyd... Byłem podniecony i straciłem równowagę ducha, a on zachował zimną krew...

— Nie ośmieszaj się, Vont! — rzekł chłodno. — Ja i twoja córka jesteśmy jednej myśli. Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, przyjdź jutro z rana do pałacu. Dubeltówka leży w zaroślach, odnajdziesz ją łatwo!

Odwrócił się ode mnie i pocałował Martę w rękę, jak zwykle witał damy w swym pałacu, gdy przyjmował gości.

Wiedział, że mogłem podnieść dubeltówkę i położyć go trupem na miejscu, ale stałem jak skamieniały, zamiast za nim pobiec... Słyszałem tylko cichy płacz Marty...

Wieczór zapadł, a ja przemykałem się w ciemnościach, jak zbity pies...

— Dlaczego powracasz myślami do tych złych chwil, wuju? — spytał Dawid. — Poco zatruwać sobie życie?

— Jakto po co? — odparł starzec złowrogo. — Czy wolno mi stłumić wspomnienia na widok tych

czarnych murów? Poszedłem tam nazajutrz. Gdy mnie spostrzegł, odprawił służbę i przyjął mnie z całym spokojem. Boże! Ile słów wyszło z ust jego... Niewiele zrozumiałem z tego, co mówił do mnie. Twierdził, że Marta jest jego i, że pozostanie zawsze jego. Że ją zamierza zabrać do Londynu, wykształcić i zapewnić jej należne stanowisko... Postawiłem mu tylko jedno pytanie:

— Czy ona ma żyć z panem w grzechu??

Spojrzał na mnie, jak gdyby mu się zdawało, że mówię od rzeczy.

— Już od miesięcy zdecydowała się pańska córka na ten związek i musi się pan z tym pogodzić.

Powziąłem wówczas postanowienie, które od tej chwili było myślą przewodnią mych poczynań. Postanowiłem go zgłębić, zniszczyć, wysiadywać na-przeciw jego ponurych murów z biblią na kolanach, dopóki te mury nie zaczną się walić i dopóki chwasty nie zarosną drogi, które do nich prowadzą... Dlatego właśnie tutaj powróciłem!

— I nic nie może zmienić twych postanowień, wuju? — zapytał Dawid.

— Słuchaj Dawidzie! — odparł stary. — Czy ty przypadkiem nie zmieniłeś się?... A może chcesz mi powiedzieć, że nie dotrzymasz danej mi obietnicy?

Dawid wziął wuja za rękę.

— Nie! — odrzekł. — Słowa nie zmienię! Część przyrzeczenia spełniłem już nawet. Sprzedałem markizowi na weksel czterdzieści tysięcy mych akcyj nadtowych, które są mniej warte, aniżeli papier, na weksel zużyty... Oszukałem go po prostu. Weksel płatny jest za trzy miesiące. Ustąpię ci go i możesz ogłosić go bankrutem!

— Starzec powstał i wyprostował się. Oczy zwró-

cił na pałac, na którym odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca.

— To są dobre wieści, Dawidzie! — odparł krótko. — A teraz siądźmy do stołu i posilmy się. Pani Wells postara się nam dogodzić, ja zaś pamiętam, że jesteś owym wielkim Dawidem Thain'em, amerykańskim milionerem, którego opiekuńcze skrzydła czułem na okręcie, w powrotnej drodze do ojczyzny. Pani Wells! Przedstawiam pani mego towarzysza podróży, którego poznałem na statku i o którym już pani wspominałem... Proszę nakryć do stołu i godnie go przyjąć.

Krewniaczka, a zarazem gospodyni Vont'a obrzuciła Thaina ciekawym wzrokiem.

— Idę zaraz do piwnicy, a i w kredensie znajdzie się coś dobrego! — odparła.

ROZDZIAŁ X.

W parę dni później zadzwonił adwokat Wadham junior do mieszkania markiza w Londynie przy Grosvenor square.

Zanim mu otworzono, przebiegł raz jeszcze myślą powody, jakie go skłoniły do tej wczesnej wizyty. Przykro mu było, że musiał zakłócić zwykły spokój swego wysokourodzonego klienta.

Markiz uśmiechnął się mile na widok swego gościa i odłożył gazetę.

— Dobrze, że pana widzę, panie Wadham. Uprzedził pan zamiar mój odwiedzenia go w najbliższym czasie. Proszę, niech pan siada.

Nieoczekiwana uprzejmość markiza jeszcze więcej onieśmieliła młodego prawnika.

Usiadł na brzegu fotela i przemówił trwożliwie:

— Pytaliśmy pana Merridew, dlaczego potrącił czterysta funtów z sumy, jaką nam ostatnio przekazał na rachunek księcia.

— Postąpił całkiem słusznie! — odparł markiz.

— Przed paru dniami byłem w Mandelej, a ponieważ plenipotent mój miał właśnie większą gotówkę, więc wziąłem od niego sumę, o jakiej pan wspomniał.

— Przypuszczam, że książę-pan nie wziął pod uwagę, że kwota wspomniana przeznaczona była na

opędzenie procentów hipotecznych, o które woła bank.

— Nie pojmuję, że ta drobna suma robi panom różnicę? Czyżby rzeczywiście, tak krucho było u panów?

— Procenty z hipotek księcia-pana opłacane są wyłącznie z jego funduszów i na jego rachunek. My jesteśmy płatnikami, a nie bankierami. W stosunku do księcia-pana wykładaliśmy co prawda nieraz pieniądze z kieszeni własnej, niestety w chwili obecnej uczynić tego nie możemy...

— Panowie z igły robicie widły... Co pana właściwie skłoniło do tak wczesnej wizyty, panie Wadham?

— Chciałem zapytać, co książę-pan rozkaże uczynić dla zaspokojenia banku? Pan Merridew nadesłał nam tylko 800 funtów, bank zaś w sposób kategoryczny dopomina się o tysiąc dwieście!

Markiz oglądał uważnie swe troskliwie pielęgnowane ręce.

— A więc przyszedł pan tutaj, by mi robić wymówki o te czterysta funtów?...

— O robieniu wymówek nie może być mowy, proszę księcia-pana! — bronił się młody prawnik. — Faktem jest jednak, że najpóźniej jutro z rana trzeba zapłacić bankowi pełne 1200 funtów...

— Które tak trudno jest panom znaleźć?

Wadham junior coraz więcej tracił pewność siebie. Od ojca otrzymał polecenie, by nie wdawać się z markizem w żadne dyskusje, lecz domagać się kategorycznie zwrotu czterysta funtów oraz zaprzestania w przyszłości tego rodzaju niespodzianek. A tymczasem młody prawnik czuł, że mu się usuwa grunt z pod nóg i, że napewno nie zdoła należycie spełnić swej misji.

— Nie szczędziliśmy nigdy wysiłków, aby iść księciu-panu na rękę. — rzekł nieśmiało. — Ale do prawdy nie rozporządzamy obecnie wolną gotówką i nie możemy uzupełnić braku...

Markiz zdawał się mieć pełne zrozumienie dla słów młodego Wadham'a. Z powagą zbliżył się do biurka i wyjął z bocznej szuflady wielką, skórzaną tekę, którą położył przed adwokatem.

— Oto pakiet akcji pewnego towarzystwa naftowego, wartości nominalnej czterdziestu tysięcy funtów, które w końcu zeszłego tygodnia zakupiłem. — rzekł uroczyście.

Wadham oniemiał.

Był przygotowany na wszystko, ale czegoś podobnego nie spodziewał się.

— Czy mnie słuch nie myli? — rzekł zdumiony. — Książę-pan zapłacił za te akcje czterdzieści tysięcy?

— Miałem co prawda trochę szczęścia. — rzekł markiz skromnie. — Dowiaduję się, że akcje zyskały już na wartości. Zapłaciłem za nie czterdzieści tysięcy, ściśle mówiąc, czterdzieści tysięcy sto dziesięć funtów. Niech je weźmie i złoży w banku, jako zabezpieczenie. Może bank podniesie nam kredyt?

Młody Wadham liczył pośpiesznie akcje.

— Towarzystwo „Pluton“! Tereny naftowe w Stanie Arizona! — mówił z podziwem.

— Prawdopodobnie nie słyszał pan jeszcze o tym przedsiębiorstwie? — dodał markiz. — Przyjaciel mój, który mi doradził kupno tych akcji, mówił mi, że powstało ono niedawno, i wkrótce ma rozpocząć wiercenie. Jest nim pan Dawid Thain, którego zdaniem pakiet mój będzie wkrótce wart co najmniej dwieście tysięcy...

— Dawid Thain, multimilioner? — zapytał oszołomiony prawnik.

— Tak, ten sam! — odparł spokojnie markiz.

— Czy książę-pan pozwoli zapytać, — rzekł prawnik nieśmiało, jakby się obawiał urazić markiza. — w jaki sposób zdołał pan zebrać tak znaczną sumę na kupno akcji? O ile mi wiadomo, bank nie udzielił księciu nowej pożyczki w ostatnich czasach...

Markiz przerwał mu:

— Dzięki Bogu nie potrzebuję — odparł. — prosić na kolanach, młody mój przyjacielu, banku, gdy potrzebna mi jest większa suma. Pan Thain sam zaproponował mi pokrycie weksłowe, wiedząc, że człowiek taki, jak ja, zwykł dotrzymywać terminu swych zobowiązań.

Wadham junior dostatecznie był już poinformowany.

Wzjął kapelusz i rękawiczki.

— Zdeponuję — rzekł. — akcje w banku i zapewnię księcia-pana, że procenty hipoteczne będą jutro zapłacone. Przepraszam, że pozwoliłem sobie go niepokoić.

— Nic nie szkodzi, to drobnostka. — zapewniał markiz. — Rad będę, jeżeli mnie pan znowu kiedyś odwiedzi. Ale niech pan jeszcze chwilę pozostanie, bo właśnie przyszedł pan Thain. — dodał, odbierając od lokaja bilet wizytowy. — Ludzi tej miary, co pan Thain, mało jest w Anglii i znajomość ta może się panu przydać. Niech Tomasz prosił — zwrócił się do lokaja.

Markiz poznał obu panów.

— Pan Wadham jest doradcą prawnym naszej rodziny. — rzekł do Amerykanina. — Oddałem mu pakiet akcji „Pluton“.

— Cieszę się bardzo, że pana poznałem! — zauważył Wadham, zwracając się do Thaina. — Nazwisko pańskie, jako potentata finansowego, znane mi jest z gazet.

— Nie należy wierzyć wszystkiemu, co piszą gazety. — wtrącił Amerykanin z uśmiechem.

— Proszę, niech pan pozdrowi swego ojca! — rzekł markiz do adwokata, wskazując głową na drzwi. — Mam nadzieję, że wkrótce zakomunikuję mu coś przyjemnego. Może pozbędziemy się nareszcie tych wstrętnych hipotek. Tomasz wyprowadzi pana Wadhama. — skinął na lokaja. — Raz jeszcze panu dziękuję za miłą wizytę.

Młody Wadham znalazł się na ulicy prędzej niż przypuszczał.

Delikatne wyproszenie całkiem uszło jego uwagi.

Po jego wyjściu markiz spojrzął od niechcenia na zegar.

— Mam zwyczaj — rzekł. — wychodzić około południa na małą przechadzkę po parku. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

— Jak najchętniej. — odparł Amerykanin. — Mam kilka słów dla księcia, zresztą nic ważnego... — dodał, widząc pytające spojrzenie markiza.

— Ślicznie. Po powrocie ze spaceru zatrzymuję pana na śniadanie, dobrze? Córka moja robiłaby mi wymówki, gdybym się zjawił bez pana... Gossett! — zwrócił się do służącego, który mu przyniósł kapełusz i okrycie. — Proszę powiedzieć lady Letycji, że pan Thain będzie u nas na śniadaniu. A umie Gossett przyrządzać cocktaile?

— Mam dobre recepty, proszę jaśnie pana! — odpowiedział lokaj.

— Doskonale. Gossett zakrzęta się, by nadać

cocktail przed jedzeniem!... Widzi pan, panie Thain, że pamiętamy o zwyczajach amerykańskich. Cocktaille są, jak słyszałem, pokarmemalkoholowym, prawda?

Thain roześmiał się głośno.

Naraz rozległ się głos od strony schodów wewnętrznych.

— Z czego się pan śmieje? — zawołała Letycja. — Pewnie jakiś nowy dowcip! Ojczulku, proszę mi zaraz powtórzyć!

— Przyznam się, że nie wiem, z czego śmiał się pan Thain. — rzekł markiz.

— Ojciec pani w nader miły sposób wspomniął o amerykańskich zwyczajach trunkowych. — rzekł Dawid.

— A więc dla mnie jedno rozczarowanie więcej, bo już myślałam, że usłyszę jakiś dobry dowcip. — odrzekła Letycja wesoło.

— Pan Thain pozostaje u nas na śniadaniu, dziecko moje.

— Bardzo się cieszę. Niechże tedy panowie szybko wracają ze spaceru.

Wyszli obaj i skierowali się w główną aleję parkową.

— Nie jestem wielkim piechurem, — rzekł markiz. — ale przyzwyczailem się codziennie obejść park. Spotykam nieraz mych dobrych znajomych i witam się z nimi. Po południu grywam częstokroć w golfa. Zna pan ten sport?

— Próbowiałem go, — odparł Thain. — ale mnie golf zbytnio nie pociąga. W Ameryce mało jest uprawiany. Anglicy grają lepiej od nas, gdyż mają więcej cierpliwości.

— Ma pan rację. — potwierdził markiz. — A co słyhać z akcjami „Pluton“?

— Na razie nic nowego. O czymś innym chcia-
łem porozmawiać z księciem.

ROZDZIAŁ XI.

Markiz spotkał po drodze kilka znajomych twarzy i dopiero po paru minutach na nowo wszczął rozmowę.

— Chciał mi pan coś powiedzieć panie Thain? — odezwał się.

— Tak, chciałem pomówić z księciem o Broomsley.

Markiz spojrzał na Thain'a ze zdziwieniem.

— O Broomsley? — zapytał. — O mej posiadłości w Broomsley?

— Tak!

— A kto powiedział panu, że mam willę, która się nazywa Broomsley?

— Byłem w zeszłym tygodniu w Cromer, — wyjaśnił Thain. — gdzie rozmawiałem z pośrednikiem mieszkaniowym, mam bowiem zamiar osiąść w tych stronach. Otóż pośrednik ten powiedział mi, że w Broomsley mieszka pułkownik Lacey i, że wkrótce wyprowadzi się stamtąd. Odwiedziłem pułkownika, który potwierdził, że mieszkanie wymówił i oprowadził mnie po całym domu.

— Istotnie. — rzekł markiz. — Wyszło mi z pamięci, że pułkownik Lacey ma się wyprowadzić...

— Upłynęło znów kilka minut. Co chwila mijał ich

jakiś przechodzień i witał uprzejmie markiza, który znajdował dla każdego parę miłych słów.

— Byłoby mi nader przyjemnie, panie Thain, mieć pana za sąsiada. Czy wspomniał panu pułkownik, lub pośrednik o warunkach?

— Nie. Pułkownik zwrócił mi tylko uwagę na liczne, a konieczne reperacje. Ponieważ jestem kawalerem, mogę ograniczyć się do dwóch, lub trzech pokojów, które nie wymagają odnowienia, a reszta mogłaby stać pustkami... Głównie ogród skłania mnie do wynajęcia mieszkania w Broomsley.

— Willa jest w rzeczy samej cokolwiek zaniedbana, — przyznał markiz. — jednakże wobec ogólnej depresji gospodarczej i wysokich podatków, a wreszcie najróżnorodniejszych świadczeń, nie sposób myśleć o większym remoncie. Pułkownik był w tej mierze trochę niewyrozumiały. Ostatnio domagał się takich reperacji, że pochłonięłyby one co najmniej komorne za dwa lata...

— To, co jest konieczne, sam każę zrobić. — odparł Amerykanin ku dużej radości markiza. — Jeżeli komorne nie jest zbyt wysokie, wynajmę willę z ogrodem powiedzmy na rok jeden.

— Pan wie, że willa jest umeblowana?

— Tak.

Pułkownik powinien był płacić rocznie trzysta funtów, jednakże, zmuszony do ciągłych poprawek i remontów, które potraçał z czynszu, płacił nie więcej jak dwieście. Suma ta wydawała się markizowi niedostateczną, aczkolwiek pozwalała mu opędzać wiele drobnych wydatków. Bogaty Amerykanin z pewnością nie odczuje komornego dwukrotnie większego. — pomyślał sobie.

— Czy pięćset funtów rocznie, nie wyda się panu zbyt wiele? — zapytał. — Nie przypominam sobie

dokładnie, ile powinien był płacić pułkownik, w każdym jednak razie płaci on śmiesznie mało, a za to narzeka aż za dużo.

— Pięćset funtów mi odpowiada! — odparł Thain.

— W tych dniach pošlę panu projekt umowy. — obiecał markiz. — Wprowadzić się może pan choćby zaraz. Czy kontrakt ma być roczny?

— Tak!

— Będzie pan miał okazję spotykać tego starego oryginała, Vont'a, którego pan poznał na okręcie. Słyszałem, że uszczęśliwia już Mandeley swym pobyttem.

— Spotkałem go przed paru godzinami! — rzekł Amerykanin.

— Z pewnością opowiadał panu swą historię. Mówiono mi, że Vont przesiaduje całymi dniami przed dworkiem z biblią w rękach, aby przeklinać mnie i mój ród. Przyzna pan chyba, panie Thain, że podobne sąsiedztwo jest po prostu nieznośne. Ale oto i Letycja i, jak widzę, w dobrym towarzystwie.

Młoda lady przeszła obok, nie zatrzymując się, zajęta rozmową z lordem Granthamem.

Thain drgnął. Wiosenny wiatr wydał mu się naraż mroźnym.

— Grantham — rzekł markiz. — jest jednym z najwierniejszych wielbicieli mojej córki, Letycji. Niewątpliwie zauważył pan, że jest ona trochę dziwną, że tak powiem przeciwniczką związku małżeńskiego. Mówiąc szczerze, związek jej z Granthamem odpowiadałby moim życzeniom. Jeżeli Letycja zdecyduje się pošlubić tego młodego człowieka, oddam im dom w Londynie przy Grosvenor square, a sam osiadę tutaj na stałe i oddam się pracy na roli.

— Słusznie! — wycedził Dawid.

— Zapominam nieraz, że pan jest milionerem, panie Thain. Przyjaciele moi nie są w tym samym szczęśliwym położeniu, co pan. Wogóle pieniądź stał się u nas rzadkością, przynajmniej wśród arystokracji rodowej.

Thain niewiele słyszał z tego, co mówił mu markiz.

— Czy książę zechce zaspokoić moją ciekawość — zapytał. — i powiedzieć mi, czy lady Letycja zaręczona jest z lordem Granthamem?

Markiz wyprostował się, jakby chciał dać swemu gościowi do zrozumienia, że są to sprawy zbyt intymne, niemniej jednak po chwili namysłu poinformował Thaina:

— Nieoficjalnie! — rzekł. — Dzisiejsze panny unikają tych ceremonii. Wprowadzają po prostu młodego człowieka do domu i oświadczają ojcu, że życzą sobie, aby ślub odbył się tego i tego dnia.

— — — — —

Przed śniadaniem podano na cześć amerykańskiego gościa cocktail, który przyrządził Gossett.

— Karol nie chciał przyjść na śniadanie! — rzekła Letycja do ojca. — Zdaje mi się, że obawiał się, aby go ojczulek nie pytał o zamiary względem mnie.

— Wolę nawet, że go nie ma. — odrzekł markiz. — Karol jest dobrym chłopcem, ale niezbyt jest miłym jako kompan przy stole.

Po chwili dodał:

— Wiesz kochanie, kto będzie mieszkał w Broom-sley?

— Czy ojczulek wynajął już willę?

— Tak, dziś z rana. — odpowiedział, pochylając się nieco w stronę Thaina. — Pan Thain bawił w koń-

cu zeszłego tygodnia w Cromer i upodobał sobie Broomsley.

— Cudownie! — wykrzyknęła Letycja.

Thain spojrział na nią bystro.

— Bardzo to ładnie z pana strony! — dodała, śmiejąc się. — Na serio, bardzo się cieszę, że pan będzie naszym sąsiadem. Nasz pobyt w Mandeley jest tak mało urozmaicony, a pułkownik Lacey, który, nawiasem mówiąc, ma prześliczną córkę, nie jest zbyt miłym sąsiadem. Z pewnością zakocha się pan w miss Lacey.

— Tak! — rzekł markiz. — Letty ma rację. Wyjazd pułkownika powitamy z radością. Ustawicznie i natęrczywie domagał się reperacji. Pan Thain będzie z pewnością sąsiadem przyjemniejszym.

— Dowiadywałem się u leśniczego księcia o warunkach polowania. Powiedział mi, że księżę niewiele się troszczy o zwierzynę.

— Istotnie. — odpowiedział markiz. — W ostatnich latach zupełnie nie polowałem.

— Do oswojonych bażantów nie strzelam! — rzekł Thain. — Lubię natomiast włóczyć się po polach z fuzją i z psem.

— Dobrze! — rzekł markiz. — Pomówię z administratorem i, jeżeli tylko polowanie jest wolne, chętnie je panu odstąpię.

— Czy ma pan przyjaciół w Anglii? — zagadnęła Letycja Amerykanina.

— Niewielu. — odparł. — Nie lubię zawierać łatwych znajomości.

— Zawsze myślałam, że pańscy rodacy są ludźmi towarzyskimi. Bardzo wielu Amerykanów mieszka w Anglii...

— Wyda się to pani może dziwne, — odparł Thain. — jeżeli powiem jej, że kastowość uwydatnia

się w Ameryce silniej, aniżeli nawet w ojczyźnie pani. W domu u mnie nie ma kobiety, abym mógł prowadzić życie towarzyskie i z konieczności zdany jestem na przygodne znajomości...

— Poznajomimy pana — rzekła Letycja. — z kilku osobami, które urozmaicą mu pobyt w Broom-sley. A przecież i nasz dom jest dla pana otwarty...

Thain nie odpowiedział zaraz.

Odezwały się w nim wyrzuty sumienia. Wszakże ci ludzie okazywali mu gościnność, byli dlań uprzejmi i życzliwi. A on? Czy nie knuł przeciw nim planów zdradzieckich?

— Dziękuję bardzo za okazywaną mi dobroć! — rzekł. — Zaproszenia państwa uważać będę zawsze za zaszczyt dla siebie

Z daleka już Thaina księżna Karolina, wyciągając ku niemu rękę uzbrojoną w szczypce do cukru, gdy wchodził do jej salonu, pełnego gości.

— Niech się pan tak nie krzywi, to nie jest zwykły podwieczorek. Mówiłam panu, że jestem sama w domu, ale przecież nie mogłam wyprosić moich gości dlatego, że pan jesteś odludkiem. Tymczasem Letty zaopiekuje się panem. Właśnie nadchodzi moja maleńka. Oto filiżanka herbaty dla pana, proszę sobie wziąć jeszcze kilka ciasteczek i stanąć tam, za fortepianem.

— Czy pan słyszał, co powiedziała ciocia? — spytała Letycja. — Ale ja wskażę panu lepszy kącik, gdzie pogawędzimy, dopóki ciocia nie znajdzie chwili, aby zająć się panem.

Jakby z tęsknotą wpatrywał się Thain w drzwi balkonowe, otwarte i zapraszające do cichego sam na sam.

Wieczór ciepły zapadał zwolna.

— Czy nie lepiej skorzystać z pięknej pogody, aniżeli siedzieć w dusznym salonie? — zapytał.

— Ma pan słuszność! — rzekła. — Chodźmy na balkon!

Na stoliku bambusowym, wokoło którego stały

krzesła wyplatane, postawił Thain swą filiżankę i talerzyk z herbatnikami.

— Gdyby ktoś zamierzał wejść tutaj, to niech pan zarygluje drzwi! — wesoło prosiła Letycja.

Przyniósł jej herbatę i przytknął drzwi balkonowe.

Przez jakiś czas przyglądała mu się w milczeniu, po czym zaczęła mówić:

— Na nadmiar uprzejmości nie choruje pan. Z przyjemnością obserwowałam, jak się pan obojętnie krzątał około tej gadatliwej pani Raymond.

— Co mnie obchodzi pani Raymond? Nie znam jej bliżej, poza tym, że zostałam jej przedstawiony w pewnym towarzystwie i, że prosiła mnie, bym siedział obok niej przy stole. Naturalnie, żądała, bym jej wskazał parę akcji giełdowych, gdyż, jak mówiła, chciałaby korzystnie ulokować swe pieniądze.

— Taka ma już naturę, — odparła Letycja. — Zawsze próbuje wykorzystać czyjeś stosunki, lub wpływy. Czy pan już i ojca dotknął swą czarodziejską złotą różdżką? Od kilku dni zmienił się bardzo... Wygląda, jakby bujał w obłokach?...

Dawid uśmiechnął się żałośliwie.

Ojciec pani robi na mnie wrażenie niepoprawnego optymisty. — rzekł.

— Na miłość Boską, niech pan go tylko nie namawia na żadne spekulacje. Nie mamy grosza jednego na podobne rzeczy. Czy pan wie, — rzekła z niezwykłą szczerością. — że gdyby nie szczęśliwa okoliczność, iż pan wynajął willę w Broomsley, nie mielibyśmy za co opuścić Londynu i przenieść się na kilka tygodni do Mandeley? Wszystko to mówię panu szczerze, aby nie robił sobie niepotrzebnych iluzji co do stanu finansowego ojca...

— Odnoszę wrażenie, że pani wogóle niechętnie widzi mnie w Mandelej...

— Jak pan może coś podobnego przypuszczać? Nie cierpię Londynu i jestem więcej niż zadowolona, że pan dał nam możliwość opuszczenia tego wstrętnego miasta choćby tylko na kilka tygodni. Proszę mi wierzyć, że pragnęłam jedynie zdjąć panu różowe okulary, aby pan trzeźwo patrzył na te rzeczy

Thain milczał.

Słowa Letycji dziwnie mu brzmiały w uszach. Niepokojnie poruszał się na krześle.

Po chwili odezwała się znowu:

— Nie wiem dlaczego, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że pan roztacza wokoło siebie atmosferę jakiejś dziwnej tajemniczości. Mówiono mi, że reporterzy gazetowi na próżno kołaczą do drzwi pana, by się dowiedzieć o celach pańskiego przyjazdu do Anglii, a choćby tylko, czy pan po raz pierwszy bawi w Anglii...

— Nie rozumiem, z jakiej racji miałbym się zwierzać gazetciarzom. — odparł. — Kogo mogą interesować moje zamiary, czy wogóle moje postępowanie? Nie mam żadnych zasług, panno Letycjo, poza tą, że dorobiłem się majątku. A i ten fakt nie wynosi mnie ponad moich rodaków. Trochę rozumu i sporo szczęścia — oto wszystko, czym się mogę pochwalić. W Ameryce musiałbym się liczyć cokolwiek z tą ciekawością publiczną, ale tutaj ani trochę. Jest to przeciwne mej naturze.

— Zgadzam się z panem! — odparła Letycja. — Proszę jednak nie zapominać, że dziś pieniądź jest potęgą, a prócz tego prasa angielska, po wielkiej wojnie, bardzo się zamerykanizowała. Zważywszy, że nie mam nic wspólnego z gazetami, proszę mi pozwolić zadać panu jedno pytanie... Dobrze?

— Służę panu!

— Czy pan już był kiedy w Anglii?

— Raz tylko jeden, przed wielu, wielu laty.

— Sama nie wiem, dlaczego jestem tak ciekawa, ale wciąż mi się wydaje, że widziałam pana w moim życiu. Nieraz łamałam sobie głowę nad tym, gdzie to było i kiedy. I teraz mam to samo wrażenie...

Odpowiedź cisnęła mu się na język, opanował się jednak, choć brzydził się kłamstwem.

— I ciotka pani zadawała mi podobne pytanie, tłumaczyła to jednak sobie faktem, jakoby w dzisiejszych czasach wszyscy ludzie byli do siebie więcej podobni...

— Nie przypuszczam jednak, aby właśnie pan mógł mieć wielu sobowtórów na świecie. — rzekła Letycja, przypatrując mu się uważnie. — A może pana interesuje, — dodała. — co o panu myśli pani Honeywell?

— I owszem, o ile naturalnie zdanie pani Honeywell nie jest dla mnie druzgocące.

— Nie, pani Honeywell oceniała tylko zewnętrzne pańskie zalety. Twierdzi ona, że na twarzy pana malują się jednocześnie: cichy spokój franciszkanina, godność pierwszego szefa najwytworniejszego hotelu paryskiego, wreszcie chłód wyrafinowanego przestępcy!

— Bardzo to dla mnie pochlebne! — rzekł żartobliwie.

— Na jednym punkcie zgadzam się z panią Honeywell. — dodała Letycja. — Na twarzy pana maluje się energia i wytrwałość, z jaką pan dąży do określonego celu.

— Cóż w tym nadzwyczajnego, — odparł Thain, — gdy mężczyzna wie, czego chce i dokąd dąży.

— Zwłaszcza, — dorzuciła Letycja. — jeżeli ów mężczyzna dąży do celu bez względu na to, czy cel ten kryje w sobie pierwiastek dobrego, czy złego.

Słowa jej zaniepokoiły go.

Czyżby wiedziała, kim był?

Milczeli oboje, pogrążeni w myślach.

— Zadała mi pani cały szereg pytań. — przemówił pierwszy. — Pozwoli więc pani, że teraz na mnie będzie kolei. Do jakiego celu pani dąży w życiu?

— Jestem biedna dziewczyna, która ma niestety wytworne, a kosztowne upodobania. Muszę zatem tak manewrować, aby w sieci moje wpadł człowiek młody i bogaty i, by nie miał innego wyjścia, jak tylko zaprowadzić mnie do ołtarza. Od trzech lat dążę do tego celu i znalazłam jednego tylko... Karola Granthama. Ale i ten waha się w wyborze pomiędzy mną, a Sylwią Lacey...

— Ma pani na myśli córkę dotychczasowego mieszkanka willi w Broomsley?

— Tak. Sylwia jest nadzwyczaj miła. Pan też uległby jej czarowi. Każdy, kto ją pozna, prędzej, czy później, musi pokochać ją.

— Nie jestem kochliwym! — odrzekł, śmiejąc się, Thain.

— Boże, jak wysoko się pan ceni! — żartowała Letycja.

W drzwiach ukazała się księżna Karolina i przerwała rozmowę, która stawała się coraz bardziej niebezpieczną.

— Czy dosyć już nagadaliście się? — zapytała. — Pan Thain przyszedł do mnie z wizytą, Letty. Pozostali goście już się rozeszli.

— Inaczej mówiąc, czas już, bym i ja się ulotniła? — dodała Letycja.

— Pan Thain chyba z tobą nie pójdzie, Letty...
— rzekła księżna. — O ile go dobrze poznałam na okręcie, to — zdecydowany wróg kobiet, zwłaszcza panien.

— Właśnie dlatego wzbudza moją ciekawość. —
uśmiechnęła się Letycja. — Nie tak, jak Karolek
Grantham, który biegnie za każdym fartuszkciem...
Spotkamy się jeszcze nie jeden raz, panie Dawidzie
i znajdziemy okazję do dalszej rozmowy, którą obec-
nie zmuszeni jesteśmy przerwać.

— Jaknajchętniej, miss Letycjo! Cieszę się już
naprzód!

Po odejściu Letycji księżna usiadła obok Thaina.

— Nareszcie zaspokoję moją ciekawość. — za-
częła. — Czy pan zdążył już pożyczyć pieniędzy me-
mu bratu?

— Jak dotychczas nie pożyczyłem mu ani grosza.
— odparł.

Księżna była zdumiona.

— To ciekawe... — rzekła. — Tym lepiej, że przy-
puszczenia moje były błędne... Proszę mi wybaczyć,
że jestem trochę niedyskretna, ale wszakże ja wpro-
wadziłam pana do domu markiza, prawda?

— Jestem pani za to najmocniej obowiązany! —
odparł.

— Brat mój jest biedny jak mysz kościelna. Le-
tycja i Małgorzata, w spadku po matce mają po dwa
tysiące funtów renty rocznej. Mąż Małgorzaty jest
człowiekiem rozważnym i nie tylko, że nie korzysta
z pieniędzy żony, ale daje jej jeszcze drugie dwa ty-
siące „na szpilki“. Letty ze swych pieniędzy ubiera
się i prowadzi gospodarstwo domowe. Co tylko było
do sprzedania, Reginald sprzedał i dziś posiada tyl-
ko Mandeley, obdłużone do ostatniego hektara. Cały
czas spędza na naradach z adwokatami, by wycisnąć

jeszcze trochę grosza. Mam wrażenie, że wszystko to, co płacą dzierżawcy, idzie na opędzenie procentów hipotecznych. Jeżeli czasami złapie jakąś gotówkę, to zasila nią kasę pewnej damy w Battersea...

— Damy w Battersea? — rzucił Thain. — Co to za dama?

— Jego dawna miłość, a nawiasem mówiąc, jedyna rzecz, za którą nie można ganić Reginalda. Tak jak jest motylkowaty i nieobowiązkowy, tak tutaj okazał się wiernym, oddanym przyjacielem. Ale dlaczego się pan tak zamyślił? — zapytała.

— Ja... zamyślony?... Nic podobnego. To, co pani mówi, bardzo mnie interesuje... Proszę... Słucham jaknajchętniej.

— Reginald przed niczym się nie cofnie, aby tylko dostać pieniędzy. W różnych radach zarządzających dawał swoje nazwisko za kilka funtów i doprowadził do tego, że przestano się z nim liczyć. Chyba jakiś spekulant lekkomyślny da mu się jeszcze złowić na wędkę. Krewnych ponaciągał, i nikt mu nie da więcej złamanego szeląga... A mimo to wszystko Reginald jest człowiekiem szlachetnym i nigdy nie łamie danego słowa. Ale dość już tego. Powiedziałam wszystko, co mi leżało na sercu i, jeżeli mu pan da pieniądze, to na przepadłe. Gdy Reginald nie ma grosza przy duszy, jest wówczas łagodny, nawet przyjemny, gdy natomiast jest w pogoni za pieniędzmi, staje się po prostu niebezpiecznym... Zwalniam już pana od dalszego słuchania mnie, zwłaszcza, że widzę, jak panu pilno uciec od starej baby. Ale jeszcze chwila... Jeszcze chciałam pana o coś zapytać...

Thain kierował się już ku wyjściu, zatrzymał się jednak.

Patrzał zaniepokojony na księżnę, która rzuciła mu pytanie:

— A czy pan przypadkiem nie zakochał się w Lettycji?

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Niech pan się nie da usidlić... Jestem jej najstarsza przyjaciółka i nie chcę niczego taić przed panem. Ostrzegłam pana przed ojcem, muszę jeszcze ostrzec przed córką. A teraz, jeśli pan chce, niech pan jemu ofiaruje milion, a jej serce... Letty jest miłą dziewczyną, ale jak ojciec pełną pychy i dumy rodziną. Czy pan mnie zrozumiał?...

— Najzupełniej.

— Wiem, że Letty szuka bogatego męża, — kontynuowała księżna Karolina. — bo tak jej dyktuje rozum. Jest wszakże nieodrodną córką swego ojca, brak jej temperamentu, posiada za to wszystkie jego przywary... To spryciarzka, jakich mało.

— Czy księżna ma jeszcze jakiego członka rodziny, aby go...

— Niech pan nie mówi od rzeczy, panie Thain! Mama pana za człowieka rozsądnego! A proszę nie zapomnieć, że w piątek ma pan przyjść do mnie na obiad. Zostanie pan przedstawiony ministrowi skarbu, który z pewnością zacznie pana namawiać, ze względów podatkowych, by pan pozostał w Anglii.

— A więc jeszcze jeden rabuś, który na mnie poluje! — rzekł Thain, śmiejąc się. — Czuję się jak baran, przeznaczony na ostrzyżenie.

— Lekkie podstrzyżenie nie zaszkodziłoby pantu! — żartowała księżna. — Na rogu Bondstreet mieszka podobno niezły fryzjer męski.

ROZDZIAŁ XIII.

Kropla goryczy wpadła w morze radosnej beztroski, w jakim od kilku dni pływał markiz. A kropla ta pochodziła z rozmowy telefonicznej, którą wywołał adwokat Wadham-senior.

— Książę wybaczy, że go niepokoję, ale nie miałem chwili wolnej, by go odwiedzić.

— O co chodzi? Proszę tylko mówić wolno i głośno, a nie bąkać pod nosem!

Stary adwokat odkasznął niespokojny. Był dumny ze swej wymowy, aż tu naraz jakieś zastrzeżenia...

— Chcę mówić o akcjach, jakie nam książę polecił złożyć w banku.

— I cóż dalej? — odrzekł szczęśliwy posiadacz akcji.

— Bank zawezwał mnie dziś i oznajmił, że według zasięgniętych informacji, akcje nie przedstawiają żadnej wartości.

— Co pan mówi, panie Wadham?

— Żadnej wartości, bezwartościowe, po prostu na szmelc!

Markiz nie przejawiał najmniejszego zaniepokojenia.

— Niech pan się pięknie pokłoni dyrektorowi banku, panie mecenasie! — rzekł niefrasobliwie. — I niech mu pan powie, aby był dobrej myśli... Jeżeli

akcje nie przedstawiają dziś nawet wartości papieru, na którym są drukowane, to jedynie dlatego, że nie przedsięwzięto jeszcze robót wiertniczych. Czy zrozumiał mnie pan, panie Wadham?

— Najzupełniej, proszę księcia. Ale to nie zmienia faktu, że nikt akcji nie zna, ani się nimi nie interesuje, to zaś, co ludzie o tych akcjach mówią, bynajmniej nie brzmi pocieszająco. Uważałem za konieczne zakomunikować to księciu.

— Dziękuję panu uprzejmiel — odpowiedział chłodno markiz. — Wiem, że moje sprawy mają w panu dzielnego obrońcę, natomiast w kwestiach finansowych zdanie pańskie mniej jest trafne. W tej dziedzinie pozostawiam samemu sobie ocenę sytuacji. Proszę nie zapominać, że akcje „Pluton“ są przeważnie w mocnych rękach pana Thaina, multimilionera.

Wadham senior czuł się na razie pokonany.

— Wiem o tym dobrze — odparł. — i nie mogę ani na chwilę przypuścić, by pan Thain wprowadził księcia w błąd. Z drugiej strony nie wolno mi było pominąć milczeniem informacjach bankowych...

— Słusznie! — rzekł markiz. — Proszę o tym pamiętać i wyjaśniać zainteresowanym, że nabyłem akcje, kierując się cennymi wskazówkami rzeczoznawcy i finansisty. Do miłego widzenia, panie Wadham. Żegnam pana!

Mimo pięknych słów, jakie powiedział Wadhamowi, markiz był jednak mocno zaniepokojony. Już dwa razy miał zamiar zadzwonić do Thaina, uważał to jednak, na razie przynajmniej, za bezcelowe.

Lady Letycja znalazła go pogrążonego w ponurych myślach. Wracała właśnie z przyjęcia od ciotki Karoliny.

— Jak się miewa siostra moja? — zapytał.

— Ona sama dobrze, ale ci jej goście działają mi

po prostu na nerwy.

Markiz potakiwał zgodnie

— Dziwna rzecz, jak w latach powojennych zaciera się różnice towarzyskie! — rzekł. — My również w rodzinie naszej zbaczamy coraz więcej z właściwej drogi. Któż był u Karoliny?

Wymówiła cały szereg nazwisk, a na ostatku Thaina.

— Co? i Thain tam był? Słyszałem, że unika zebrania towarzyskich.

— Widocznie nie umiał się wykręcić, a ciotka potrafi nalegać. Musiała mu mieć do zakomunikowania coś ważnego, bo go zatrzymała dłużej niż innych.

— Z pewnością nudziłaś się, Letty?

— Niezupełnie ojczulku. Ale ja jestem zbyt podobna do ciebie. Wystarcza mi małe kółko naszych najbliższych przyjaciół... Taki na przykład aferzysta, jakim jest pan Thain, nie sprawia mi żadnej przyjemności...

— To szkoda, bo jest on przecież naszym sąsiadem. — odrzekł markiz.

— Nie warto o tym mówić, ojczulku. W każdym razie nie będę się wysilała na sąsiedzkie uprzejmości w stosunku do niego. Jeżeli płaci za Broomsley więcej, niż willa jest warta, to składa po prostu ofiarę za zaszczyt, jaki go spotyka. Każdy inny osobnik z jego sfery zrobiłby to jaknajchętniej... Nie wydaje mi się przy tym, aby lubiał on dobrowolnie płacić więcej, aniżeli trzeba...

— Pieniądz jest hormonem dzisiejszego życia Letty! — filozofował markiz. — Ileż to rodzin naszej sfery związało się z parweniuszami jedynie dlatego, by pieniądz stał się ich własnością...

Letycja uśmiechnęła się. Nic ją więcej nie bawiło, jak tego rodzaju rozumowania ojca.

— Przypuszczam, — rzekła wesoło. — Że ojciec nie przeznaczył mnie temu złotemu cielcowi na pożarcie?

— Ależ dziecko drogie! Jak mogą podobne myśli przychodzić ci do głowy? Jestem z siebie zbyt dumny, abym cię pchnął w środowisko ludzi, z którymi, jeżeli się stykam, to tylko z konieczności. O lepszej dla ciebie marzę przyszłości...

— Chwilami wydaje mi się, ojcze, — odparła Letycja. — że uczucia moje są w rozterce... Karolek Grantham nieraz mi działa na nerwy. Irytuje mnie wszystko, co mówi i czyni...

Ale masz z nim jedną wspólną, a najważniejszą cechę. Pragniecie oboje stworzyć ognisko rodzinne.

— Zobaczymy, co z tego wyjdzie! — rzekła trochę znudzona. — Dziś mamy czwartek, napewno więc wyjdiesz, jak zwykle do klubu?

— Tak, zjem tam kolację! — powtórzył po raz tysięczny kłamstwo, do którego wszyscy już przywykli.

Nachyliła się nad ojcem i pocałowała go w czoło.

— Odchodzisz już, Letty? A pamiętaj, nie wmawiaj w siebie gwałtem, że pan Thain jest antypatyczny. Może on przydać się nam jeszcze...

Letty pokiwała głową znacząco i przymknęła drzwi za sobą

ROZDZIAŁ XIV.

Jak w każdy czwartek, tak i dziś Marta weszła do restauracji Trewlysa. Wszystko odbyło się zwykłym trybem. Markiz wstał na jej spotkanie i podał jej krzesło. Zajmowali zawsze ten sam stół i jak zwykle, służba starała się im dogodzić.

Co pan nam radzi zjeść, monsieur Hebrard? — zapytał księżę doskonałą francuszczyzną. — Dobrze, niech pan sam wybierze i zastosuje się do życzeń pań.

Była to zwykła formułka przedobiadowa.

Trewlys uchodził zawsze za najlepszą restaurację, aczkolwiek nie nowoczesną i nie uczęszczaną przez publiczność, lubiącą się bawić.

Jak zawsze pojawiła się na stole butelka Bordeaux, po czym służba podawała potrawy, jak w każdy czwartek.

Marta przywykła do tego ceremoniału i dotychczas nie zwracała nań uwagi. Dziś jednak sztywność ta drażniła ją.

— Dlaczego tak mało dziś pijesz? — zapytała swego przyjaciela. — Przecież wino jest doskonałe?

Wskazał na swą rękę, cokolwiek spuchniętą w stawie.

— Trochę mi reumatyzm dokuczał — odrzekł. — Bronię się przed starością, ale prawdzie najle-

piej spojrzeć w oczy. Ty jedna nie potrzebujesz o tym myśleć.

Uśmiechnęła się nie całkiem szczerze.

Markiz wpatrywał się w nią w milczeniu. Jak przez te długie lata, tak i dziś podobała mu się nadzwyczajnie. Te same delikatne rysy, jakby wycięte w kamei, ta sama kształtna główka, okolona bujnymi włosami. Oczy były tak żywe, jak przed dziewiętnastu laty, zębki białe i równe.

Czy kocha mnie jeszcze? — pomyślał.

— Czy byłeś już u ojca w Mandeley? — zapytał.

— Niel — odrzekła. — Boję się, że źle mnie przyjmie i osądzi w ten sam sposób, jak to uczynił przed dwudziestu prawie laty. Czy mam stanąć przed nim, jak pokutująca grzesznica? Nie sędzę, Reginaldzie, abym się nadawała do tej roli.

Spojrzenia ich spotkały się. Oboje się uśmiechnęli.

— Rozumiem, jak trudno ci będzie rozmawiać z człowiekiem, który stał się dziś prawdziwym anachronizmem.

— Jest jednak moim ojcem! — odrzekła. — Pamiętam dobrze, jak był zagniewany, gdy opuszczał Anglię. Czy zdołam go przekonać, że mój ówczesny krok wyszedł mi na dobre, a nigdy na złe?

— Czy nie mogłabyś uprzednio dowiedzieć się, co teraz ojciec o tobie myśli, Marto? Przypuszczam jednak, że niewiele się zmienił. Tak przynajmniej należałoby sądzić z uporu, z jakim prowadził proces przeciwko mnie.

— Szkoda, — rzekła. — gdyż mimo wszystko uważam, że powinnam zrobić pierwszy krok ku pojednaniu... Ale mówmy o czymś innym... Jak spędziłeś ten tydzień?

— Przede wszystkim byłem w ciągłym kontakcie z Thainem, tym Amerykaninem, o którym ci wspominałem.

— A twoja spekulacja? Jak wyglądają te akcje?

— Zdaje się, że nienajgorzej. — odparł spokojnie. — Mam nadzieję, że zmienią one kompletnie moje dotychczasowe życie.

— Czy nie za wiele ryzykujesz? — zapytała.

— Tym razem nic nie ryzykuję! — odparł stanowczo, by ją uspokoić.

— Wyobrażam sobie, jak będziesz szczęśliwy, gdy zdołasz oczyścić twoje hipoteki.

— Nie tylko to, Marto. Najwięcej będzie mnie cieszyć, jeżeli dowiodę moim adwokatom, że lepiej od nich znam się na interesach finansowych.

— Ów pan Thain zdaje się być interesującym człowiekiem, Reginaldzie? Jak on wygląda?

W tej samej chwili markiz ujrzał ku swemu zdumieniu w drzwiach wchodzącego Dawida Thain'a.

ROZDZIAŁ XV.

Równocześnie i Amerykanin dostrzegł markiza i podszedł do stolika.

— Witam pana! Co za niespodzianka! Księżę tutaj!

Podali sobie ręce i chwilę rozmawiali o rzeczach błahych, stojąc.

Pozwól Marto, że ci przedstawię pana Dawida Thaina, o którym z tobą mówiłem przed kilku minutami. Miss Marta Hannaway, o której literackich sukcesach niewątpliwie pan słyszał, panie Thain.

Wpatrywała się w przybysza.

Gdzie widziała, te głębokie oczy?

Również Thain przyglądał się Marcie z nietajonym zaciekawieniem.

— Miło mi poznać panią, miss Hannaway. Pytałem jednego z przyjaciół, gdzie można zjeść spokojnie, z daleka od zgiełku i nie natknąć się na znajome twarze. Wskazał mi Trewlysa i właśnie spotykam tu księcia.

— Czy boi się pan ludzi? — zapytała Marta.

— Z własnej mojej winy... — odparł. — Byłem zaproszony na obiad prywatny, ale wołałem nie iść. Chciałem przeto skryć się w jakimś kącie, by nikogo nie spotkać.

— Bardzo pan jest zajęty?

— Bogu dzięki, nie bardzo. Chwilowo cokolwiek więcej, gdyż likwiduję powoli moje przedsiębiorstwa amerykańskie.

Sklonił się przed Martą i przeprosił markiza, po czym zajął miejsce przy jednym z sąsiednich stolików i zażądał spisu potraw.

— Jakże ci się podoba ten potentat giełdowy? — zwrócił się markiz do swej towarzyszki.

— Jest takim, jakim mi go opisywałeś, Reginaldzie. Przeraziłam się, gdy zjawił się tak nieoczekiwanie.

— Istotnie, niezwykle zbieg przypadków.

Przez chwilę milczała, po czym podjęła rozmowę na ten sam temat.

— To pan Thain nakłonił cię do tej spekulacji?

— Tak. Ale miałem zawsze pociąg do akcji naftowych.

Uśmiechnęła się niedowierzająco.

Gdy służący podawał kawę, milczeli oboje. Dopiero, gdy się oddalił, zaczęła mówić:

— Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać, Reginaldzie?

— Proszę bardzo!

Jak łatwe wydawało się jej to pytanie, a jak trudno było je wypowiedzieć...

Postanowiła jednak uderzyć śmiało w sedno rzeczy.

— Czy uwierzysz, Reginaldzie, że ja nigdy nie byłam w restauracji z innym mężczyzną, jak z tobą?

— Również i ja nie byłem z żadną kobietą, odkąd ciebie poznałem. Mów jednak, co właściwie masz na sercu i do czego zmierzasz, Marto?

Zdziwiła się, że tak szybko ją przeniknął.

— Czy nie uważasz, Reginaldzie, że zanadto odosobniliśmy się od ludzi, zanadto zasklepiliśmy się w samych sobie? Tobie zawdzięczam, że się wysunęłam naprzód, że szerzej patrzę na świat, ale właśnie powodzenie wywołało we mnie chęć do większego obcowania z ludźmi. Przed paru dniami wyrwałam sobie pierwszy siwy włos, Regy... I wiesz, dlaczego czuję, że się starzeję? Bo brak mi towarzystwa ludzi równych mi wiekiem, ludzi, którzy żyją życiem więcej współczesnym...

— Nigdy, Marto, nie ograniczałem twojej wolności przestawania z ludźmi według twego uznania. — odpowiedział z prostotą.

— Wiem i uznaję to. Pytam więc, czy nie będziesz miał nic przeciw temu, abym czasami poszła do restauracji, czy też zrobiła wycieczkę z moimi znajomymi, jak na przykład z panem Bordonem, moim wydawcą, lub z Morris'em Hyde, znanym badaczem którego poznałam w Klubie literackim, a który opowiadał mi wiele ciekawych rzeczy ze swych podróży. Może zanadto uległam twym życzeniom, których wprawdzie nie wypowiadałeś, ale które odczuwałam instynktownie...

— Obawiam się, — odrzekł markiz. — że poglądy moje są naprawdę przestarzałe. Stosunek towarzyski mężczyzny do kobiety powinien być, w moim pojęciu, inny, aniżeli ten, który dziś można zaobserwować. Moje przesady w tej mierze wzmogły się raczej z biegiem czasu... Ale ja ciebie rozumiem, Marto, a nawet to, co powiedziałaś, powinno mi być samo przyjść do głowy...

— Byłeś zawsze dla mnie wszystkim, Reginaldzie i dotychczas jesteś mi wszystkim. Ty kształciłeś mój umysł i moje serce w pierwszych latach naszego związku, gdy podróżowaliśmy razem. Twoje poczu-

cie piękna pozwoliło mi zrozumieć Rzym i Florencję. Wiedziałaś, jak patrzeć na arcydzieła sztuki i ja twymi oczami na nie patrzałam...

— Te rzeczy są wrodzone. — odparł, jakby się bronił przed pochwałami. — Dla mnie największą przyjemnością było być twoim mentorem i przewodnikiem. Dziś jednak prześcignęłaś mnie i głębiej przeniknęłaś w dziedzinie piękna niż ja. A może uważasz, że fakt ten usprawiedliwia nasze duchowe rozstanie się?...

Oczy jej zasłzy łzami wdzięczności i przywiązania.

— Nie, Reginaldzie, to nie nastąpi nigdy! — odpowiedziała.

— A jednak myśli podobne tłoczą ci się do głowy, Marto. Ja się już nie zmienię i żyć będę dalej tradycjami. Tyś jest młodsza i patrzysz na świat oczami, pełnymi zachwyty. Możesz zrywać kwiaty i wspinać się na wierzchołki gór. Dla mnie pokryte są one zasłoną przesytu. Zaczynam patrzeć na świat oczami człowieka starego...

— Nic nie zdoła osłabić naszej przyjaźni! — odparła z uczuciem.

— Nie przesadzaj, Marto. Czyny tve możesz podporządkować twej energii, ale nigdy życzenia i uczucia. Za długo byłem twym kochankiem, bym ograniczył się do roli twego opiekuna. Podaj mi rękę, droga, i jeżeli chcesz, to dziś jeszcze cię pożegnám. Bądź szczęśliwa, a jeżeli doznasz zawodu, wezwij mnie. Powrócę!...

— Nie myślę wcale porzucić cię, Reginaldzie. Oboje bierzemy życie zbyt poważnie. Ja chciałam tylko wiedzieć, czy nie będziesz miał nic przeciw temu, jeżeli od czasu do czasu znajduję się w towarzy-

stwie pana Bordena, lub Hydea, w restauracji lub na wycieczce?

— Ależ nie absolutnie. Poznasz przynajmniej — dodał śmiejąc się. — inny przybytek gastronomii, niż Trewlysa.

— Jak ty mnie zawsze dobrze rozumiesz, Regy! Jadam tutaj bardzo chętnie, choć czuję się jakby zamknięta w małej klatce. Nagłe pojawienie się Thaina zrobiło na mnie wrażenie trzęsienia ziemi.

Coraz to więcej ją przenikał i czuł rosnący ból w piersiach.

— Masz słuszość, Marto, że tęsknisz za życiem bardziej wesołym i urozmaiconym. Dostrzegłem to już od kilku tygodni. Jadaj, kochanie z twoim wydawcą, lub z kim ci się podoba. Zażywaj swobody i niech ci się zdaje, że masz wakacje. Zasłużyłaś na nie po tylu latach wierności. A gdy powrócisz do siebie samej i rozważysz przeszłość i przyszłość, napisz do mnie, droga. Czekać będę na wieści od ciebie z całym zainteresowaniem.

— Czy zamierzasz opuścić mnie na czas dłuższy. — zapytała przerażona.

— Uważam to za wskazane. — odrzekł ze szczerością w głosie. — Zbyt egoistycznie zawładnąłem tobą, Marto. Daję ci więc wolność na tak długo, dopóki sama nie poweźmiesz jakiegoś postanowienia.

Uregulował rachunek i po chwili opuścili lokal.

— Odprowadź mnie do domu, Reginaldzie! — szepnęła mu do ucha.

— Nie, Marto, dziś nie mogę. Pozostawiam ci mój samochód, a sam pojedę taksówką na posiedzenie klubowe.

Stali, nie mówiąc, na trotuarze.

Chwyciła go za rękę.

— Chodź ze mną, proszę! — wyszeptała.

Pomógł jej wsiąść do swego samochodu.

— Alfred odwiezie panią do Battersea! — zwrócił się do szofera. — A potem Alfred podjedzie po mnie do klubu.

Dziwne uczucia opanowały ją, gdy się znalazła sama w samochodzie.

Przez długie, długie lata nie było wypadku, aby jej nie odwiózł do domu. Czuła jednak, że łązy w jej oczach i ból w sercu, należą już tylko do... przeszłości. Terazniejszość straciła okowy z jej ramion.

ROZDZIAŁ XVI.

W kilka dni później księżna Karolina przejeżdżała przez Piccadilly.

Spostrzegłszy przechodzącego Thaina, zatrzymała raptownie samochód i poleciła lokajowi, by go wyszukał w tłumie przechodniów.

— Proszę, niech pan siada! — zawołała do przechodzącego Thaina. — Dokąd pan spieszy? Podwiozę pana, a po drodze pogawędzimy.

— Szedłem do „Savoyu“ i chciałem przejść przez park.

— Przechadzki użyje pan po śniadaniu, a tymczasem pojedziemy razem.

Thain z rezygnacją poddał się rozkazom księżnej.

Śmiała się bez ustanku.

— Osobliwy z pana człowiek, kompletny odludek! Co pan będzie robił na starość? Czy pan wie, jak straszną jest samotność?

— Tak, ale i towarzystwo ludzi nieraz człowiekowi dokuczy... — odparł.

— A co więcej u pana słyhać? Czy usłuchał pan mojej przestrogi?

— Której mianowicie, bo wszakże niejedną dała mi księżna?

— Mam na myśli tę, która się dotyczy mego bra-

ła. Widziałem się z nim kilka razy i zawsze bujał w obłokach. Reginald, ilekroć chce grać rolę geniusza finansowego, staje się śmiesznym. Gotów jest on nawet pouczać samego ministra skarbu, tak jest przeświadczony o swych talentach. W ostatnich dniach trochę spuścił z tonu... Przypuszczam, że spotkał go jakiś zawód... Kryje się z tym przed ludźmi, mnie jednak nie wywiedzie w pole. Oho!

— Kiedy widziała księżna ostatni raz markiza? W środę?

— I w piątek... Wyglądał przygnębiony, jakby nową poniósł stratę. Łata swe ukrywa, jak może, ale z jego pochylonej cokolwiek postaci widać, że dźwiga już siódmy krzyż. Co pan z nim zrobił, panie Thain?

— Nic. W każdym bądź razie nic takiego, coby usprawiedliwiało ciemne kolory, w jakich go pani opisuje.

— A kiedy pan z nim mówił??

— W czwartek.

— Gdzie?

— W restauracji Trewlysa.

— Czy był w towarzystwie?

— Tak jadł tam śniadanie.

— Napewno z pewną damą.

— Czy też krzyżowe pytania uważa księżna za słuszne?

— Nie bądź pan niemądry! — zganiła go. — Cały Londyn wie, jaki stosunek łączy od wielu lat brata mego z panną Martą Hannaway. Rodzina nasza jest nawet zadowolona z tego związku. Miss Hannaway pochodzi wprawdzie ze sfery niezamożnej, jednakże z biegiem czasu wybiła się jako powieściopisarka nader utalentowana. Wpływ, jaki wywiera-

ła na Reginalda, był zawsze dodatni... Czy spotkał ich pan w czwartek?

Dawid skinął głową, spoglądał jednak przez okno, jakby go więcej interesował ruch uliczny, aniżeli rozmowa z księżną.

— Słyszał pan napewno o procesie, jaki Reginald niedawno przegrał? — podjęła księżna na nowo. — Stroną przeciwną był niejaki Vont, a miss Hannaway, przyjaciółka mego brata, jest córką tego Vonta.

— W takim razie wierność markiza rzeczywiście jest fenomenalna! — rzekł Thain.

— Nawet więcej niż fenomenalna, panie Thain. O przyjaźni podobnej czyta się dzisiaj tylko w romansach. A mimo to Vont, jak się dowiaduję, żywi względem Reginalda te same wrogie zamiary, jakie miał przed wyjazdem do Ameryki. Po całych dniach przesiaduje przed dworkiem, jaki otrzymał z procesu i, trzymając biblię na kolanach, przeklina Reginalda oraz cały nasz ród, jakby od tego zależało zbawienie jego duszy. Chyba pan rozumie, jak dalece jest to niemiłe dla mego brata.

— Nie można jednak powiedzieć, — odparł Thain. — żeby stosunek miss Hannaway do brata pani był dla miss Hannaway zaszczytny.

Księżna Karolina zmarszczyła brwi.

— Dlaczego? — zapytała, zdziwiona. — Nie podzielam przesądów feudalnych Reginalda, nie pojmuję jednak, co stosunek jego do córki Vonta, kryje w sobie niegodnego, lub nieuczciwego.

— Nie chcę w tej sprawie wyrokować — odpowiedział Thain. — i wyraziłem tylko osobisty mój pogląd. Wyrosłem w twardej szkole i nie dostrzegam różnicy pomiędzy księciem, a drwalem leśnym.

ki wyrobnika są dla mnie tak samo godne szacunku, jak córki markiza.

Księżna Karolina wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Miałam rację, mówiąc, że Ameryka pod względem kultury jest jeszcze bardzo w tyle, ale ci liczni i młodzi pańscy, którzy do nas przybywają, powinni szybciej modernizować się. Pan jest doprawdy zabawny, panie Thain. Ale proszę mi nie przerywać! — zawołała, widząc, że Thain chce coś powiedzieć. — Nie będę z panem o to kruszyć kopii. Pragnę tylko dowiedzieć się od pana, skąd pochodzi przygnęwienie Reginalda. Jest on moim ukochanym bratem i chciałabym mu oszczędzić każdej przykrości. Wie pan, czego się najwięcej obawiam?...

— Nie... Nie domyślam się nawet. Nie oswoiłem się jeszcze z biegiem myśli pani i nie umiem za nimi nadążyć.

— Niech pan nie udaje obrażonego, drogi panie Thain. Obawiam się najwięcej tego, by miss Hannah nie porzuciła któregoś dnia Reginalda.

— Dlaczego by miała to zrobić? — spytał.

Księżna wzruszyła ramionami.

— Przede wszystkim jest od niego o dwadzieścia lat młodsza. Powtóre, wybiła się własnymi siłami. Tylko kobieta uduchowiona i energiczna może tego dokazać. Ma wielu przyjaciół i wielbicieli, którzy jej nadskakują. Reginald, będąc jedynie tylko miłym człowiekiem, da się łatwo zdystansować. Ale stosunek tych dwojga trwa już tak długo, że gdyby się przerwał, wywołałoby to ogólne zdumienie. Czy pan jest innego zdania?

— Prawdę mówiąc, nigdy nie łamałem sobie nad tym głowy! — odpowiedział. — Aczkolwiek myślę,

że posiadam trochę rozumu, to jednak wszystko to, co mi pani powiedziała, wywołało w mej głowie chaos. Słuchając panią, nie wiem, gdzie jest słuszność, a gdzie bezprawie, gdzie prawda, a gdzie kłamstwo. Między nami istnieje przeolbrzymia różnica pojęć. Ja urodziłem się i wychowywałem w środowisku, do którego należy Vont. Księżna i jej kasta uważają, że im się należy w społeczeństwie stanowisko uprzywilejowane i domagają się dla siebie praw specjalnych...

— Byłby więc najwyższy czas, aby się pan do nas dopasował. — rzekła wesoło. — Widzę, że nie doczekam się z pana pociechy. Ale oto jesteśmy przed hotelem „Savoy“. Czy pan rzeczywiście szuka wyłącznie towarzystwa męskiego? Czy te milutkie baletniczki z „Covent Garden“ zupełnie pana nie pociągają?

— W „Savoyu“ bywa mój agent giełdowy, do którego mam interes! — rzekł Thain. — Dla tych miłych dam nie mam wolnego czasu...

— To okropne! Muszę stanowczo wziąć kochanego pana pod moje opiekuńcze skrzydła.

— Czy mogę prosić księżnę o dotrzymanie mi towarzystwa? Obiecuję pani doskonałego homara. Jest to specjalność „Savoyu“.

Trochę się wahała, wysiadła jednak, przyjmawszy zaproszenie.

— Z pana jest miły człowiek i z pewnością mniej zarozumiały, niż na ogół potentaci finansowi.

— Mam nadzieję, że księżna nie będzie miała powodu uskarżać się na mnie

ROZDZIAŁ XVII.

Zamówione przez Thaina śniadanie „à l'Américaine“ przypadło do gustu księżnej Karolinie.

— Gdybyście wy, Amerykanie, umieli tak dobrze żyć, jak umiecie jeść, to byli byście najprzyjemniejszymi ludźmi na świecie! — rzekła.

— Należy każdego brać takim, jakim jest. — odparł Thain. — Co pani ma nam do zarzucenia ze swego punktu widzenia, Angielki?

— Przede wszystkim to, że znacie się lepiej na ostrygach i homarach, niż na kobietach. Przypuszczam, że zrobiła to wasza pogoń za pieniędzmi.

— Zgadzam się, że życie w Anglii daje człowiekowi więcej, aniżeli u nas w Ameryce. — rzekł Thain.

— Niech pan opowie mi cokolwiek o swej młodości.

— To panią tylko znudzi... Pochodzę z biednej rodziny i tylko z trudem zdołałem się dostać do uniwersytetu w Harvard. Zostałem później urzędnikiem kolejowym. Kolejnictwo interesowało mnie bardzo. Miałem kilka szczęśliwych pomysłów, które znalazły zastosowanie praktyczne...

— Czy pan jest bogaty?

— Posiadam w majątku dwadzieścia milionów dolarów.

— To znaczy cztery miliony funtów. I co pan myśli z tym robić?

— Osiedlić się na wsi. Jestem zapalonym jeźdźcem i myśliwym, przypuszczam więc, że na wsi nie będę się nudził.

— A poza tym nie ma pan innych planów?

— Może ożenie się...

— Nareszcie usłyszałam coś bardziej ciekawego. Czy zrobił pan już wybór?

— Nie jeszcze.

— To niech pan posłucha mej rady i przede wszystkim nie śpieszy się. A może pan zechce mnie pozostawić wybór żony? Poznałam pana i, jeżeli się pan nie zmieni, to potrafię, przypuszczalnie, wyszukać panu odpowiednią towarzyszkę życia.

— A dlaczego pani przypuszcza, że mógłbym się zmienić? — rzekł zdziwiony.

Przyglądała mu się badawczo.

— Wciąż mi się wydaje, że pana coś przyłacza, że pan toczy z samym sobą jakąś walkę wewnętrzną i stara się ukryć właściwe swoje oblicze. Może jednak mylę się... Może ciężka walka, jaką pan musiał wydać życiu, sprawiła, że pan stroni od ludzi. Zwolna atoli, prawdziwa pańska natura przebiję się na powierzchnię...

— Spostrzegawczość księżnej przeraża mnie. — rzekł Thain.

— Próżne obawy, drogi panie. Proszę mi powiedzieć szczerze, co pana gnębi, a z pewnością znajdzie pan we mnie oddaną sobie i dyskretną doradczynię.

— Pani nie myli się. Wisi nade mną miecz Damoklesa... Nie mogę jednak więcej wyznać pani, gdyż nie tylko moja osoba wchodzi tu w grę... Prawdziwe życie rozpocznie się dla mnie dopiero wtedy,

gdy zrzucę z siebie lub odrzucę to wszystko, co mnie dotychczas przytłacza...

— Ma pan zapewne jakiegoś konkurenta, który usiłuje pana zrujnować?

— Nie! Przed czasem nie uchylę nawet rąbka mej tajemnicy.

— A co pan chce robić w Broomsley? Tam z pewnością nie wypełni pan swej misji. Jest pan podobny do hrabiego Monte Christo, a taki nie wynajmuje pokojów umeblowanych... A może pan zamierza odkupić hipoteki Mandeley by potem je wymówić? Czy nie za późno ostrzegłam pana przed Letycją i, czy nie dla niej chce pan mieszkać w Broomsley?

Obserwowała go i starała się przeniknąć, niczem się jednak nie zdradził.

— Panny Letycji więcej nie widziałem, ale gdyby nawet upatrzyła mnie, dla mych milionów na meż, to i tak nie będę zabiegał o jej rękę.

— Czy pan gdzieindziej się zaangażował?

— Nie!

— Czy pan obawia się obdarzyć mnie swoim zaufaniem? — zapytała.

— Tu chodzi o tajemnicę nie tylko moją, nie wolno mi więc jej zdradzić.

— Wierzę że pan nie jest zdolny nadużyć cudzej tajemnicy i dlatego należy panu ufać

— Niewątpliwie. — odparł

— Zadam panu jednak ostatnie już pytanie. Dlaczego zaprzestał pan dalszego robienia majątku?

— Bo nie ma już w Stanach dróg żelaznych, któreby mnie mogły interesować. Mam więcej pieniędzy, niż potrzebuję wydać... W Ameryce nie znalazłbym spokoju, a każdy, kto czułby się uprawniony do skubania mnie, zasypywałby mnie prośbami.

Gdy tylko przekonałem się o tym, przystąpiłem zaraz do likwidowania interesów i wyjechałem. Lubię przy tym Anglię i mam dla Anglików dużo sentymentu i... wyrozumiałości..

— Niezawodnie i misja tajemnicza, którą pan musi wypełnić, zostanie wypełniona w Anglii?

— Tak jest! — odparł.

— Ile lat pan ma?

— Trzydzieści sześć.

— Najpiękniejsze lata mężczyzny! — westchnęła. — Ja mam już trzydzieści dziewięć. Ale nie martwmy się i nie traćmy nadziei...

Przerwała, a usta jej lekko drgały.

— Muszę już wracać... Jestem nieco zmęczona. Proszę nie zapominać o mnie i odwiedzić mnie kiedyś... Na jesień przyślę panu zaproszenie do Szkocji.

ROZDZIAŁ XVIII

Dojeżdżając do pagórka Rotten Row w Hyde Parku, osadziła lady Letycja swego konia. Jej towarzyszy przystanął również.

Obojgu brakło tchu.

— Bardzo ci jestem wdzięczna, Karolu, żeś mi użyczył jednego z twych wierzchowców. Tak rzadko mam okazję przetrząść się porządnie, że chyba na nowo wypadnie mi przyzwyczajać się do konnej jazdy. W Mandeley zasekwestruję sobie konia u pana Baileys'a, który ma zawsze kilka źrebaków pod wierzch.

— Trzeba je wprzód dobrze ujeździć! — odparł lord Karol Grantham.

— Gdybym należała do innej sfery, zostałabym napewno woltyżerką. Jak długo nie widzieliśmy się, Karolu?

— Nie przypominam sobie. Pamiętam tylko, że nie byłaś wtedy dla mnie zbyt miłą.

— Nie bądź dzieckiem! — rzekła wesoło. — Z pewnością byłam chwilowo w złym humorze. Te rachunki gospodarskie zawsze mnie irytują, a muszę je prowadzić, bo wiesz, że ojciec do tych rzeczy nie chce się wtrącać.

Lord Karol odkasznął znacząco.

— Już ci się powinny znudzić, Letty, te twoje rachunki domowe. Możebyś spróbowała zająć się moimi?

— Szczególniejszy sposób oświadczenia się o moją rękę! — odparła śmiejąc się. — Faktycznie to masz rację, to liczenie się z każdym groszem już mi obrzydło. Jeżeli się zdecyduję wyjść za mąż i pozbyć się wolności, to tylko wtedy, gdy mi się trafi bogata partia. Mąż mój musi nie tylko utrzymywać służbę, ale i zarządzać domu.

— Z pewnością masz na myśli tego drągala, Thaina? — rzekł z przekąsem.

O nie! Wprawdzie pan Thain jest człowiekiem sympatycznym, ale jako mąż dla mnie nie wchodzi on w rachubę. Zbyt silnie wrosłam w naszą kastę, aby różnice pochodzenia były dla mnie obojętne.

— Dlaczego w takim razie nie chcesz wziąć mnie? — zapytał mruklawie. — Mam własny majątek, zarabiam sporo, a w dodatku ojciec mój też mi nie żałuje grosza. Czyni to razem co najmniej dziesięć tysięcy funtów, co chyba wystarcza, bym się mógł ożenić.

— Jest to nawet dużo. — odparła. — Ale nie jestem przeświadczona, że mnie rzeczywiście kochasz, Karolu. A co będzie z ojcem, jeżeli zmuszony będzie prowadzić życie kawalerskie?

— Da on sobie radę! — rzekł z przekonaniem.

— Tak myślisz? Ja jednak nie jestem tego pewna. Mężczyźni pod starość wyłamują się łatwiej z karbów, aniżeli w młodości. Nie wątpię na chwilę, że Ada Honeywell poślubiłaby ojca, ale nie wiem, czyby to wyszło mu na dobre.

— Ada nikogo nie poślubi, nie mówiąc już o tym, że ojciec twój broniłby się rękami i nogami przed tą plotkarką.

— Biedna kobieta. Posiada krezusowy majątek, ale brak jej pochodzenia, rodowodu... Stanowczo nie jest ona dla ojca.

— Zostaw tę babę w spokoju! — prosił Karol.
— Lepiej sama wyjdź za mąż za mnie. Oglądałem niedawno willę przy Pont street, w sam raz byłaby dla nas.

Letycja patrzyła w zamyśleniu na wierzchołki drzew.

— Za kilka dni — rzekła. — jedziemy do Mandelej. Pomyślę tam o twoich oświadczeniach. Niech cię to nie zdziwi, jeżeli którego pięknego poranku otrzymasz depeszę z moją zgodą.

— Czy nie zaprosisz mnie do Mandelej? Przyjadę natychmiast.

— Nie, mój drogi. Nie mamy pieniędzy, by zapraszać gości. Jeżeli pan Thain nie zapłaci z góry za komorne w Broomsley, to wogóle nie będziemy mogli jechać...

Skierowali się ku bramie wyjazdowej i podążyli do domu.

Przed drzwiami zeskoczyła lady Letycja z siodła.

— Raz jeszcze dziękuję ci za przyjemność, jaką mi zrobiłeś, Karolu.

— Czy nie poszlibyśmy wieczorem do teatru, Letty?

— Przyjdź po południu na herbatę, to ci powiem. Ojciec jest dziś trochę zdenerwowany. Chodzi po całym domu i sama nie wiem, nad czym rozmyśla.

— — — — —

Gdy weszła, markiz siedział w swym gabinecie przy biurku i przeglądał encyklopedię.

— Dlaczego, ojcze, nie poszedłeś dziś na spacer?

— spytała, całując go w czoło. — Czy nie dokucza ci reumatyzm?

— Nie moje dziecko. Czuję się nieźle, lecz nie mam do niczego chęci! — odrzekł.

— Ja zaś skorzystałam z pięknej pogody, by przejechać się konno po Hyde-parku.

— A któż dał ci konia?

— Karolek Grantham ku wielkiej mojej radości. Tak już odwykłam od siodła... W Mandeley postaram się o wierzchowca. Jedźmy tam jak najprędzej! I tobie, ojcze, powietrze wiejskie dobrze zrobi.

— Jakże tam Karolek? — wtrącił markiz. — Porozumieliście się nareszcie?

— Nie mogę się zdobyć na to, by mu powiedzieć „tak“. Zresztą nie oświadczył mi się w sposób oficjalny.

— Uważaj, Letty, by ci go nie sprzątnęła inna z przed nosa. Osobiście cieszyłbym się bardzo z waszego związku.

— Ojczulek pewnieby chciał prowadzić życie kawalerskie. Byłoby może jednak najlepiej, gdybym została starą panną i siedziała zawsze przy ojcu.

Roześmiał się i szepnął córce do ucha:

— A czy nie byłoby dobrze, gdybyś zaprosiła Karolka do Mandeley i dała mu okazję do oświadczenia się?

— I on chciał, bym go zaprosiła, ale nie zgodziłam się na to. A nuż zakocha się w Sylwii Lacey? Przecież Sylwia z pewnością będzie naszym częstym gościem. Doprawdy sama nie wiem, co mam robić... A wieczorem, dokąd się wybierasz, ojcze?

— Umówiłem się z wicehrabią de Montavon, że się spotkamy w klubie. Przypuszczalnie złożę się partią winta we czworke.

— Zostań, ojczu, lepiej w domu. Nauczę cię grać w bridge'a.

— A bo ty potrafisz grać w bridge'a, Letty?

— Wcale nieźle... Nosłam się nawet z myślą udzielać lekcji bridge'a, naturalnie, by mieć z tego utrzymanie. Gdy jednak spostrzegłam, że moi partnerzy podobne mieli myśli, zaniechałam tej gry... Jeżeli ojczulek naprawdę ma zamiar pójść do klubu, to umówię się z Karolkiem.

— Chcesz się z nim spotkać sama? — rzucił to pytanie z lekką wymówką, którą Letycja dobrze zrozumiała.

— Dlaczegożby nie? — odparła. — Żyjemy w dwudziestym wieku i musimy się z tym, chcąc nie chcąc, pogodzić. Być może, że zakomunikuję ci jutro z rana wiadomość, której tak wyczekujesz, ojczu.

Markiz sięgnął po encyklopedię.

— Daj Boże, Letty. Nikomu nie sprawisz tym większej radości, niż mnie.

ROZDZIAŁ XIX.

Marta Hannaway podała swemu gościowi szklankę whisky z wodą sodową.

— Czy nie zauważyłeś, Jerzy, wczoraj w teatrze, naprzeciw nas włoży młodą, elegancką damę z naszej arystokracji? — zapytała Marta wydawcę swych dzieł, Jerzego Bordena.

— Czy pytasz o tą, która siedziała obok Karola Granthama?

— Tak! Wiesz, kto to jest? Lady Letycja Thursford.

— Czy to narzeczona Granthama??

— Nic o tym nie wiem. — rzekła Marta. — Wprawdzie markiz Mandefley, ojciec Letycji, życzyłby sobie, aby tak było, ale Letycja jest trochę uparta. Lornetowała mnie kilka razy i miałam ochotę zawołać do niej, że jej ojciec pozwolił mi wyjść wieczorem z domu.

Borden poruszył się na fotelu niespokojnie.

— Nie potrzebujesz tłumaczyć się przed nikim, Marto!

— Mówisz od rzeczy, Jerzy. Wiesz dobrze, że prosiłam Reginalda, by się zgodził na naszą eskapadę. Inaczej nigdybym z tobą nie poszła do teatru.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Borden odezwał się pierwszy:

— Wiesz, Marto, że od dawna uważam cię za nader korzystną lokatę kapitału.

— Zawsze nią byłam dla ciebie. Mało pieniędzy zarobiłeś na moich utworach literackich?

— Nie przeczę i chciałbym nadal dzielić się z tobą zyskami.

— Czy przypadkiem nie łączysz z tą propozycją jakichś warunków?

— A czy znałeś człowieka, któryby coś darmo dawał? — rzekł wymijająco.

— Łączymy interesy z innymi rzeczami w sposób całkiem niewłaściwy! — zganiała go. — Ale czy naprawdę zamierzasz przyjąć mnie za współniczkę przy wydaniu nowej mojej powieści?

— Podobny układ jest nie do pomyślenia, gdyż przeczyłby zasadniczemu zwyczajom wydawniczemu, Marto. Gotów jestem natomiast złożyć u twych stóp wszystko, co posiadam.

— To zwykłe wykręty!

— Bynajmniej, Marto. Mówię zupełnie serio... Wyjdź za mnie za mąż!

Ogarnęła go wzrokiem badawczym i zaniepokojonym.

— Jerzy, drogi! Gdybym nawet chciała być twą żoną, to czyż to jest możliwe w warunkach, w jakich się znajduję? Powiedz sam.

— Czy nie więził cię przez lat dwadzieścia?

Westchnęła bolesnie.

— Gdy miałam lat siedemnaście, pewien parobczak w Mandeley pocałował mnie. Odepchnęłam go tak, że już się więcej nie pokazał. W jakiś czas potem próbował to samo zrobić nauczyciel wiejski. Udało mu się nawet dotknąć mych ust. Później przy-

szedł Reginald, ściśle dziewiętnaście lat temu... Od tego czasu nie dotknęły mnie usta żadnego innego mężczyzny.

— Rekord wierności! — rzekł Borden. — Czy nie wyśmiałabyś podobnego rekordu w jednej z następnych swych powieści?

— W powieściach mych unikam bohaterów, którzyby byli do mnie podobni.

— Wyłączmy, Marto, z naszych rozmów te mrzonki. — prosił. — Czy wyraziłem się kiedykolwiek o twoim markizie choćby tylko z przekąsem? Twierdziłaś, że zachowywał się zawsze poprawnie, dobrzel! Ale już chyba czas, byś go porzuciła?... Czekam na to długie lata. Wiesz, jak bardzo pragnę mieć domowe ognisko, żonę i dzieci... Wiesz również, jak gorąco cie kocham, Marto...

W jej oczach pojawiły się łzy.

Niespokojnie poruszyła się na fotelu.

— Mówisz w sposób trochę... prymitywny.

— Życie jest rzeczą prymitywną i należy je w ten właśnie sposób ujmować. Od godziny filozofujemy, unikając jądra rzeczy. Dla ludzi rozumnych, którzy się kochają, jest tylko jedna droga.

— I według ciebie, drogę tę nie trudno znaleźć? — odrzekła Marta.

— Oczywiście, jeśli się ją chce znaleźć. Ty jednak komplikujesz rzecz i zasłaniasz się stale jakimiś obowiązkami względem tego człowieka... Zagarnął dla siebie kawał twego życia, a w zamian ci nie dał nic, uważając cię niemal za swą niewolnicę. Widocznie nie wyzbył się jeszcze pańszczyźnianych pretensji do prawa pierwszej nocy...

Urwał, dojrzawszy w jej oczach przebłyśki gniewu.

— Moja cierpliwość też ma granice, Jerzy! Licz

się więcej ze słowami, proszę... Reginald postępował ze mną zawsze, jak przystało na dżentelmena. Nie wiem, jak zniesie on zerwanie ze mną?..

Borden był naprawdę wściekły.

— Wy kobiety wszystkie jesteście jednakowe! — rzekł gwałtownie. — Nie umiecie odszukać prostej drogi i wolicie błąkać się po manowcach. Najprostszą rzecz potraficie skomplikować... Zastanów się tylko, Marto, nad swoją przyszłością. Gdyby chodziło o jego przyszłość, z pewnością nie wahałby się on wcale. On ma wszystko, co potrzebuje. A ty? Chyba nie?..

— A czy życie daje człowiekowi to wszystko, co chciałby mieć? — zapytała.

— Przeważnie ludzie, których życie ciężko doświadcza, sami sobie są winni. Pobię cię, Marto, twoją własną bronią. Mam lat czterdzieści jeden, a od lat dziewięciu, czyli od trzydziestego drugiego roku życia, kocham cię. Co zrobiły ze mnie te dziewięć lat? Człowieka zaniedbanego i na wszystko obojętnego. Sprawiam sobie nowe ubranie dopiero wtedy, gdy stare tak jest zniszczone, że nie sposób wyjść w nim na ulicę. Łażę po klubach, piję i gram w karty. Pilnuję wprowadzić mych interesów, ale poza biurem, zapominam o nich. Gdy tak dalej pójdzie, za lat pięć zestarzeję się... A któż temu będzie winien, jeżeli nie ty, Marto?..

— Czy zatraciłeś szacunek dla samego siebie?

— zaczęła mówić, lecz w ostry sposób przerwał jej

— Do diabła z tym szacunkiem. Jestem tylko człowiekiem i jako taki muszę mieć jakiś hamulec, muszę się z kimś liczyć i dla kogoś pracować. Los rzucił mnie w twoje ręce. O żadnej innej kobiecie nigdy nie będę myślał i z trudem powstrzymuję się, by ci się nie rzucić do nóg, Marto. Jeżeli się nareszcie

nie zastanowisz nad sobą i nie skłonisz ku mnie, to stanę się śmiesznym... Nie pozostanie mi wtedy nic innego, jak rozmówić się w cztery oczy z twym markizem, by zwrócił ci wolność!

— Czy naprawdę tak ci jestem miła i... niezbędna? — wyszeptwała słodko.

Już był przy niej, już padł na kolana i całował namiętnie jej ręce.

— Pytasz o to, Marto? Jesteś całą moją tęsknotą, całym marzeniem i pożądaniem. Niczego nie pragnę, tylko tego, abyś była moją. Prostak jestem nieokrzesany, lecz pomyśl, ile lat serce moje krwawi się, ile zniosłem bólu i upokorzeń?... Bądź dla mnie dobrą i wyrozumiałą. Czy wyraziłem się kiedykolwiek o markizie w sposób uwłaczający mu, aby nie mógł słyszeć mych słów? Marto! Ty musisz być moją wyłącznie i na zawsze! Jestem o ciebie zazdrosny i wiem, że nadszedł już czas, byś pomyślała o swym własnym ognisku, o swobodzie i spokoju pod własnym, pod naszym wspólnym dachem!...

Pochyliła się nad nim i ujęła pieścizotliwie jego twarz w swe dłonie, po czym usta ich spotkały się w długim, długim pocałunku...

— Wkrótce zawezwę cię, Jerzy... Może nawet bliższa jest chwila...

Nie mogła więcej mówić, widział jednak dobrze, że nic już ich nie rozdzieli.

— Zrobiłaś ze mnie najszcześniejszego człowieka! — powiedział radośnie. Ale już odejdę, gdyż czuję, że nie mógłbym dłużej nad sobą panować. Czekam, Marto, twego wezwania, dobrze?

— Dobrze!

— A do Mandelej pojedziemy razem. Mam teraz więcej wolnego czasu i chętnie cię tam zawiozę...

Zawahała się.

— Do dzisiejszego wieczoru nicbym przeciw temu nie miała, ale obecnie...

— Nie obawiaj się niczego, droga. Nie żądam więcej, niż mi przyrzekłaś.

— Więc może w przyszły wtorek?

— Dobrze!

Odprowadziła go do drzwi i pozwoliła mu pocałować się na pożegnanie.

ROZDZIAŁ XX.

Po powrocie z teatru Letycja zastała jeszcze ojca w gabinecie.

— Czy ojczulek wcale nie wychodził? — zapytała, siadając obok niego.

— Nie, dzwonił Montavon, że przyjść nie może, więc wołałem zostać w domu i przeczytać „Don Kichota“, co mi przypomniało trochę młodość... A ty, jak spędziłaś wieczór, kochanie?

— Bardzo mile. W teatrze było mnóstwo publiczności.

— Czy widziałas kogo ze znajomych?

Wymieniła kilka nazwisk obojętnych. Potem zawałała się chwilę.

— Między innymi widziałam również autorkę znanej mi świetnej powieści: „Świat zawsze ten sam“, Martę Hannaway. Była w towarzystwie jakiegoś trochę niewyraźnego pana, podobno, jak mówił Karolek, wydawcy jej dzieł...

Markiz nie zdradzał najmniejszego nawet zainteresowania

— Cieszyłku! — mówiła dalej Letycja. — Znowu jestem głupstwol!

— Jakież? Jeżeli zaciągnęłaś jakiś dług, to trudniami będzie...

— Gorzej niż to... Zaręczyłam się z Karolkiem Grantham'em.

Wiadomość ta najwidoczniej ucieszyła markiza. Poglaskał córkę po ręce.

— Ależ drogie dziecko! Spodziewałem się tego codziennie i sprawia mi to wielką radość.

— Ma ojczulek rację. Wcześniej, czy później musiało do tego dojść.

— Gdzież jest twój narzeczony?

— Pojechał jak wściekły do domu dlatego, że nie pozwoliłam mu pocałować się, gdy się ze mną żegnał.

— Prośba Karola była całkiem naturalną... — rzekł markiz.

— Nie przeczę, ale nie byłam usposobiona do czułości, ojczule! Nie dlatego, aby Karolek był mi nie miły, jako narzeczony, ale jako mąż mój wydaje mi się... okropny...

— W sferze naszej — odparł markiz. — małżeństwa zawierane są po większej części z rozsądku. Pozycja twoja wymaga, abyś poślubiła człowieka równego ci pochodzeniem. Ród Grantham'ów nie jest wprawdzie tak stary, jak nasz, jednak związek obu rodzin powitany będzie jak najprzychylniej, nawet przez dwór.

— Główna rzecz leży w tym, abym się dostosowała do wymagań tradycji. Ja wiem... Miałam jednak zamiar odroczyć jeszcze moje zamążpójście choćby na jeden rok...

Markiz uśmiechnął się.

— Dlaczegoż więc przyspieszyłaś zaręczyny?

Letycja spoważniała.

Sama nie wiem, dlaczego... Ale gdybym nawet wiedziała, to i tak wstydziłabym się wyjawić ci to, ojczule.

— Nie bądź taka tajemnicza, Letty! — prosił markiz. — Jesteś jeszcze dość młoda. W życiu powinniśmy się kierować tylko rozumem... Nie sędzę, abyś kiedykolwiek żałowała dzisiejszego twego postanowienia...

— Mam nadzieję, że nie, dziś jednak jestem wyjątkowo źle usposobiona i wszystko mnie drażni.

— Nie sądź siebie zbyt surowo, dziecko i nie martw się. Byłaś zawsze moją dobrą i posłuszną córką i bardzo cię kocham, Letty.

— Gdy cię porzucę, to z pewnością czuć się będziesz osamotniony, ojcze?

Markiz był prawie wzruszony.

— Samotność nie jest znów tak straszna! — odrzekł, nadrabiając miną.

Wyszła.

Markiz zasiadł głębiej na fotelu i pograżył się w smutnych myślach.

Słowo „samotność“ utkwіło mu głęboko w mózgu. Przeszedł go chłód niemiły.

Czyżby rzeczywiście czekała go samotność? O Marto!

ROZDZIAŁ XXI.

Zatrzymali się w oberży w Fakenham. Całą noc śniły się Marcie pola uprawne, lasy i łąki zielone.

Gdy zeszła rano na dół, do jadalni, spostrzegła przez okno, że Borden rozmawiał na szosie z jakimś nieznajomym.

Gdy ją zobaczył, natychmiast przybiegł do niej. Usiedli przy stoliku i zamówili kawę i pieczywo.

— Zwykle twoje szczęście, Marto. Gdy aniołowie podróżują, niebo się raduje.

— Dwadzieścia pięć lat temu byłam w tej oberży. Mój Boże, jak ten czas biegnie. Kto jest ten pan z którym przed chwilą rozmawiałeś?

Nieznajomy tymczasem wszedł do jadalni i zajął stolik w kącie.

— Pamiętasz, — rzekł Borden półgłosem. — mówiliśmy o nim przed paru dniami. Nazywa się Dawid Thain. Wspominałaś nawet, że już go raz widziałeś.

— Tak, przypominam sobie. To on właśnie wynajął willę w pobliżu Broomsley.

— Mówił mi, że osiadzie w Broomsley na stałe! — dodał Borden. — Zamierza dziś odwiedzić pułkownika Lacey.

— Jaki świat jest mały! — rzekła. — Ciekawa jestem, czy ten pan mnie pozna?

— Niewątpliwie...

— A w dodatku snuje już pewno najrozmaitsze domysły na nasz rachunek. Spójrz, jak nas unika i usiłuje być dyskretnym. Ale ja mu zrobię niespodziankę...

Skończywszy śniadanie, Marta podeszła do Thain'a.

Podniósł się i uklonił.

— Poznaje mnie pan? — zaczęła. — Przed kilku dniami widzieliśmy się u Trewlys'a, a dziś spotykamy się na śniadaniu w Fakenham. Przypomina mnie pan sobie?

— Nie dałem tego po sobie poznać. — odpowiedział chłodno.

— Nawet pan nie dostrzegł, gdy przywitałam pana skinieniem głowy, byłam więc przekonana, że mnie pan nie poznał...

Dawid milczał.

— Mówił mi markiz, że pan wynajął od niego willę, niedaleko stąd.

— Tak! Mieszkać będę w Broomsley!

— To miłe kąty. Przed laty mieszkałam w pobliżu...

— Słyszałem o tym. — rzekł obojętnie.

Oziębłość Thaina niemile dotknęła Martę.

Dlaczego ten człowiek był tak wrogo względem niej usposobiony?

— Widzę, że ktoś informował pana o mnie... To są skutki mojej sławy literackiej. Zbyt wiele ludzie o mnie mówią..

— W każdym bądź razie znam lepiej stosunki pani, aniżeli jej towarzysza! — odrzekł.

Uśmiechnęła się wyzywająco.

Chciał wojny? Dobrze, będzie ją miał.

— Towarzyszem moim jest pan Borden, wydawca moich utworów. Powieści moje zna pan niewątpliwie?

— Po części... Nie jestem zwolennikiem nowoczesnej literatury beletrystycznej, a już nazwiska wydawców zupełnie mnie nie interesują...

— Tak więc sława moja nie obila się o pańskie uszy? Jeżeli spotka pan markiza prędzej niż ja, niech mu pan, proszę, powie, że fałszywie mi naszkicował drogę w te strony. Musieliśmy objechać wielkie koło, nie mówiąc już o tym, że pękła nam opona.

— Dobrze. Powiem o tym markizowi, o ile go spotkam.

Pożegnała go skinieniem głowy i wsiadła z Borden'em do samochodu, kierując się okreśną drogą do Mandeley.

W kilka minut później odjechał również Thain swoim „Rolls Royce'm“, ale nie, jak można było przypuszczać, do Broomsley, lecz prostą drogą do Mandeley.

O kilkaset metrów przed pałacem zatrzymał samochód.

— Proszę zaczekać tutaj na mnie, — rozkazał szoferowi. — a jeżeliby w pobliżu stanął inny samochód, proszę natychmiast dać mi znać trąbką.

Poszedł do dworku wuja.

Ryszard Vont siedział swoim zwyczajem przed drzwiami. Ubranie miał zabłocone, a na czole jego widniały krople potu.

Spostrzegł siostrzeńca i przypatrywał mu się ze zdziwieniem.

— Od samego rana wuj, widzę, przy pracy? — zapytał Thain.

— Stary skinął głową potwierdzająco.

— Wstań wcześniej, Dawidzie, a budzi mnie słońce. Wejdź proszę. Zaraz się umyję. Miałeś przyjść dopiero po południu, prawda?

— Jadę wprost z oberży hotelowej, aby ci powiedzieć, że jedzie do ciebie inny jeszcze gość.

Vont spojrział ze zdziwieniem na Dawida. Otarł znów pot z czoła.

— Któż to może być? — zapytał.

— W oberży widziałem Martę, przypuszczam więc, że odwiedzi cię, wuju.

Stary odwrócił się i zapytał spokojnie:

— Czy nie wstąpiłbyś do mnie po południu?

Dawid zrozumiał wuja, pożegnał się z nim i wyszedł. Jadąc do Broomsleyu, obejrzał się i dostrzegł Vonta, siedzącego na progu z biblią w rękach. Starzec wyglądał jak bóg zemsty i niezgody.

Dawida przeszedł dreszcz zgrozy i przerażenia.

Przed willą, którą zamierzał wynająć, czekała Sylwia Lacey i z radością go powitała.

— Wszyscy już czekają na pana! — zawołała. — Ojciec, administrator Merridew i pański architekt. Zaraz rozpocznie się batalia. Ja wolę poczekać tutaj, gdyż ojciec, jak się zirytuje, traci zaraz równowagę.

— Proszę się tym nie przejmować, panno Sylwio. Nie zamierzam wcale kłócić się. Mój architekt, pan Muddicombe, lepiej się zna na budowaniu domów, niż ja i zdanie jego będzie rozstrzygające.

Dziewczyna była rzeczywiście urodziwa. Kształtna, zgrabna, tryskała zdrowiem i trudno było oprzeć się jej urokowi.

— Mam lekką rękę do wydawania pieniędzy — rzekła. — i dlatego będę się starała wyciągnąć od pana jak najwięcej za meble, zwłaszcza, że chcę pohulać z ojcem że dwa miesiące w Londynie. Pan się zna na kolejach żelaznych i na akcjach, ale nie na

meblach... Czy pan wie na przykład, ile warta jest szafa? Prawda, że nie! A zwróci nam pan pieniądze, wydane na urządzenie łazienki?

— Bardzo lubię ładny pokój kąpielowy i nie chciałbym, aby państwo zabrali z sobą to urządzenie! — rzekł Thain.

Odetchnęła z ulgą.

— No, to z pewnością się porozumiemy. A jak się miewa lady Letycja? A jej ojciec, markiz? Kiedy chciałby pan się wprowadzić?

— Wszyscy mają się dobrze, a lady Letycja kazała panią pozdrowić i powiedzieć, że lada dzień przyjedzie tutaj.

— Bardzo się cieszę. W przyszłym tygodniu chcielibyśmy stąd wyjechać, musimy więc zawczasu zapewnić sobie gdzieś dach nad głową. Czy pan słyszy ten hałas? To ojciec tak tupie nogami. Widać nie wszystko idzie po jego myśli.

— Może będzie lepiej, jeżeli osobiście wezmę udział w tej hałaśliwej dyskusji. — rzekł Thain.

— Owszem! — odparła Sylwia. — Proszę tylko nie stawiać łazienki na ostrzu miecza, oraz nie przypatrywać się zbyt podziurawionym kulami ścianom jadalni... Ale pan przecież jest aniołem... Proszę iść za mną i dziękuję z góry

ROZDZIAŁ XXII.

Dawid nie zawiódł zaufania Sylwii. Porozumienie nastąpiło szybko i willa została przez niego przejęta bez większych trudności.

— Dzięki Bogu, że to się już skończyło! — rzekła do Thain'a. — Napewno jest pan głodny?

— Trochę! — odparł. — Ale jeszcze nie ma dwunastej...

— Pytam dlatego, że mamy w domu zaledwie trzy chude kotlety, jeden dla mnie, a dwa dla ojca. Służba już nas opuściła. Nie wiem zatem, jak pana nakarmię.

— O mnie niech się pani nie troszczy. Zaprosiła mnie pani i to dla mnie wystarczy! — żartował Dawid. — ~~Ale~~ czy naprawdę nie ma w domu?

— W każdym razie nic do jedzenia! — odparła wesoło.

— Może jakie konserwy, lub marynaty?

— Nic, zupełnie nic! Spakowaliśmy już wszystkie graty, szykując się do wyjazdu. Zostały tylko keksy, które pan zjadł, gdy mu podałam kieliszek portwajnu.

— W takim razie pojedziemy po prowianty do Fakenham. Mój samochód jest gotów Będziemy tam za parę minut.

— Świetny pomysł! — zawołała wesoło. — Wy-

bierze pan sobie sam u rzeźnika, co najlepszego. Pyszny z pana mężczyzna, prawdziwy Amerykanin! Proszę chwileczkę poczekać. Skoczę po okrycie i w drogę!

Powróciła prędko i usiadła w samochodzie obok Thain'a. W drodze usiłowała zaspokoić swoją kobiecą ciekawość:

— Czy bardzo pan jest zaprzyjaźniony z markizem i jego rodziną? — spytała.

— Trochę! — rzekł Thain.

— Rzadki typ człowieka! — mówiła Sylwia z ożywieniem. — Wygląda, jak gdyby wyszedł z ram starego obrazu, rycerski, średniowieczny, bardzo interesujący. Nie rozumiem, dlaczego nazywają go niefrasobliwym?... Zupełnie przecież nie zasługuje na ten przydomek. Nieraz próbowałam z nim poflirtować, ale traktował mnie tak pobłaźliwie, jakbym była jego wnuczką... Czy pan bardzo jest zakochany w lady Letycji?

— Pani widocznie jest zdania, że to należy do przyjaźni? — wtrącił.

— Jasna rzecz, że tak być musi. Niech pan tylko pomyśli. Wielkie obszary ziemi i pałace, obdłużone aż po same dachy — oto hrabstwo Mandeley. Nieraz zjawia się na horyzoncie krezus amerykański. Czy nie powinien pojąć za żonę Letty? To chyba rozumie się samo przez się?

— Hm! Tak, jak pani te sprawy ujmuje, to rzeczywiście nie ma innego rozwiązania! — odparł żartobliwie.

— Naturalnie, że nie ma innego sposobu wyjścia i tak też pewno będzie, choć z mego punktu widzenia, trudno mi się z tym pogodzić.

— A to dlaczego, panno Sylwio?

— Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć panu, gdyż odpowiedź byłaby równoznaczna z zalecaniem się do pana, a to jest wszakże niedopuszczalne... Jak mogę walczyć z przeznaczeniem, ja słaba istota?... A skąd pan zna tę damę? — zapytała, widząc, że Thain uklonił się Marcie Hannaway, której samochód zrównał się z jego „Rolls Royce'm“.

Marta pragnęła zobaczyć całą okolicę, to też dopiero teraz jechała do zagrody ojca.

— Znam tę panią, aczkolwiek tylko powierzchownie! — odpowiedział.

— Nigdy jej dotychczas w naszych stronach nie widziałam, — rzekła Sylwia. — choć znam na wylot całą okolicę. — Widocznie jest ona tutaj po raz pierwszy.

— Mówiono mi, — dodał Thain. — że pochodzi ona z tych stron właśnie.

— Co panu więcej o niej mówiono? — pytała dalej Sylwia, trochę natarczywie.

— Tak długo nie zaspokoję pani ciekawości, póki pani nie skończy swych przepowiedni co do mnie i co do lady Letycji! — rzekł, śmiejąc się, Thain.

— Co się tyczy pana, to właściwie nie mam już nic do powiedzenia! — odparła. — Gdy jednak umilkną dzwony kościelne, zwiastuny pańskiego związku z Letycją, wówczas wypadnie panu rozwiązać pewien, niełatwy problem. Mam na myśli mały dworek, który stoi naprzeciw pałacu w Mandeley, niemal pod oknami pałacu...

— Znam ten dworek. O co tu chodzi?

— Starzec, — ciągnęła dalej Sylwia, — który w nim mieszka, przesiaduje całymi dniami na progu i, trzymając na kolanach biblię, przeklina markiza i jego ród do dziesiątego pokolenia, grożąc mu wiecz-

nymi mękami w piekle. Już raz, przed dwudziestu laty, rozpoczął to ciekawe przedstawienie, potem wyjechał do Ameryki, a obecnie, gdy powrócił, rozpoczął je na nowo.

— Czy markiz nie próbował pozbyć się natręta?
— zapytał Thain.

— Naturalnie, że próbował, ale bezskutecznie. Ojciec markiza przez wdzięczność za uratowanie mu życia, zapisał natrętowi dworek wraz z ogródkiem w sposób, odpowiadający prawu i bezapelacyjny. To też napróżno usiłował markiz odzyskać dworek. Procesował się przez całe lata i wreszcie sprawę przegrał ostatecznie. Ludzie mówią, że markiz był za młodu nieponiem i że uwiódł córkę starego, który dlatego właśnie mści się tak zawzięcie na uwodzicielu. Opowiedziałam panu wszystko, co wiem, a teraz proszę mi opowiedzieć, co pan wie o tej damie.

— Jest ona właśnie ową uwiedzioną córką starego wroga markiza! — odpowiedział Thain. Cała ta historia istotnie trwa już lat dwadzieścia.

Sylwia oniemiała z podziwu.

— W jaki sposób, — rzekła — pan, cudzoziemiec, Amerykanin, zna tak dokładnie te wydarzenia. Kto panu opowiadał o tym wszystkim?

— Przypadek zrządził, że zetknąłem się z głównymi bohaterami tych romantycznych przygód... Ten starzec, który nazywa się Vont, powracał z Ameryki na tym samym okręcie, na którym ja jechałem. Niefrasobliwy pan markiz, jak go pani nazwała, bywa co tydzień z córką starego w restauracji, w której ja często jadam... Ta dama nazywa się Marta Hannaway i jest znakomitą powieściopisarką...

— Ach jakie to wszystko piękne! — zawołała Sylwia z zachwytem. — Z tragedii wiejskiej z przed

dwudziestu laty wyrósł czarowny romans. Być może, że to ta wierna miłość zrobiła z markiza człowieka nie z tego wieku...

— Mówiono mi, — rzekł Thain, — że przez długie lata stał markiz wiernie u boku swej ukochanej... Ale gdzie załatwimy nasze sprawunki? — Jesteśmy już na miejscu. Wysiadajmy. Niech pan wybiera to, co pan lubi. Mnie się kręci w głowie od tych miłosnych historii i nie potrafię odróżnić wołowiny od baraniny.

Thain dość niezdarnie wybierał mięso. Wybrał wreszcie kilka kotletów, pozostawiając Sylwii dalsze zakupy. Sam udał się do sklepu z cukierkami, wybrał piękną bombonierkę z czekoladkami i ofiarował ją Sylwii, gdy znaleźli się z powrotem przy samochodzie.

— Nie wiem, — rzekł — czy trafiłem pani do smaku?

Klasnęła w ręce, biorąc czekoladki.

— Tak pięknej bombonierki nie dostałam w życiu mojem. Podjedźmy jeszcze do sklepu kolonialnego. Gdy właściciel zobaczy nas, potroi nam kredyt... Czy był pan kiedy biednym?...

— Tak! Ale pierwiastka romantyzmu nie da się wpleść w ten okres mego życia, jak to sobie pani może wyobraża... Krewny mój pożyczył mi trochę pieniędzy, dzięki czemu mogłem skończyć uniwersytet. Gdy uśmiechnęło się do mnie szczęście, nie byłem leniwy. Uchwyciłem je, nie za mały palec, lecz za całą dłoń, nawet za obydwie ręce. Dostałem jeszcze tyśiąc funtów pożyczki, ale musiałem przyjąć na siebie pewien warunek, jaki mi postawił.

— Że go pan dopuści do spółki, prawda?

— Nie! Przyrzekłem mu wykonać warunek o wiele trudniejszy...

Przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Jak by to nie było, — rzekła — słowo jest słowem i trzeba je dotrzymać. Jestem pewna, że pan nie umiałby złamać danego słowa!

Większą część drogi powrotnej do Broomsley przebyli w milczeniu. Dopiero, gdy mijali dworek starego Vont'a, odezwał się Thain.

— Tak! Warunki bywają czasami bardzo ciężkie...

— Nie mógł ich pan dotychczas wykonać?

— Nie! — odparł. Ale bliski już jest czas ich wykonania.

— Niech pan sobie nie łamie nad tym głowy! — prosiła. — A przede wszystkim niech pan zje trzy kotlety, jakie dla pana są przeznaczone! To panu poprawi humor

ROZDZIAŁ XXIII.

Wydawca Borden zatrzymał swój samocnod przy bramie wjazdowej do Mandeley.

Marta obrzuciła wzrokiem znajome jej z lat dziewczęcych kąty.

Była bardzo wzruszona i przez jakiś czas milczała. Potem odezwała się cicho:

— Naprawdę chcesz na mnie czekać, Jerzy?

Borden wskazał na plikę gazet, jakie zabrał z sobą, by skrócić sobie czas oczekiwania.

— Nie spiesz się, Marto! — rzekł spokojnie. — Tyle mam do przejrzenia różnych artykułów i rękopisów, że z pewnością nudzić się nie będę!

Jak bardzo samotny wydał się jej domek ojca! Wokoło panowała cisza. Tylko z kominu wydobywał się szary dym i świadczył, że musiał przecież być ktoś wewnątrz.

Gdy podeszła do zardzewiałych drzwiczek ogrodowych, przystała i obejrzała się niespokojnie.

Nieraz myślała o tych odwiedzinach, nie przypuszczała jednak, aby ją tyle kosztowały nerwów. Zalewała ją fala wspomnień. Od czasu gdy opuściła te progi, zaznała miłości i cierpień, choć więcej pierwszej...

Cichuteńko otworzyła drzwi i spostrzegła ojca, siedzącego w kuchni.

Na kolanach trzymał wielką księgę i zdawał się być pogrążony w myślach.

— Ojczel — wymówiła niepewnym głosem. — Przyszedł, by cię zobaczyć i przywitać. Czy nie sprawia ci to radości?

Wstał i wpatrywał się w nią. Mimowoli porównywała go ze stuletnim dębem, który zwycięsko opierał się burzom. Mogły nim targać, ale go nie powaliły. Oczy jego jednakowym świeciły blaskiem, zimnym, stalowym i twardym.

— Niel — odparł surowo. — Żadnej mi nie sprawiłaś radości. Skoro jednak przyszedł, to usiądź. Przyniosę sobie drugie krzesło i posłucham, co mi powiesz.

— Czy zostaniemy tutaj w kuchni? — zapytała trwożliwie.

— Tak! — odpowiedział. — W pokoju mieszkała i umarła twoja matka.

Marta zacisnęła zęby.

— Przypominam sobie, że matka moja lubiła przebywać w ogródku...

— Ale to nie ten sam ogródek! — odpowiedział starzec. — Ziemia zmienia się z pokolenia na pokolenia tak, jak kwiaty, które co rok wyrastają nowe... Ale dach nad głową mam zawsze ten sam... Poczekaj tu!

Wyszedł do sąsiedniej izby i przyniósł sobie krzesło, na którym usiadł i zaczął przypatrywać się córce.

— Tak, tyś jest Marta! Stałaś się ładną kobietą!

— Tak, ojczu, jestem Marta, twoja córka! — zawołała z pokorą. — Czy nie jestem ci już miła?

— Czy przyszedł do mnie, by prosić o pomoc? Powierzchnowość twoja mówi mi jednak, że nie to jest celem twych odwiedzin. Jesteś ciałem mego ciała. Mów, czego chcesz?

— O nic nie proszę, ojczu, tylko o trochę dobroci

Widziała, jak ręce mu drżały.

— O dobroć moją prosisz? — powtórzył. — Twoje życzenie wydaje mi się dziwnym, Marto. Czy utraciłaś życzliwych ci ludzi? Miałas ich niezawodnie, ale gdy się dowiedzieli o twym nikczemnym postępku, to się od ciebie odwrócili, prawda?

Opuściła głowę.

— Nie, ojczu. I to nie jest powodem, że przyszedłam do ciebie. Mam wielu życzliwych i wszyscy oni znają historię mego życia...

— Są to widocznie ludzie twego pokroju! — odpowiedział jej oziębło.

Niespokojnie poruszała się na krześle.

— Ojczu, — zapytała cicho, — czy twoje poglądy na życie, nigdy nie wydawały ci się zbyt surowe? Żałuję przykrości, jaką ci sprawiłam i wiem dobrze, ile goryczy i zawodów doznałeś przezemnie... Ale tego, co nastąpiło później, nie mogę żałować...

Stary oddychał ciężko.

— Nie żałujesz tego?

— Niel

Odpowiedź jej była szczera i stanowcza.

— Człowiek, który mnie wyprowadził z tego domu, dawał mi przez długie lata wszystko, co miał w sobie najlepszego. Do dnia dzisiejszego słowa swego nie złamał. Gdybym go porzuciła, to z pewnością nie z jego winy...

— Czy to ma znaczyć, że nareszcie uznajesz twój błąd? — zapytał starzec.

— Nic podobnego. Zrozum ojcze, że należę do wielkiego świata, gdzie rzeczy, które tutaj wydają się nadzwyczajnymi, są na porządku dziennym. Jestem literatką, a utwory moje są bardzo cenione. Wielu ludzi zabiega o moją przyjaźń. Mam również starającego się o moją rękę...

Długo badał ojciec wzrokiem córkę... Marta ubrana była skromnie, ale wytwornie...

— Jest taki, co chce cię pojąć za żonę? Ciebie? — rzekł stary z pogardą. — Z pewnością taki sam kwiatek, jak ty. Jeden z tych, którzy drwią z przykazań Boskich i dla których występki twój jest drobnostką!

— Człowiek, — rzekła spokojnie, — który pragnie mnie poślubić, jest wzorowym i szanowanym obywatelem tego kraju. Czy nie wierzysz mi, ojcze, że nie wszyscy ludzie patrzą twoimi oczami na świat? Człowiekowi, któremu oddałam się, tak byłam wierna, jakby nasz związek pobłogosławił kościół.

Starzec schwycił się za głowę, jakby rażony piorunem.

— To, co mówisz, jest bezbożną paplaniną! — rzekł. — Gdybyś do mnie przyszła oberwana, głodna i wynędzniała, możebym znalazł dla ciebie odrobinę współczucia i przygarnąłbym cię. Ucieklibyśmy stąd daleko i staralibyśmy się puścić w niepamięć to wszystko, co nas rozdzieliło. Ale ty siedzisz tutaj rozparta jak jakaś hrabina, syta, pewna siebie i nawet bronisz swych postępów. Chcesz mnie przekonać swoją uczonością i twymi książkami. To śmiecie! Jesteś głupia, bardziej głupia niż te owady, które

re tylko brzęczeć potrafią! Ty już nie odróżniasz dobrego od złego!

— Ojczel! — jęknęła z rozpaczą.

— A dzieci masz? — zapytał.

— Niel! — odrzekła cicho.

— A dlaczego nie masz dzieci? Mów zaraz!

Spojrzała mu w oczy, lecz nie wytrzymała jego wzroku.

— Tak, ojczel... uznaję mój błąd!

— Twój błąd? — rzekł szydlerczo. — Czy wiesz, jak nazywam kobiety, które wbrew przykazaniom Boga, żyją w rozpuście i występku? Dziewki, ladacznice... jesteście, pomiotem ziemskim. Łzami nie skruszysz mego serca, a twój dobrobyt jeszcze więcej ci hańbi! Pieniądze, jakie zarabiasz nierządem, odbijają się w twym stroju i kosztownościach, jakie masz na sobie. Jeżeli sądzisz, że obowiązkiem twoim było przyjść tutaj, to lepiej, gdybyś się była nie poczuwała do tego obowiązku!

Marta wstała.

— Jesteś okrutny, ojczel! — wyrzekła.

— Okrutny i twardy, jak powinien być sędzia dla grzesznika. Nie ma w tobie ani skruchy, ani żalu za wyrządzoną mi krzywdę. Jak ongi odeszłaś, tak się dzisiaj zjawiaś: głupia, zarozumiała i zła! Odejdź i wiedz, że przekleństwo, jakie z ust moich pada, jest zapowiedzią kary, jaką ci Bóg wymierzył!

Zaciśniętą pięścią wskazał jej furtkę ogrodową.

Szybko wybiegła i w parę minut była przy samochodzie, z którego Borden wyciągnął ku niej rękę.

— Prędko, Jerzy! Uciekajmy stąd! — prosiła.

— Nie pytaj mnie o nic!

Gdy samochód był w pełnym biegu, rzekła:

— Jedźmy wprost do Londynu i nie zatrzymujmy się nigdzie po drodze.

Dłuższy czas milczeli oboje, po czym znów odezwała się pierwsza:

— Wszystko poszło naopak...

— Przewidywałem to! — odpowiedział Borden.

— Jakaś uczuciowa aktorka możeby rozbroiła ajca, ale ja tego nie umiałam zrobić. Gdybym do niego przyszła biedna i obszarpana, wśród ulewy, lub zamieci, możeby mnie przygarnął, ale moje powodzenie i zamożność drażniły go tylko. Twardy jest jak kamień, nieustępliwy i nieprzejednany!

Borden potakiwał głową.

— Ojciec twój należy do innego świata, a ty, Marto do innego! — rzekł.

— Gdy się cofnę myślą wstecz, — mówiła dalej, — do tych czasów, gdy siadywał przed progiem swego domu, on, człowiek prosty, uczciwy i bogobojny, to zadaje sobie pytanie, czy naprawdę nie postąpiłam bardzo źle. Jak małą ma wartość w życiu powodzenie wobec uczucia jedności i zgody z ojcem!...

— Spójrz, Marto, — odpowiedział — na cudną przyrodę, jaka nas otacza. Czy może być człowiek o tak twardym sercu, by nie odczuwał piękna natury?

Wtuliła się głęboko w siedzenie i patrząc na ciągnącą się bez końca, gładką drogę, rzekła ze smutkiem:

— Prędzej, Jerzy! Prędzej!

ROZDZIAŁ XXIV.

Dawid Thain zjadł swoje trzy kotlety.

Po jedzeniu wszyscy przeszli na werandę, gdzie podano czarną kawę. Sylwia co chwila rzucała okiem na „Rolls Royce'a“, który stał opodal przy szosie.

— Mam nadzieję, — odezwał się pułkownik Lacey do Thaina, — że panu dobrze będzie w Broomsley. Mnie najwięcej cieszy to, że oddaję wilę w dobre ręce. Ja z moją córką czuliśmy się tutaj doskonale, prawda Sylwio?

— Ja też żałuję, — rzekła, — że się stąd wyprowadzamy... Chętnie robiłabym z panem Thain'em zakupy i załatwiała sprawunki. On zna się świetnie na tych rzeczach.

Dawid Broomsley opuszczał zatopiony w myślach.

— Dlaczegożbym nie miał, do diaska, zakochać się w tej miłej dziewczynie? — pytał samego siebie.

Gdy zatrzymał samochód przed żywopłotem dworku, usłyszał głos wuja swego, Vont'a. Starzec siedział, jak zwykle, na ławeczce i odczytywał głośno dziesięcioro przykazań.

Spostrzegłszy siostrzeńca, zamknął biblię i wstał. Opodal leżało złamane krzesło.

— Przynieś sobie krzesło, Dawidzie i siądź obok mnie! — rzekł.

Dawid wskazał na leżące na ziemi połamane krzesło.

— Wujaszek rąbał drzewo na wesele? — zapytał wesoło.

— Nie żartuj, proszę! — przerwał starzec. — Połamane to krzesło własnymi rękami, gdyż na nim siedziała kobieta niegodna.

— Wuj mówi o Marcie?

— Tak, o Marcie, która była moją córką. Uprzedziłeś mnie wszakże o jej wizycie.

— Wejdźmy do środka, wuju. Przesiadujesz tu całymi dniami sam na sam i tylko się biedzisz myślać. Chciałbym z tobą trochę porozmawiać...

Starzec podniósł się i podążył za siostrzeńcem.

Dawid z ciekawością przypatrywał się izbom.

— Wszystko jest tutaj po staremu — rzekł. — Wydaje mi się, jak gdybyśmy dopiero wczoraj wywędrowali stąd do Ameryki.

— Czas biegnie szybko, ale też niewiele on wart. Zaraz przyjdzie Maria Wells i przyrządzi nam herbatę. Siadaj, chłopcze, obok mnie i powiedz, co nowego słychać?

— Nic nowego!

— A jak z akcjami? — wypytywał stary.

— Bez zmiany. Za dwa miesiące dowie się o nich markiz dokładnie.

— Czterdzieści tysięcy funtów musi wyłonić. To nie w kij dmuchał — pokpiwał sobie Vont. — Ładna sumka... Ciekaw jestem, skąd ją wytrzaśnie? Ani jeden mórg ziemi nie jest nieobciążony, ani jeden cal wolny...

— Czy chcesz go zniszczyć doszczętnie, wuju?

— Tak. Ale to jeszcze nie wszystko, Dawidzie. Musisz spełnić do reszty dane mi przyrzeczenie, a dzień zemsty mojej jest już bliski.

Thain poruszył się niespokojnie

— To nie wszystko? — zapytał.

— Tak, żądam od ciebie o wiele więcej. Wiem, że niechętnie spełnisz moje polecenie, lecz musi być ono spełnione. Czy w naszych żyłach nie płynie ta sama krew? A zresztą słowo twoje równe jest przysiędze, Dawidzie, prawda?

— Co mam zrobić, wuju? — zapytał cicho.

— Jeszcze nie nadszedł dzień! — rzekł stary. — Dowiesz się na czas.

Czarne przeczucia zawładnęły Dawidem.

— Proszę, wuju, wyjaw mi to twoje żądanie. Nie mogę dłużej męczyć się...

— Nie nalegaj, chłopcze. Dzień dzisiejszy i tak był dla mnie pełen goryczy. Myślisz, że łatwo mi przyszło rozstać się z tą... kobietą, którą kiedyś nazywałem córką?

— Nie chcę ci sprawić przykrości, wuju, ale żał mi bardzo Marty.

— Nie masz żadnej potrzeby łamać sobie głowy nad losem Marty! — rzekł stary. — Jest ona zarozumiała i nadęta, jak paw. Przyszła wystrojona, jak lalka. Grała rolę damy z towarzystwa, ale doczeka się i ona dnia hańby... Być może, że obszedłem się z nią zbyt surowo, ale nie mogłem znieść jej widoku. Chciała mnie pouczać, uważając mnie za nieokrzesanego prostaka... Nie myśl o niej, Dawidzie i mówmy o czymś innym.

— Nie, wtju, nie wyczerpaliśmy jeszcze tematu. I ja zastanawiałem się nad tym wszystkim, o czym mówiliśmy, może nawet głębiej, niżbyś przypuszczał. Niewątpliwie Marta zbłądziła, ale czy świat jest tylko dla ludzi dobrych i pobożnych? Zajrzyj do Biblii, a znajdziesz tam potwierdzenie mych słów. Przez

dwadzieścia lat dochowywał markiz wierności Marcie i postępował z nią jak gentleman. Nie można mu zarzucić żadnej podłości i po dzień dzisiejszy jest on jej wiernym towarzyszem...

— Tak! — odrzekł Vont. — I Marta w ten sposób do mnie przemawiała... Przypuszczam więc, że grzech, jaki popełnili, może im być przebaczony dlatego, że się dotychczas razem trzymają? Wierność jest wtedy tylko cnotą, gdy idzie w parze z przykazaniami Bożymi, Dawidzie. Jest ona jednak występkiem, gdy podtrzymuje dzieło szatana!

Ale słowa starca nie przekonały Dawida.

— Przykro mi jest, wuju, że poglądy nasze na te rzeczy są tak rozbieżne. Przed laty, dziwiłem się nieraz w Ameryce, dlaczego wuj stronił od ludzi, byłem jednak za młody, aby o to pytać. Dziś rozumiem powody, ale pamiętam też, że wuj odejmował sobie od ust, aby posyłać mnie na uniwersytet. Zebrał wuj ostatni grosz, aby mi dać tysiąc funtów i umożliwić pierwsze spekulacje... O tych rzeczach nie zapomnę nigdy.

— Wszystko, co mówisz, jest prawdą, mój chłopcze. Ufałem ci i dawałem wszystko, co miałem, ale pod jednym warunkiem. Pamiętasz, jaki to był warunek? Siedzieliśmy wtedy przed naszą małą chatką w Orlich Górach, których wierzchołki wznosiły się dokoła. Wśród ciszy i majestatu natury, byliśmy blisko Boga. Pamiętasz?

— Pamiętam!

— Wróciłeś właśnie z miasta i wyjawiałeś mi swe życzenia. Wysłuchiłem cię, a potem opowiedziałem ci historię mego życia, opowiedziałem ci, jaka hańba spadła na mnie, jakie złe myśli mną targnęły i jaki

gniew tłumilem w piersi. Niczego nie tailem przed tobą, Dawidzie. Pożyczyłem ci pieniądze na słowo... Przysięgłeś mi, że zemsta moja będzie zarazem twoją i nasze przysięgi zlały się w jedną wspólną. Pamiętasz ów wieczór gorący i duszny? Wiatr pochylał wierzchołki jodeł i rozpędzał chmury na niebie, przynosił jednak zapach żywicy. Pamiętasz, Dawidzie?

— Tak, pamiętam!

— Staliśmy przed Bogiem, trzymając się za ręce. Przysięgłeś mi, Dawidzie, na twoje zbawienie, że pomożesz mi dokonać zemsty za zniewagę, jakiej doznałem i za wstyd, który mnie wypędził z ojczyzny. Nikt nie może cię zwolnić z tej przysięgi, a wola moja musi być dla ciebie święta. Jam jest panem, a ty moim niewolnikiem!

— Wiem, wuju i nie wypieram się. Czy nie spełniałem dotąd wszystkiego, czego ode mnie żądałeś? Czy złamałem kiedykolwiek moje słowo? Dla kogo, jak nie dla ciebie, zdradziłem człowieka, który mi okazał gościnność. Byłem ci posłuszny, gdy go pchnąłem do ruiny. Czego więcej żadasz ode mnie?

— Tak, żądam więcej!

— Mów więc, na litość Boską, wuju. Tajemnica, jaką kładziesz na moje barki, przygniata mnie do ziemi. Wiem, że jesteś moim panem i że, jak niewolnik, winienem ci posłuszeństwo. Powiedz jednak, błagam cię, czego więcej żadasz?

— Nadejdzie wkrótce dzień, gdy się o tym dowiesz!

— A do dnia tego mam być ofiarą mego zwątpienia i odrazy do samego siebie?

— Dlaczego miałbyś, Dawidzie, reagować w ten sposób na moje żądanie i twoją przysięgę? — pytał nieprzejednany starzec.

Dawid skoczył wzburzony. Czy nie powinien był teraz rzucić się do nóg wuja i prosić o zwolnienie go z przysięgi?

— Wuj! — rzekł. — Nie dopatruj się niewdzięczności w tym, o co cię teraz poproszę. Długie i niezbadane są drogi życia, po których kroczymy. Nikt jeszcze nie zgłębił powodów i potrzeby wszystkich naszych czynów. Ty sam znasz tylko jedną księgę: Biblię. Innej książki nie bierzesz do ręki. Z nikim nie rozmawiasz i dla nikogo nie masz ciepłego słowa. W Ameryce ustępowałeś każdemu z drogi, nienawidziłeś ludzi i wolałeś żyć w głuszy leśnej, aby ich tylko nie spotykać. Czy nie sądzisz, że świat nauczyć cię może czegoś więcej?

— Mówisz tak, jak mówiła Marta! — odpowiedział starzec. — I ona również opowiadała mi o jakimś nieznanym mi świecie. Czy dążysz do tego, by przygotować mnie na... złamanie twego słowa?

— Gdybym je mógł złamać, nie wahałbym się ani chwili, Markiz jest tylko nieodrodnym następcą swych przodków, przeświadczonym, że inni podporządkować się winni jego woli. Gdy uwiódł Martę, była ona wiejską pięknnością, prostą i niedoświadczoną, on zaś arystokratą, potomkiem jednego z najstarszych rodów tego kraju. A dziś? Jest panią swej myśli i swych czynów, on nie może wyczerpić siły z jej energii i zasobów ducha. Ona nie ma już sławę, niezależność i szacunek. Ona otrzymała... Dlaczego...

— A więc i ty, Dawidzie, jesteś jednym z tych zarozumiałców przemądrzałych, którym się zdaje, że przeniknęli tajemnicę istnienia? — zapytał z goryczą stary Vont. — Tylko ja w waszym mniemaniu nic nie umiem i nikogo nie znam. Ale cała wasza mądrość nie zdoła naruszyć prawdy odwiecznej: grzech się rozplenia, jak chwast i jest nieśmiertelny! Jedynie pokuta i skrucha mogą go złagodzić!

— Przemawiasz, wuju, jak kaznodzieja, który straszy swych wiernych piekłem, by utrzymać ich w wierze. Poza grzechem jest jednak jeszcze coś innego. W Biblii, którą uznajesz, znajdziesz ustęp, gdzie napisano jest: wyższą, ponad wszelkie zło na ziemi, jest miłość!

— Czy ta właśnie miłość kierowała nim, gdy w ciemnościach podkraść się do mego domu i uprowadził moją córkę? — szydził stary.

— Być może, że miał i inne powody, — odparł Dawid, — ale i miłość musiała nim kierować. Tylko miłość mogła sprawić, że związek ich był tak trwały. Bliżej nie interesowała mnie ta sprawa, wuju. Ale jedno ci jeszcze powiem. Czytałem Biblię od początku do końca, nigdzie jednak nie spotkałem tego braku litości, jaki sobie przyswoiłeś. Stosunek tych dwojga, o ile był naganny w początku, o tyle z biegiem czasu zasłużyli oni na przebaczenie. Pozostaw ich w spokoju. Uważam, że jest to nawet twoim obowiązkiem. Zemsta, jaką zamyślasz, oko za oko, ząb za ząb, — figuruje w Starym Testamencie, później atoli przyszło zbawienie...

— Skończyłeś już to kazanie? — przerwał starzec z uporem i zawziętością.

— Tak! — odpowiedział Dawid. — Zastanów się

głębiej nad moimi słowami, gdyż tkwi w nich prawda i sprawiedliwość.

— Nie chcę się sprzeczać z tobą dłużej, mój chłopcze. Pytam się po raz ostatni. Dotrzymasz słowa rzetelnie, czy też będziesz próbował wykrętów?

Dawid mierzył izbę krokami we wszystkich kierunkach. Wreszcie rzekł głośno:

— Słowa dotrzymam!

Stary Vont powstał, drżąc na całym ciele. Zdało się, że chce myśla i wzrokiem przeniknąć przyszłość.

— Bogu, niech będzie chwała! Pamiętaj, Dawidzie, o twym przyrzeczeniu. Nasza rozmowa była tym, czym jest dla ziemi deszcz wiosenny. Zło i dobro wiecznie trwać będą. Może nam się zdawać, że poruszemy świat, ale nie wyjdzie on na włos jeden ze swych posad. Śmierć jest nagrodą za przewinienia i żadna siła tego nie zmieni. Przebaczenie może przyjść, ale dopiero po wymierzonej karze!

ROZDZIAŁ XXV.

Przygnębienie i apatia owładnęły od kilku dni mieszkańców pałacu przy Grosvenor square.

Markiz odczuwał pustkę i brak celu w życiu. Nawet złudzenia co do majątku, jaki mu miały przynieść nowonabyte akcje naftowe, nie rozweselały już myśli jego. Od owego wieczoru, gdy zostawił Martę samą jedną w samochodzie, odczuwał coraz to większe osamotnienie. Sylwetka jej nie schodziła mu z oczu. Odbywał zwykle, ranne przechadzki i uczęszczał do klubu, poza tym jednak nie miał innego urozmaicenia. To też, gdy adwokat Wadham-junior zapowiedział na dziś swą wizytę, był temu rad.

Młody prawnik ułożył sobie naprzód całe piękne przemówienie, które, niestety, nie miało być pocieszające dla jego wysokiego klienta.

— Co dobrego pan przynosi, panie Wadham? — zapytał markiz na przywitanie.

— Przepraszam, że niepokoję księcia-pana, ale chodzi mi o akcje, które mieliśmy złożyć do banku celem zabezpieczenia nowych kredytów...

— Więc cóż z tego? Przecież jako adwokaci nie macie pojęcia o giełdzie? — odrzekł markiz drwiąco.

— Może książę-pan raczy w mojej obecności za-

dzwonić do agentów giełdowych, braci Youngs i Fiel-
den, którzy wszakże cieszą się jak najlepszą opinią
i zapytać, jaką wartość przedstawiają akcje naftowe
Towarzystwa „Pluton“.

— To niepotrzebne! — odparł markiz. — Naby-
łem akcje od mego przyjaciela, pana Dawida Thain'a,
a ten nie wprowadziłby mnie w błąd co do ich war-
tości.

— Jednak w sprawach pieniężnych ostrożność
nigdy nie zawadzi! — ostrzegął Wadham-junior.

— W danym wypadku nie mam żadnych obaw,
mój młody przyjacielu! — odparł markiz.

— Ośmielę się jeszcze zapytać, jakie posunięcia
finansowe zamierza książę poczynić, by urzeczywist-
nić kupno tych akcji?

— Podpisałem weksel na czterdzieści tysięcy
funtów, płatny za dwa miesiące.

— A z jakich funduszków weksel zostanie zapła-
cony? — dorzucił adwokat badawczo.

— Nad tym nie zastanawiałem się jeszcze, przy-
puszczam jednak, że w ciągu tych dwóch miesięcy
akcje tak podniosą się w cenie, że wystarczy sprze-
dać ich część, aby pokryć wartość całości.

Wadham młodszy z trudnością powstrzymał od-
powiedź, jaka mu się cisnęła na język.

Po chwili namysłu rzekł:

— Czy książę-pan wie, że bank wahał się zał-
czyć na te akcje nawet tysiąca funtów, potrzebnych
na zaległe procenty hipoteczne?

Markiz ziewnął, zasłoniwszy usta dłonią.

— Za dwa miesiące bank zmieni zdanie, panie
Wadham! — odpowiedział obojętnie.

— A jeżeli nie?

— Dziwna rzecz, jak wy, panowie adwokaci, lubicie znaki zapytania. Nie można dopatrywać się bezustannie plam na słońcu... Ja, jak panu wiadomo, jestem optymistą. Mam niezachwianą pewność, że akcje „Plutona“ przyniosą mi górę złota!

— My natomiast jesteśmy zdania, że przyprowadzą nam one komornika! — odpowiedział Wadham, zdobywając się na odwagę.

— Czy panu sprawiają przyjemność te czarne przeczucia, panie Wadham? — zapytał markiz, zapalając papierosa. — Czy ma pan jeszcze coś więcej mi do powiedzenia?

— Chyba tylko to, że za wpływ weksli nie bierzemy na siebie żadnej odpowiedzialności i że radzimy księciu wycofać się z tego kupna, o ile jest to jeszcze możliwe.

— Nie wątpię, — rzekł markiz z cechującym go spokojem, — że pańska rada wypływa z życzliwości dla mnie, ale, jak mówiłem, panowie patrzycie na te rzeczy z punktu widzenia... adwokatów. Proszę pozdrowić ode mnie ojca. Muszę już pana pożegnać, gdyż obiecałem mojej córce wyjść z nią na spacer. Czeka już na mnie na dole.

Przez całą drogę od pałacu markiza do biura firmy Wadham, młody prawnik kłął siarczyście samego siebie.

W tym samym czasie markiz odbywał z lady Lettycją zwykłą przechadzkę. Ale rozmowa jakoś się nie kleiła.

Dopiero po dłuższej chwili odezwał się markiz:

— Chciałbym z tobą pomówić, Letty, o twym bliskim już ślubie z Karolem Granthamem. Naturalnie, że ceremonia ta odbędzie się w sposób uro-

czysty, przedtem jednak chciałbym rozmówić się z twoim przysłym teściem.

— Wiem, że go nie lubisz, ojcze. — rzekła Letycja. — I dla mnie nie jest on zbyt sympatyczny...

— Uczucia osobiste musimy jednak odłożyć na drugi plan. Dla mnie związek twój z młodym lordem Grantham'em jest ze wszech miar pożądanym.

Letycja wzruszyła ramionami.

— Pragnęłabym, — rzekła, — aby odłożyć to do czasu naszego wyjazdu do Mandeley. Przyjmować tutaj w Londynie życzenia od tylu naszych znajomych byłoby dla mnie po prostu okropnością. Wszystkie moje przyjaciółki są w gruncie rzeczy wściekle, że wyrwałam im konkurenta. Karolek również woli, aby zaręczyny i ślub odbyły się w Mandeley.

— Życzeniom waszym stanie się zadość! — odparł markiz z dużą ulgą w głosie.

— Naturalnie, — dodała Letycja, — że w międzyczasie będę się często widywała z Karolkiem, ale to nikogo chyba nie będzie razić. I tak wszyscy już mówią o naszych zaręczynach. Czy nie męczy cię, ojcze, to kręcenie się nasze po parku w kółko tam i z powrotem?

— Nie czuję jeszcze zmęczenia... W tym roku Londyn naprawdę jest nudny...

— Nie cierpię tego miasta! — rzekła Letycja. — Czy nie moglibyście już w przyszłym tygodniu wyjechać do Mandeley?

— I mnie już obrzydło miasto. Jeżeli jednak postanowimy sobie prowadzić na wsi jaknajskromniejszy tryb życia, to ostatecznie możemy tam za kilka dni przenieść się. Zgadzasz się, Letty?

— Naturalnie, że się zgadzam i proszę cię, oj-

cze, nie łam sobie nad tym głowy. Już ja to jakoś urządę. Zabierzemy stąd ze służby tylko Gossetta i Smith'a, a w Mandeley przyjmujemy parę dziewczyn ze wsi. Resztę służby możemy choćby zaraz zwolnić.

— No, tak dalece nie ograniczajmy się, Letty. Przyłączyłem się niedawno jako wspólnik do pewnego przedsiębiorstwa przemysłowego i mam nadzieję, że wkrótce odzyskam niezależność pieniężną.

— Pewnie dlatego młody Wadham tak dokuczał dziś ojcu? — zapytała.

— Młody Wadham jest człowiekiem niedoświadczonym! — odpowiedział markiz. — Nie może mu się pomieścić w głowie, że zrobiłem ten interes na własną odpowiedzialność!

Nagle ogarnęło ją jakieś dziwne przeczucie. Schwyciła ojca mocno za rękę.

— Czy ten interes ma coś wspólnego z panem Thain'em? — zapytała.

— Owszem, pan Thain zaproponował mi go! — odpowiedział.

— A pan Wadham jest temu przeciwny? — pytała dalej.

— Mądra z ciebie dziewczyna, Letty, ale ja mogę się obejść bez aprobaty panów Wadham'ów co do wykonania mego planu.

Ogarnął ją dziwny niepokój. Uwagi ojca potwierdzały jej obawy.

— Wiesz dobrze, — mówił dalej markiz, — że pan Thain jest potentatem finansowym. Ciotka twoja, a moja siostra, Karolina, wprowadziła go do naszego domu. Nie zrobiła by tego, gdyby nie była o panu Thain'ie najlepszego zdania. Ciotka zapew-

niała mnie, że Thain zażywa w Ameryce nieposzlakowanej opinii...

— Ciotka Karolina poznała pana Thain'a dopiero na okręcie, — ostrzegła Letty.

— Nie zapominaj jednak, moje dziecko, że pan Thain wynajął willę w Broomsley i że przez długi czas będzie naszym sąsiadem. Gdyby zamierzał intrygować przeciw mnie, z pewnością nie osiedlałby się pod moim bokiem.

Letycja nie znajdowała na to odpowiedzi, jednak z twarzy jej nie schodziło zaniepokojenie. Zagadnienie pod nagłówkiem: „Dawid Thain“ nie było łatwe do rozwiązania...

Rozmowę przerwała przejeżdżająca obok księżna Karolina. Zaczęła wymachiwać z radości rękami.

— Mały ptaszek — żartowała — przyniósł mi o tobie i jeszcze o kimś dobrą nowinę...

— Wybierałam się z tym do cioci, choć postanowiliśmy z Karolkiem poczekać jeszcze pewien czas i nie oznajmiać nikomu o naszych zaręczynach.

— Jakże się cieszę, kochana moja Letty! Gdy pomyślę, ile rówieśniczek twoich ugania się za mężczyznami, to doprawdy należy ci powinszować dobrego połowu. Nie dalej jak wczoraj mówiono mi, że jakaś egzotyczna księżniczka poluje na Karolka jak diabeł na grzeszną duszę... Kiedy wyjeżdżacie do Mandelej?

Na pytanie to odpowiedział markiz:

— W najbliższych dniach, może nawet pojutrze.

— A wasz nowy sąsiad, — pytała ciekawie ciotka — kiedy wprowadzi się do Broomsley?

— Nie mam pojęcia! — rzekł markiz,

— Mam zamiar zaprosić go na jesień do Szkocji. — ciągnęła dalej Karolina.

Markiz był nieco zdziwiony.

— Czy to nie trochę... hm... hm...? — zapytał.

— Niel — odpowiedziała. — Thain jest na wskroś eleganckim człowiekiem, świetnym jeźdźcem, myśliwym i sportsmanem, jednym słowem nadaje się doskonale do naszego towarzystwa. Czy nie podzielasz mego zdania, Reginaldzie?

— Ależ owszem. Pan Thain był dla mnie zawsze sympatyczny. Co o nim sądzi Letty, nie wiem, ale to nie moja rzecz. Może jest innego o nim zdania.

Księżna Karolina westnęła.

— Biedny Thain! — rzekła i zaczęła się żegnać.

Po chwili była już daleko.

— Dlaczego ciotka uważa, że Thain jest biedny? — zapytał markiz córkę. — Ciekaw jestem, co chciała przez to powiedzieć? — dodał, trochę jakby zaniepokojony.

— Zdaje mi się, — wtrąciła Letycja, — że ciocia chciała zaakcentować różnicę w ocenianiu pana Thaina przez siebie i przez ojca. Nic ponadto.

Markiz jednak zastanawiał się dalej nad znaczeniem słów siostry.

— Pan Thain był naszym gościem — rzekł — i nadal będziemy po przyjmować, gdy zamieszka w Broomsley.

— Czy ojciec nie zna cioci Karoliny? Udaje demokratkę, dla której nie istnieją różnice klasowe. Jestem pewna, że chciałaby poflirtować z tym Amerykaninem, nie wiem jednak, czy on się na to zdecyduje...

— Mówisz nieco swawolnie, moja droga, — rzekł markiz — aczkolwiek może i masz trochę racji. Ciotka Karolina jest... jakby to powiedzieć... zbyt szczerą w swych życzeniach... Daje mi to sposobność do podkreślenia tej jednomyślności, jaka panuje pomiędzy mną a tobą w pojmowaniu obowiązków naszej sfery. Odtrącałaś ludzi, którzy usiłowali się wcisnąć do naszego środowiska w sposób godny naszego rodu, jak przystało na moją córkę...

— Przynajmniej to jedno odziedziczyć po ojcu! — rzekła wesoło. — Tym niemniej zazdroszczę tym, którzy nie dzielają naszych uprzedzeń rodowych.

Markiz milczał.

Dopiero kiedy weszli do pałacu i kiedy nie znalazł wśród nadeszłych listów ani jednego dla siebie, westchnął głęboko:

— Letycjo! — rzekł. — Nadeszło dla ciebie bardzo wiele listów.

Odwrócił się i poszedł do swego gabinetu

ROZDZIAŁ XXVI

Wczesnym rankiem stał Ryszard Vont w swym ogródku, oparty o łopatę i spoglądał na pałac książy. Cały zabrudzony ziemią ciężko oddychał, jak gdyby praca w ogródku zanadto go męczyła. Zmęczenie jednak niezbyt go obchodziło.

O wiele więcej zaciekawiał go ruch, jaki panował w pałacu. Jeszcze wczoraj okna pałacowe były zamknięte, a dziś odbijały się w nich promienie słońca, wesoło, jakby sobie drwiły z mściwego starca. Dookoła krzątali się ludzie z narzędziami, łopatami i grabiami, czyszcząc aleję wjazdową i gracując ścieżki.

Gdyby Ryszard czytał gazety, dowiedziałby się, że markiz Mandelej postanowił przenieść się na czas dłuższy do swego rodzinnego zamku w Mandelej.

Stary odwrócił się i wszedł do swego dworku. Umył się i ogarnął, po czym zasiadł w izbie do skromnego śniadania. Gospodyni, a zarazem daleka krewna Vonta, pani Wells, pilnie przypatrywała mu się.

Rozmawiając z nim, zupełnie się nie krępowała.

— Gdzie byłeś Ryszardzie, gdy przyszedłem tutaj dziś rano?

— Może spałem jeszcze... — odpowiedział stary, wymijająco.

— To nieprawda! Pukałam do okna, aby się dowiedzieć, czy kupić ci na śniadanie kawałek lizki, to przecież byś usłyszał...

— No to co? — zapytał.

— Nie jestem z tych, których obchodzą inni ludzie, — mówiła dalej pani Wells, — ale to, co ty robisz od czasu, jak przyjechałeś z Ameryki, nie mieści się w mojej głowie. Przez cały dzień siedzisz przed drzwiami z biblią na kolanach i nie widzisz, ani słyszysz, co się koło ciebie dzieje. Wczoraj wieczorem nie poszedłeś spać, jak człowiek, a dziś zrana, gdy sprzątałam łóżko twoje było nietknięte. Pewnie nie pierwszy raz nie spostrzegłeś, że noc zapada... Co to wszystko ma znaczyć?

Vont podniósł się i otworzył drzwi na oścież.

— To i nic innego! — odpowiedział szorstko, wskazując ręką na otwarte drzwi. — Nie potrzebuję opiekunki! Ten dom i ten ogródek są moją własnością. Nie zniosę tu nikogo, kto będzie mnie poglądał lub śledził. Robię, co mi się podoba! Jak będę chciał, to codziennie będę spał w ogródku i nie potrzebuję się przed nikim tłumaczyć, rozumiesz! Możesz spakować swoje manatki, powrócić na wieś i opowiadać tam ludziom o mnie, co ci się tylko żywnie podoba. Może jestem rozbójnikiem albo fałszerzem, a ludzie o tym nie wiedzą? Może kradnę po nocach, a nikt się nie domyśla, że to ja jestem złodziejem... To jest mój interes, a tobie zaś do tego!

— Nigdy nie byłeś człowiekiem nieuczciwym! — odpowiedziała. — I opamiętaj się trochę. Od czasu powrotu z Ameryki na krok nie wyszedłeś z domu. Czy tak powinno być? Przyjaciele twoi oczekują cię i radziby z tobą pogadać i wypić szklanę piwa. A ty

udajesz pustelnika i odludka. Czy boisz się ludzi, Ryszardzie? A jednak...

— Proszę, mów dalej! — przerwał ostro. — Nie krępuj się i powiedz, co masz na wątrobiel!

— Co ty robisz po nocach, że — gdy chcę zrana oczyścić twoje ubranie — jest ono zabrudzone gliną i mułem, mokre i przepocone... Przy śniadaniu jesteś tak zmęczony, jakbyś przez całą noc pracował w pocie czoła.

— W moim wieku — rzekł Vont — człowiek potrzebuje niewiele snu. Jak mi się spodoba spacerować w nocy po ogródku, to tobie nic do tego. Mam rację?

— Naturalnie, Ryszardzie. Każdemu człowiekowi wolno jest robić, co mu się podoba... Ale ja mam naturę szczerą i nie lubię jakichś tajemniczych sposobów postępowania.

— To też zwijaj manatki i nie łam sobie głowy nad tym, co ja robię. Dam sobie radę bez ciebie!

Mary Wells była bliska płaczu.

— Rób, jak chcesz, Ryszardzie. Ja ci z pewnością nie będę przeszkadzała!

— Dobrze! — rzekł stary. — Jesteś jedyną moją krewną, choć daleką... Trzymaj jednak język za zębami i nie zajmuj się sprawami, które cię nie obchodzą. Jeżeli zastosujesz się do mej woli, otrzymasz niewielki spadek, gdy zamknę oczy. Ale jeśli znów zaczniesz wypytywać i śledzić mnie, to będziemy się musieli rozstać. Zrozumiałas?

Skinęła głową na znak, że rozumie.

— Będzie, jak chcesz, Ryszardzie! — obiecała.

W zamyśleniu siadł Vont do stołu. Potem wziął

do ręki Biblię i usiadł w ogródku na zwykłym miejscu, naprzeciw pałacu.

Co chwila podjeżdżały samochody różnych dostawców.

Naraz usłyszał stary, że ktoś zbliża się do furtki. Był to Dawid Thain.

Przywitali się dość serdecznie. Zwłaszcza stary Vont był zadowolony z wizyty siostrzeńca.

Dawid wskazał ręką na ruch w pałacu i kręcących się wokoło ludzi.

— Czy wiesz, wuju, co to znaczy? — zapytał.

— Wiem. Chwili-tej wyczekiwałem w snach moich. Bezustannie patrzę na nich.

— Ale widzisz niewiele. Oni jeszcze nie przyjechali.

— To nic. Niebawem przyjedzie służba, a po tym on.

— Dlaczego z taką niecierpliwością wyglądasz go, wuju?

— Bo go nienawidzę! Od dwudziestu lat pałam żądzą zemsty. Nienawiść i miłość — to dary Boga, Dawidzie. Miłość, twierdzą ludzie, trwa wiecznie, ale nienawiść ją przeżyje. Nienawiść nigdy nie maleje, przeciwnie wciąż się potęguje. Była ona na ziemi pierwsza i będzie na ziemi ostatnia.

Dawid odwrócił się przygnębiony i wyczerpany. Starzec patrzył na niego pośpiesznie.

— Rozumiem, Dawidzie, — rzekł po chwili — że ty jesteś młody, a ja bliski grobu. Patrzymy na świat innymi oczami. Ale nie zapominaj o jednym: słowo jest słowem bez względu na to, czy wyszło z ust młodego, czy starego.

— Słowo jest święte, wuju! Nigdy temu nie przeczyłem, ani przeczyć nie będę!

— Ani nie będziesz usiłował go obejść?

— Nie, nigdy!

— Odejdź zatem z Bogiem, Dawidzie. Nie mamy już potrzeby o tem rozmawiać, skoro uznajesz świętość przysięgi. Masz przed sobą długie lata życia i radości. Bóg ci będzie błogosławić, jak i ja, gdy dotrzymasz słowa i gdy zemsta zostanie dokonana.

— Powiedz mi, wuju, — prosił Dawid, trzymając już nogę w strzemieniu — co mam jeszcze zrobić dla ciebie? Wszakże doprowadziłem go już do ruiny! Wróg twój jest dziś nędzarzem. Po raz pierwszy w życiu nie jestem w zgodzie z moim sumieniem, gdyż ugodziłem z tyłu w człowieka, który ofiarował mi gościnność i dzielił się ze mną chlebem. Kłamałem przed nim wtedy, gdy żywił do mnie zaufanie. Co mam więcej zrobić dla ciebie? Powiedz, gdyż nie mogę dłużej męczyć się w niepewności.

Ale Ryszard Vont głuchy był na te prośby.

— Dowiesz się, gdy nadejdzie czas. Jedź już! Bądź wesół i przyjdź, gdy cię zawezwę!

Dawid skoczył na konia i popędził w stronę Broomsley.

RODZDZIAŁ XXVII

Markiz zapalił cygaro i wyszedł z córką na werandę. Nagle wzrok jego padł na starego Vonta, który siedział nieruchomo przed swym dworkiem.

— Otóż i on! — rzekł cicho do Letycji. — Czy nie wygląda jak patriarcha?

Lady Letycja rzuciła okiem na mściwego starca.

— Czy spodziewałeś się, ojcze, że go więcej nie zobaczysz?

— W każdym razie nie należy to do przyjemności mieć przed sobą przez cały dzień tego starca, który ustawicznie nam złorzeczy. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mój adwokat nie był na wysokości zadania i że pokpił tę sprawę. Jest rzeczą niemożliwą, aby prawo sankcjonowało podobne ograniczenie własnością. To poprostu jest bezprawie i ciemnienie ludzi...

Stary Vont siedział nieruchomy jak posąg i wpatrywał się w markiza i w jego córkę.

— Jeżeli ten upiór myśli tak ciągle tkwić nam przed oczami, dostanę ataku nerwowego, lub też zmuszony będę zająć pokoje od tyłu, żeby tylko zejść mu z oczu.

— Dlaczego nie próbujesz, ojcze, dojść z nim do

ładu dobrym słowem? — zagadnęła Lełycja. — Być może, że tą drogą potrafisz go udobruchać

— Dobrym słowem? — rzekł markiz z goryczą. — On trzyma napewno broń obok siebie i gdy się zbliżę, wystrzeli do mnie. Mimo to spróbuję...

Poszedł z wolna ku dworcowi, a gdy się zbliżył do siatki drucianej, odgradzającej posesję, stary podniósł się.

— Proszę nie podchodzić! — zawołał. To może być niebezpieczne! Spoglądał na markiza spodoba, jakgdyby chciał go zabić, broni jednak nie miał przy sobie.

— Każdy ma prawo do swego, a do tego płotu park należy do mnie! Podeszedłem blisko, bo nie chciałem krzyczeć. Proszę mnie wysłuchać.

— Niech książę mówi, a gdy skończy, niech odejdzie!

— Zachowujecie się, Vont, jak dziecko! Przyszedłem, by pogodzić się z wami i przeprosić was za wyrządzoną krzywdę. Córka wasza miewa się dobrze i wywalczyła sobie dostatnie życie. Możecie więc puścić w niepamięć to, co dawno minęło...

— Ani pieniądze, jakie córka moja zarabia, ani wykształcenie, jakie posiada, nie zmażą plamy, która na niej ciąży! — odparł starzec.

Markiz poruszył się niespokojnie.

— Musicie się pozbyć uprzedzeń, Vont. Córka wasza jest dla mnie najcenniejszym skarbem. Całe życie postępowała jak kobieta uczciwa i rozumna. Gdyby pozostała w naszym domu, nigdy nie doszła by do tego, czem jest teraz, a wybiła się własnymi siłami. Jeżeli nawet zawiniłem wówczas, to później odmieniło się wszystko na lepsze. Porzućcie ten sro-

gi gniew! Przebaczcie mi, Vont i podajcie mi rękę!

— Prędzej bym ją odciął, aniżeli do zgody wyciągnął.

— Dlaczego tak mnie nienawidzicie, Vont?

— Bo wy, przemądrzali ludzie, potraficie zawsze kręcić i szukać wybiegów. Z książek waszych dowiadujecie się jak z prostego zrobić krzywe. Ale to wszystko na nic się nie zda i mnie nic przekonać nie zdoła. Wolałbym, aby Marta wyszła była za najbiedniejszego wyrobnika, aniżeli by żyła w sromocie!

Markiz zwiesił głowę.

— Jesteście upartym egoistą, Vont, pełnym przesądów i uprzedzeń. Marta była ze mną szczęśliwa, a w waszym środowisku nie zaznałaby szczęścia.

— Wiem już o tym wszystkim! — odpowiedział stary. — Marta była już tutaj i rezonowała akurat tak samo, jak książę. Przyjechała samochodem, cała w futrach i jedwabiach i starała się mnie przekonać. Wyrzuciłem ją za drzwi, a raczej za ogródek, gdyż przez próg mego domu nie ważyła się przestąpić. A pana, mości książę, wypraszam stąd i przeklinam!

— Czy nie macie, Vont, nic lepszego do roboty jak mnie przeklinać? — rzekł markiz, trącąc cierpliwość.

— W moim domu i moim ogrodzie robię, co mi się podoba. Ukradł mi pan, co posiadałem najdroższego i tak długo nie ruszę się z tego miejsca, póki starczy mi tchu w piersi, by przeklinać cały wasz ród. Mam tylko jedno życzenie i proszę Boga, by się spełniło przed moją śmiercią. A gdy się spełni, wówczas wskaże mi książę drogę do piekła.

— Widzę, Vont, że nie sposób pojednać się z wa-

mi i odchodzę... Jak pięknie kwitną te róże szlamowe!

Zdawało się, że Vont rzuci się na markiza, ten jednak, nie oglądając się, odszedł zwolna, zatopiony w swych myślach.

Wkrótce podszedł do córki, która, czekając na niego, spacerowała po parku niedaleko pałacu.

Nic z nim nie można zrobić, Letty! Uparł się i będzie nas przeklinał do śmierci. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc i do tych błazeństw Vonta przyzwyczaimy się też zwolna.

— Wiem, ojcze, rzekła Letycja, trochę wahając się — że są rzeczy, o których mówić mi nie należy, ale...

— To nie mów, — przerwał markiz — skoro tych rzeczy ojciec z córką nie powinni rozstrząsać! Chodź, zobaczymy, co robi ogrodnik.

Podeszli razem do ogrodnika, który oddawna wyczekiwał chwili, by coś powiedzieć.

— Zrobiłem, co się tylko dało, proszę jaśnie pana, ale pan administrator żałuje pieniędzy na kwiaty i nasiona, więc nie będzie ze wszystkim tak, jakby było trzeba.

Markiz potakiwał, pełen wyrozumiałości.

— Na przyszły rok będzie lepiej! — pocieszał ogrodnika. — Pan administrator też ma trudności z dzierżawcami i nie może na wszystko dawać pieniędzy. Ale to się poprawi i za rok pokaże nam ogrodnik, co potrafi.

Rozmowę przerwało przybycie miss Sylwii Lacey, która wesoło wyskoczyła z kabrioletu.

— Opuściliśmy już Broomsley! — zawołała do Letycji, witając się z nią. — Kilka dni przebijemy

w Midlingscourt, a potem do Londynu. Dziękuję ci, Letty, że nas zaprosiłaś. Cieszę się naprzód, jak dziecko. A jaki on jest miły!...

— Kto taki? — zapytała Letycja.

— Jakto kto?... No, pan Dawid Thain. Przed paru dniami był u nas na śniadaniu, ale co mi z tego przyjdzie, kiedy on w tobie zakochany po same uszy.

Letycja roześmiała się serdecznie.

— Mnie się nie obawiaj, kochana Sylwio. To nie mój typ!

— W każdym bądź razie to człowiek wykształcony i miły! — odezwał się markiz, chcąc widocznie przypomnieć dziewczętom, że nie są same

ROZDZIAŁ XXVIII

Pierwszy dzień pobytu w Mandeley nie przyniósł markizowi nic wesołego. Przeciwnie, otrzymał list od adwokata Wadham'a, którego najmniej się spodziewał.

Z niechęcią czytał wywody swego obrońcy prawnego:

„Jedynie w interesie księcia pana przedsięwziąłem wywiad, który może nie jest całkiem „comme il faut“, który był jednak koniecznością. Chodzi mi o te akcje naftowe Plutona, do których książę pan tyle przywiązuje nadziei. Otóż firma amerykańska, która zamuje się wyłącznie akcjami naftowymi i która jest całkiem au courant tych interesów, zapewnia mnie, że do obecnej chwili Pluton nie rozpoczął żadnych wierceń i że teren y te stoją odłogiem. To też widoki, aby miała tam wytrysnąć ropa naftowa, są minimalne. W tych warunkach usilnie radziłbym księciu wycofać się z tego kupna i skłonić sprzedawcę

akcji, aby uważał transakcję za niebyłą, nie ulega wątpliwości, że przedstawił on sytuację księciu-panu w fałszywym świetle.

Raz jeszcze zapewniam, że miałem na względzie jedynie bezpieczeństwo księcia-pana, z drugiej zaś strony nie widzę źródła, z którego moglibyśmy zaczerpnąć fundusze, potrzebne do zaspokojenia zobowiązania meksykańskiego, którego termin jest już niedaleki.

W przeświadczeniu, że książę-pan nie weźmie mi za złe tego listu, kreślę się
z najmyższym szacunkiem
oddany sługa

Stephen Wadham

W zamyśleniu spoglądał markiz przez wielkie okno na swe posiadłości. Od szeregu miesięcy przypominał mu administrator Meridew o niezbędnych reperacjach we wszystkich budynkach, które waliły się niemal. Zdaleka widział, jak Sylwia Lacey grała z Thainem w tenisa, podczas gdy Letycja siedziała opodal, jakgdyby zatopiona w czytaniu.

Jaka szkoda, że Letycja ma te rodowe uprzedzenia! Wołałby z pewnością, aby ona, a nie Sylwia grała w tenisa z tym bogatym Amerykaninem. A może przekleństwa ponurego Vonta zaczynają się już urzeczywistniać? Czyżby znowu zawiodło go szczęście z tymi akcjami?

By się owolnić od tych przykrych myśli ze-

szedł do ogrodu i skinał na Letycję, która z uśmiechem podbiegła ku niemu.

— Widzę, że pan Thain dość prędko zaprzyjaźnił się z Sylwią! — rzekł.

Letycja rzuciła okiem na grających, jakby ich dopiero teraz spostrzegła.

— Tak! — odparła. — Sylwia jest zachwycona panem Thain'em.

Markiz usiadł na fotelu ogrodowym.

Wyglądał źle.

— Co ci dolega, ojczy? — spytała zaniepokojona.

— Nic. W każdym bądź razie nic takiego, co by mi mogło popsuć humor wobec tej pięknej pogody. Nerwy mam trochę rozklekotane... Nieraz wydaje mi się, że przyszliśmy na świat o dwadzieścia lat za późno.

— Kłopoty pieniężne? — zagadnęła trwożliwie.

— Niestety! Oddziedziczyłem znakomite nazwisko, ale bez pieniędzy. Jesteśmy biedni, moje dziecko!

Westchnęła.

— Masz ojczy jakieś nowe zmartwienia? — za pytała ze współczuciem.

— Meridew codziennie mi przypomina o niezbędnych remontach. Bez liku jest tego. Nasze dochody wystarczają za ledwie na opłacanie odsetek hipotecznych. Skąd brać pieniędzy na to wszystko?

Meridew mówi, że boi się pokazywać na folwarkach, bo tak go napastują dzierżawcy.

— A co słyhać z akcjami, które ci sprzedał pan Thain?

— Na razie nie mogę jeszcze liczyć na jakiś dochód z tego źródła, Letty. Pisał mi nawet poufnie adwokat Wadham, że według jego informacji, akcje te nie mają żadnej wartości.

— Żadnej wartości? — powtórzyła przerażona.

— Tak. Adwokat radzi, bym prosił pana Thain'a o unieważnienie tej transakcji i o wydanie mi weksli z powrotem. Tego jednak nie zrobię, zwłaszcza, że tą drogą i tak nie dokonamy przecież remontów, ani nie zapłacimy procentów hipotecznych.

Letycja spojrzała w stronę Thaina.

— Nie może mi się pomieścić w głowie, aby akcje te były bez wartości! — rzekła. — Nie mogę przypuścić, aby pan Thain, sprzedając ci te akcje, miał jakieś złe zamiary względem ciebie.

— I ja tego nie przypuszczam, Letty. Ciotka Karolina wprowadziła go do naszego domu i prócz gościnności niczego innego od nas nie doznał. Tym więcej powinien nam być obowiązany, że wie, iż nie jesteśmy zbyt przyjaźnie usposobieni względem obywateli z drugiej półkuli.

— Ciocia ocenia go z innego punktu widzenia! — rzekła Letycja.

— Karolina pojmuje życie w sposób zbyt nowoczesny. Poglądy jej są odmienne od naszych.

— Chciałbym pomówić z panem Thainem o tych akcjach, dobrze ojcie? Sądzę, że rozproszy on twoje obawy.

— Nie dziecko, lepiej będzie, gdy ja z nim po-

mówię i to jak najprędzej... W każdym razie jestem zdecydowany nie pozbywać się tych akcji.

Thain i Sylwia przestali grać i zwolna zbliżali się do rozmawiających ojca i córki.

— Muszę już uciekać, Letty — zawołała — gdyż obiecałam wrócić do domu na herbatę, a panna mogę podwieźć do Broomsley'u — dodała, zwracając się do Thaima.

— Dziękuję uprzejmie — odparł — ale byłaby to zbyt ciężka praca dla kucyka pani. A może pan pułkownik zechce odwiedzić mnie kiedyś? Zagralibyśmy znów w tenisa, dobrze panno Sylwio?

— Naturalnie, że przyjadę z ojcem — zapewniała, siadając do kabrioletu i żegnając się.

Dawid również zamierzał odjechać.

— Niech pan przyjedzie do nas na kolację — rzekła Letycja. — Jadamy o ósmej i będziemy panu bardzo radzi.

Thain przyjął zaproszenie.

Kiedy podchodzili do bramy wjazdowej, odezwał się do idącej obok niego Letycji:

— Przypomina sobie pani obietnice, że przejrzy pani plan mego ogrodu?

— Dobrze, że mi pan o tym przypomniał. Ma pan ten plan? — dodała obojętnie.

— Nie mam go przy sobie, ale może podejdziemy do Broomsleyu?

— Niestety nie mam teraz czasu! — odpowiedziała wymijająco. — Łada chwila powinna przyjechać ciotka Karolina, a ponadto oczekujemy lorda Granthama. Ostrożnie, niech pan uważa! — dodała, gdy chciał tyłem przejść przez mostek, odwrócony do niej twarzą.

Po tych słowach pożegnała się z nim i skierowała w stronę pałacu.

Patrzył na nią, kiedy odchodziła i kilkakrotnie obejrzał się jeszcze.

Dostrzegł ją jeszcze z werandy w Dromsleyu. Siedziała na fotelu ogrodowym, czytając książkę, choć przecież mówiła, że nie ma czasu i że musi zakrzątnąć się przy gospodarstwie.

ROZDZIAŁ XXIX

Ze swej werandy w Bromsleyu widział Dawid pałac w Mandeley jak na dłoni.

Na stoliku stał serwis do kawy i pudełko z cygarami. W drzwiach czekał służący, starszy, czarno ubrany mężczyzna, wyglądający co najmniej na ministra.

Tę szarą godzinę Thain lubił najwięcej. Mógł odpoczywać i myśleć swobodnie. W pobliskich krzakach słowik rozpoczynał swą pieśń miłosną. Zmrok zwolna zapadał, ale jasne niebo i wschodzący księżyc w pełni, oświetlały dostatecznie pałac w Mandeley i cały ten, sercu jego miły, zakątek ziemi.

Dziwne myśli tłoczyły mu się do głowy.

„Niedaleko stąd — mówił do siebie — siedzi stary Vont, trzyma na kolanach Biblię i złożyć człowiekowi, który mnie przyjmuje i jak najżyczliwiej jest względem mnie usposobiony. Czyżbym miał zniszczyć tego człowieka? I jego i jego córkę, która mi jest droga, o której wciąż myślę?”

Łoskot otworzonych i przynikniętych drzwiczek ogrodowych wyrwał go z zadumy.

Skoczył i stanął jak wryty, dojrawszy spóźnionego gościa.

— Lady Letycja! — zawołał, nie wierząc własnym oczom.

— Niech pan nie robi takiej wystraszonej miny! — poprosiła, witając się z nim. — Jakże tutaj pięknie!

Podał jej fotel i nalał jej filiżankę kawy, którą piła z widoczną przyjemnością.

— Ta lura, którą nazywamy kawą w Mandeley, nie wytrzymuje porównania z tym nektarem! — rzekła wesoło. — Muszę tu kiedyś przyjść razem z ojcem.

Przyglądała się w zamyśleniu starym, pięknym drzewom, które otaczały willę.

— Wydaje mi się, że już sto lat chyba tutaj nie byłam. Czy pan też ma zamiar męczyć ojca o reparacje?

— Wszystko, co potrzeba, zostało już zrobione — odpowiedział z uśmiechem.

— Dzięki Bogu! Z pewnością dziwi się pan, że przyszedł tu tak późno?

— Bynajmniej. Wprawdzie nie spodziewałem się wizyty pani, ale teraz — wydaje mi się ona całkiem naturalną.

— Ma pan rację. Gdy spacerowałam po parku, przypominałam sobie o planie pańskiego ogrodu, więc przybiegłam.

— Bardzo pani dziękuje, Letycjo!

— Jest jednak jeszcze inny powód mej wizyty. chodzi mi mianowicie o akcje, które pan sprzedał ojcu.

— O akcje naftowe Plutona? zapytał Thain.

— Tak! Ojciec nie ma prawa hawić się w spekulacje, gdyż nie posiada grosza, by panu zapłacić

za te akcje... chyba, że akcje pójdą w górę i że osiągnie zysk. Zresztą nie znam się na interesach...

— Tak należałoby wnioskować ze słów pani — odparł sucho Thain.

— Ojciec jest niepoprawnym optymistą i ślepo ufa ludziom — mówiła dalej. — Wystarcza mu fakt, że pan jest amerykańskim milionerem, by pana uważać za człowieka nieomylnego. Dlatego też wieży święcie, że akcje Plutona zamienią się w kopalnię złota. Nie wiem, skąd mu przyszło na myśl kupić je? Pan chyba lepiej ode mnie jest w tej mierze poinformowany. Czy dał pan ojcu jakąś gwarancję, że akcje są naprawdę coś warte i że dadzą zyski?

— Przeciwnie! — odparł Thain. — Ostrzegąłem ojca pani przed tą spekulacją. Pytał mnie, jaką drogą mógłby szybko zarobić dużo pieniędzy. Zrozumiałem, że chciał spekulować i wspomniałem mu o akcjach Plutona. Zapewniam panią, że akcje te są obiektem spekulacyjnym w całym tego słowa znaczeniu.

— Czy akcje te poszły w górę od czasu, kiedy je nabył ojciec?

— Nie! Nic dotychczas nie przedsięwzięto, aby wartość ich wzrosła.

— A zatem kosztują one tyle, co dawniej, po dolarze?

— Tak jest!

— Ojciec nie chciał się zgodzić, abym pomówiła z panem o tej sprawie. Uważał, że byłoby nieładnie okazywać panu brak zaufania. Mimo to łamię sobie głowę, w jaki sposób zapłacić ma za akcje. Ja-

kiś adwokat poinformował się o tych papierach i otrzymał nader niepokojące wiadomości...

— Nie dziwi mnie to zupełnie — odparł Thain.

— Akcje kosztują czterdzieści tysięcy funtów, prawda? Ponieważ ich wartość nie uległa zmianie, może odkupi je pan i zdejmie ciężar, jaki ojcu leży na piersiach?

Amerkanin milczał przez jakiś czas, po czym, zapalając cygaro, rzekł:

— Pani rzeczywiście nie zna się na interesach.

— Interesy pieniężne? skądże mam się na nich znać? Umiem wprowadzić odróżnić uczciwość od oszustwa i wiem, co znaczy zaufanie w interesach, ale nic ponadto. A czy w danym wypadku pojęcia te wchodzą w grę?

— A gdyby akcje poszły w górę i gdyby ojciec pani osiągnął wielki zysk, czy i wówczas przyszła by pani tutaj?

— Z pewnością nie! — odpowiedziała.

— Zrobiłem ten interes z ojcem pani, nie z pobudek filantropijnych. Prosił mnie, by mu wskazać papiery o charakterze spekulacyjnym. Akcje Plutona tak samo dobrze mogą osiągnąć dziesięciokrotną wartość w ciągu jednego tygodnia, jak i spaść do zera. Ja jestem głównym posiadaczem tych papierów i nie mam nic przeciw temu, aby i inni ponosili ryzyko, lub osiągali korzyści.

— Korzyści? — zapytała zdziwiona. — Czy pan ich tak dalece potrzebuje?

— Nie! odrzekł. — Tu chodzi więcej o samą zasadę. Człowiek powinien utrzymać swój stan posiadania i dążyć do tego, by go pomnożyć.

Patrzała na niego z uwagą.

— Panie Thain?...

Słucham panią.

— Czy ma pan jakie powody, by źle życzyć ojcu memu?

— Nie mam żadnych! — odpowiedział.

— I ja w to nie wątpię! — rzekła. — Miałam jednak przez chwilę wrażenie, że pan usiłował dać mi odpowiedź wymijającą. Naturalnie omyliłam się i bardzo przepraszam pana za to niesłuszne podejrzenie.

Dawid zacisnął zęby.

— Na miejscu pani wstrzymałbym się jeszcze jakiś czas z odwołaniem tych podejrzeń! — ostrzegał.

— Chciałabym widzieć w ludziach same tylko dobre strony. — ciągnęła dalej Letycja. — Jakież interes mógłby pan mieć w tem, by zniszczyć mego ojca?... Czy pan pozwoli, że powtórzę moje pytanie: zgadza się pan wziąć z powrotem akcje i oddać w zamian weksle?

— Wątpię, — odpowiedział Thain, — czy pytanie pani odpowiada życzeniom jej ojca.

— Niech pan polega na moim zapewnieniu, że ojciec będzie bardzo zadowolony.

Thain spoglądał w stronę dworku swego wuja.

— Szczerłość za szczerłość, miss Letycjo! — rzekł po chwili wahania. — Wartość akcji pozostaje bez zmiany, a pomyślniejszych wieści o Plutonie няма. Jak dotychczas, ojciec pani pomylił się w swoich rachubach. Czy pani faktycznie życzyłaby sobie, abym zrobił ojcu prezent z czterdziestu tysięcy funtów?

Raptem podniosła się

— Teraz rozumiem, co pan miał na myśli, mówiąc, że my kobiety nie znamy się na interesach.

Tłumiła w sobie gniew, choć starała się nie dać poznać tego po sobie.

Nie mówiąc słowa, skierowała się ku wyjściu. Dawid, blady jak ściana, szedł w ślad za nią.

— Lady Letycjo! — szepnął błagalnie.

Odwróciła się, jakby zdziwiona i rzekła:

— Niech pan nie zadaje sobie trudu odprowadzania mnie.

— Zawstydzila mnie pani! — wyszeptał.

— Sam pan sobie jest winien! Oszukał nas pan po prostu!

— Spekulacja nie jest żadnym oszukaństwem! — odparł.

— Nie przeczę, panie Thain. Mimo to proszę powrócić i nie towarzyszyć mi!

— Mam coś po drodze do załatwienia! — rzekła hardo.

— Po drodze? — odpowiedziała zdziwiona. — Kogo pan może znaleźć po drodze?

— Chciałbym zobaczyć się ze starym Vont'em.

— Ach z tym starcem, który swymi przekleństwami uprzyjemnia nam życie. To pewnie jeden z pana przyjaciół?

— Poznałem go na okręcie, o czym już zresztą mówiłem pani. Poza tym starzec ten interesuje mnie trochę.

Szli razem w milczeniu. Przy bramie pałacowej Letycja przystanęła.

— Jest pan już u celu, panie Thain! — rzekła, wskazując na dworek Vont'a.

Otworzył bramę i cofnął się trochę, by dać jej przejść pierwszej.

— Niech pani idzie ścieżką, bo na trawnikach jest wilgoć! — ostrzegł ją.

Popatrzała na niego ostro, zwolna jednak spuściła oczy i pokraśniała. Zanim zdołał postąpić krok naprzód, uchwycił ją za obie ręce i przycisnął ją do piersi.

Zadyszany, prawie ochrypnięty, szeptał jej do ucha:

Proszę mnie uważać za największego na świecie osła, panno Letycjo. Nie wymagam, by mi pani ofiarowała coś więcej niż to, co pani uważa za słuszne. Weksle ojca pani zwrócę jak najchętniej. Niech go pani uwolni z mych szponów i ocali od mej zachłanności. W zamian winna pani traktować mnie jak człowieka i okazać mi choć trochę dobroci...

Letycja przeszła go wzrokiem, pełnym pogardy, widział jednak, że ją złamał. Opór jej słabł z każdą chwilą a pancerz, jaki ją otaczał, pękł.

— Pan oszalał! — wyrwało jej się z ust. — Chce mnie pan kupić za swe brudne pieniądze?

— Nie mam innej drogi, aby otrzymać od pani choćby tylko przyjazne spojrzenie! — rzekł z goryczą.

— Uważa mnie pan po prostu za część swego systemu kolei żelaznych?

Trzymał ją ciągle mocno za ręce, nie wydawało mu się jednak, aby była bardzo zagniewana.

— Czy to w ten sposób zabiegają mężczyźni o względy kobiet w Ameryce? — spytała. — Siłą zmusza się je do uległości w pańskiej ojczyźnie? Jest pan w takim razie aż nadto Amerykaninem!

— Celu, do którego dążę, nie potrafię określić słowami. Niech pani sama się domyśli... W pani oczach jedynie moje pieniądze mają jakieś znaczenie. Ale dzięki temu, że je posiadam, mogę uratować ojca pani od ruiny, a jednocześnie uczynić panią szczęśliwą... Z tego wszystkiego zdaję sobie sprawę i bynajmniej się nie wstydzę, że jestem bogaty. Ale moją tęsknotą i moim pożądaniem jest tylko pani. Wszystko inne nic albo mało mnie obchodzi.

— Zanadto jest pan przeświadczony o skuteczności swych środków... finansowych, panie Thain! odrzekła drwiąco.

— Dlaczegoż miałbym być innym?

— Gdyby rozmowa nasza nie była tak osobista... — zaczęła Letycja — to...

— Niestety jest taka i to nam powinno wystarczyć! — przerwał Dawid. — Mówimy wyłącznie o sobie i wyznaję otwarcie, że... kocham panią, kocham do szaleństwa, tak szczerze i głęboko, że oświadczam się pani i składam w zamian za jej rękę moje pieniądze!

— Pojmuję aż nadto dobrze pańskie rozumowanie i stan duchowy! — odparła Letycja i na tym musimy zakończyć wymianę naszych myśli. Muszę jednak dodać dla wiadomości pana, że zaręczyłam się z lordem Grantham'em, którego oczekuję w Mandeley.

Puścił jej ręce i nieomal odepchnął ją od siebie.

— Mówi pani prawdę?

— Dlaczego miałabym kłamać? — odpowiedziała ze śmiechem.

Wskazał na drogę, wiodącą do pałacu i rzekł tonem rozkajującym:

— Proszę, niech pani odejdzie!

Oddaliła się w milczeniu.

Gdy po chwili obejrzała się, już znikł.

ROZDZIAŁ XXX

Markiz przygotowywał się do pracowitego wieczoru, jaki miał spędzić ze swym administratorem, panem Merridew, celem omówienia spraw gospodarskich. Wśród zawitych wyliczeń i sprawdzania rentowności poszczególnych folwarków, skorzystał z chwil owej przerwy, by dać wyraz swemu optymizmowi.

Liczę, — rzekł z przekonaniem — że jeszcze przed upływem tego miesiąca, nastąpi gruntowna zmiana w naszym położeniu finansowym, panie Merridew. Dlatego też uważam za wskazane, abyśmy już dziś rozpatrzyli plany koniecznych remontów i przebudówek. Czas już wynagrodzić cierpliwość naszych dzierżawców.

— Rzeczywiście już czas! — odrzekł administrator. — Niektórzy dzierżawcy stali się po prostu do tego stopnia natrętni, że chwili spokoju mi nie dają. A są i tacy, którzy z własnych pieniędzy poprawili dachy, naturalnie wytrącając to z czynszu. Z pewnością ucieszą się wszyscy, gdy im oznajmię postanowienie księcia pana.

Markiz znów zajął się oglądaniem rachunków.

gdy lokaj podał mu bilet wizytowy jakiegoś przybysza.

— Ten pan przyjechał przed chwilą z Fakenham, proszę jaśnie pana.

— Pan Jerzy Borden? — rzekł markiz spoglądając na bilet. — Czego chce?

— Prosi o chwilę rozmowy! — dokończył lokaj.

— Proszę go wprowadzić do małego salonu! — polecił markiz słuzącemu. — A pan, panie Merridew, zechce dalej sprawdzać rachunki. Gdy tylko rozmówię się z panem Bordenem, zaraz tutaj powrócę.

Jerzy Borden powstał, gdy markiz wszedł do saloniku.

Stojący w drzwiach lokaj, zapytał:

— Czy jaśnie pan rozkaże zapalić światło?

— Niech Gossett zapali dużą lampę. A pan, panie Borden, życzy sobie mówić ze mną?

Borden przyjechał do Mandeley całą szybkością swego samochodu. Jakiś nakaz z góry jakby skłonił go do tej wizyty. Wśród cisnących mu się do głowy wątpliwości i mocnych postanowień układał już dawno plan rozmowy z markizem. Teraz jednak, w decydującej chwili, zapomniał języka w gębie.

Zebrał jednak siły.

— Nazwisko moje — Borden! — przedstawił się. — Proszę o chwilę rozmowy!

Markiz usiadł obok swego gościa i spojrzał na lokaja, który kręcił się niespokojnie. Znał dobrze przyzwyczajenia swego pana.

— Czy jaśnie pan rozkaże coś więcej?

— Nie, możesz odejść, Gossett.

Po chwili, zwracając się do Bordena, spytał.

— Czy mogę wiedzieć, co pana do mnie sprowadza panie... hm... Borden?

Dopiero po upływie kilkunastu sekund Borden znalazł odpowiedź.

— Pragnąłbym pomówić z księciem w sprawie osobistej! — odpowiedział.

Markiz zmarszczył brwi, jak gdyby odpowiedź ta mocno go zdziwiła.

Milczał jednak, czekając, co Borden powie dalej.

— Aczkolwiek — mówił tenże — w rozmowie mojej poruszę temat ściśle osobisty, to jednak chciałbym od razu zaznaczyć, że cel mej wizyty wiadomy jest pannie Marcie Hannaway, którą kilkakrotnie prosiłem o jej rękę...

Markiz bawił się niedbale nożykiem do rozcinania papieru. Ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy, choć słowa Bordena były dlań więcej niż bolesne.

— Liczę — mówił dalej Borden — że książę jest dość wielkoduszny, aby nie odmówić mi rozmowy. ponieważ jestem księciu obcy, więc dodam, że ojciec mój jest dziekanem w Petersborough i że studiowałem na uniwersytecie w Harrow...

— Przytoczył pan, panie Borden, przed chwilą nazwisko wspólnej naszej znajomej...

— Zaraz będę o niej mówił... — odpowiedział wydawca. — Przede wszystkim jednak pragnąłbym podkreślić, że rozmowa nasza toczy się pomiędzy ludźmi, stojącymi na jednakiej stopie towarzyskiej.

— Jak dotychczas — rzekł markiz — sam sobie doбираłem towarzystwo. Dla siebie, panie Borden, jesteśmy ludźmi obcymi.

Ostra odpowiedź cisnęła się Bordenowi na język, opanował się jednak, by nie popsuć z miejsca całej swej wizyty.

— Znajomość moja z panną Hannaway — mówił — datuje się od chwili, gdy powierzyła mi wydawanie swych utworów. Z biegiem czasu nasze stosunki handlowe zamieniły się w przyjaźń. Poprosiłem o jej rękę. Historia jej życia znana mi jest dokładnie. Zawiozłem ją nawet do jej ojca, który, niestety odtrącił ją. Wskazałem jej drogę do sławy i niezależności. Wiadomy mi jest stosunek Marty do księcia, jak również powody, dla których stroni ona od życia towarzyskiego. Nadeszła jednak chwila, że muszę prosić księcia o to, by nie zagrażał jej drogi do szczęścia i pozwolił jej zająć w społeczeństwie miejsce, jakie słusznie się jej należy. A nastąpić to może tylko wtedy, gdy zostanie moją żoną!

— Tak? — zapytał krótko markiz.

Znów Borden musiał zacisnąć zęby, żeby nie wybuchnąć.

— Nie chciałbym zajmować księcia dłużej moimi wywodami. Mam lat czterdzieści jeden i jestem kawalerem. Miss Hannaway jest pierwszą kobietą, którą kocham. Staram się o nią już lat dziewięć, a przez ten długi okres czasu nie miała ona dla mnie jednego słowa zachęty. W zeszłym tygodniu byłem z nią po raz pierwszy w restauracji. Mam wrażenie, że wyłącznie wola księcia jest przyczyną tego, że miss Hannaway stroni od ludzi...

— Czy mogę pana prosić o streszczenie się? — zauważył markiz. — Może mi pan powie krótko, o co panu właściwie chodzi?

Dopiero teraz poczuł się Borden wyzwolony z więzów, które go ścisnęły.

— Sądzę — rzekł swobodnie — że miss Hannaway podziela moje uczucia i że gotowa jest pójść ze mną do ołtarza. Dała mi to wyraźnie do zrozumienia przed niezbyt dawnym czasem. Ni stąd ni z owdąd jednak otrzymałem od niej list, w którym prosi mnie, bym uważał wszystkie jej przyrzeczenia za niebyłe...

Nastąpiła chwila dłuższego milczenia.

— Przypuszczam, panie Borden — rzekł wreszcie markiz oziębło — że powiedział mi pan już wszystko, prawda?

— Prawie. — odparł Borden. — Uczuć moich nie tałem i myślę, że Marta dobrze się będzie czuła w towarzystwie, w jakie ją wprowadzę, jako moją żonę. Waha się jednak, skrepowana przyrzeczeniem wierności, jakie dała księciu.

— Inaczej mówiąc, — odparł markiz, — szuka pan mojej interwencji na swoją korzyść?

Borden stracił cierpliwość i uderzył pięścią w stół.

— Niech pan przemawia do mnie językiem mężczyzny, a nie ogólnikami! Czy szczęście Marty jest panu obojętne? Proszę ją uwolnić z łańcuchów, jakimi ją pan związał! Nie wolno w życiu wciąż tylko brać! Nie mam pretensji, że ją pan więził przez tyle lat, najpiękniejszych w jej życiu. Marta jest panu wdzięczna za wszystko i gdy mówi o panu, ma łzy w oczach. Niech pan się pogodzi z myślą, że czas pański już minął, podczas gdy Marta ma przed sobą długie lata szczęścia. Chciał pan wiedzieć, o co mi chodzi? Usłyszał pan wszystko! Proszę przewy-

ciężyć się i nie łamować Marcie drogi do szczęścia! Przy panu zwiędnie ona, podczas gdy na swobodzie rozkwitnie w całej krasie. Proszę napisać do niej, że zwraca jej pan wolność!

— Chce pan powiedzieć, panie Borden, że jestem dla Marty za stary...

— Nie przypuszczam po prostu — odparł Borden — aby ta miłość była jeszcze na tyle silna, żeby usprawiedliwiała dalsze pozostawanie Marty u boku księcia.

— Ma pan zapewne to na myśli, panie Borden, że związek mój z miss Martą Hannaway nie jest legalny?

— Tak. To również mam na uwadze, choć świat dziś jest dość wyrozumiały na podobne rzeczy. Z drugiej jednak strony stosunek tego rodzaju ma wiele stron ujemnych. Jako żona moja będzie miss Hannaway przyjmowana w towarzystwie. Natomiast jako osoba niezamężna...

— Rozumiem pana, panie Borden!

— Więc jaka jest decyzja księcia?

— Nie mogę powziąć żadnej decyzji, panie Borden. Przyjechał pan tutaj z pewnymi propozycjami, które mogę przyjąć lub odrzucić. Jesteśmy jednak zbyt sobie obcy, ażebym mógł nie porozumieć się uprzednio z miss Hannaway. Zawiadomę ją, że pan był u mnie.

— A mnie osobiście ksiązę nie ma nic do zakomunikowania?

— Nic zgoła. Mój punkt widzenia może się panu wydać zbyt egoistyczny, panie Borden, ale sprawy pańskie są dla mnie całkiem obojętne!

— Wierzę, ale wszak tutaj chodzi o przyszłość miss Hannaway?

Markiz wstał i zadzwonił na służącego.

— Czy pan pozwoli coś orzeźwiającego? — zapytał Bordena.

— Dziękuję!

Markiz odprowadził go do drzwi.

— To chyba wszystko, co mi pan miał powiedzieć, prawda, panie Borden? — rzekł markiz i skłonił się lekko.

— — — — —

Gdyby markiz był lepszym psychologiem, dostrzegłby z pewnością zdumienie, jakie odbiło się na twarzy Marty, gdy zjawił się nieoczekiwanie w jej mieszkaniu.

Zerwała się od biurka i podbiegła ku niemu z wyciągniętymi rękami.

— Co za niespodzianka, Reggy! Pokażże się, jak wyglądasz!

— Powieniem być uprzedzić cię, Marto — rzekł, podnosząc do ust jej rękę, na której widniały ślady atramentu — wolałem jednak przyjść do ciebie, aniżeli posłać ci list.

— Przypuszczałam, że wyjechałeś do Mandeleley? — odparła.

— Tak, ale wolałem wpaść do Londynu, by osobiście z tobą pomówić.

— Wyjechałeś z samego rana, Reggy?

— O szóstej. Nie zdążyłem nawet zjeść śniadania i jeżeli masz w domu jakieś zapasy, to ci nie odmówię.

— Znajdzie się coś. Chodź! Nie wyglądasz na to, abyś w Mandeleley zażywał spokoju i odpoczywał.

— Człowiek ma wieczne kłopoty! — odpowiedział smętnie.

Usiadł z uczuciem ulgi. Opanowało go pragnienie czułości wobec tej kobiety, która mu przecież ofiarowała dwadzieścia lat życia...

Przyciągnął ją do siebie i całował jej usta.

— Urodziny, które obchodziłem w zeszłym tygodniu — rzekł — przypomniały mi o mej starości. Niewiele już mi pozostało i tylko wspomnienia trzymają mnie na nogach.

— Z pewnością zakopałeś się w twoich starych księgach, zamiast być więcej na świeżym powietrzu, Reggy.

— Tak. Czuję się przy tym bardzo osamotniony w Mandelej.

— Co jednak sprowadza cię do Londynu? — zapytała ze współczuciem. — Interesy? Czy znów masz jakie przykrości, Reggy?

— Przyjechałem jedynie dlatego, by z tobą pomówić, Marto!

— Ależ mój drogi — odpowiedziała ze zdziwieniem — przecież dziś jest zaledwie środa, a prócz tego mówiłeś mi ostatnim razem, że dopiero wtedy się zjawisz, gdy cię zawezwę.

— Przełożyłem to sobie inaczej, Marto. Wczoraj był u mnie pan Borden.

Drgnęła, mocno zmieszana.

— Jerzy był w Mandelej? — zapytała zaniepokojona.

— Jeżeli ów Jerzy jest identyczny z Bordenem, to się nie mylisz.

— Patrzyła na niego bezradnie.

— Nie rozumiem, co go do tego skłoniło... — rzekła.

— Chciał, jak się wyraził, rozmówić się ze mną w cztery oczy. Wiesz dobrze, Marto, z jaką rezerwą odnoszę się do nieznanomych mi ludzi, ale gdy mi powiedział, że jest twoim przyjacielem, wysłuchałem go. Powiedział mi, że się stara o twoją rękę...

— Nie powinien był zakłócać ci spokoju tymi rzeczami, Reggy, powiedział jednak prawdę. Wolałabym jednak, żeby nie jeździł do Mandeley, gdyż komplikuje to tylko sprawę...

— I dla mnie ta wizyta była niespodzianką, ale dzięki niej przyjechałem tutaj, Marto, do ciebie, jedyna moja.

— Czy zamierzasz powrócić dziś do Mandeley?

— Tak, zaraz po drugim śniadaniu. Wieczorem przyjedzie do nas siostra moja, lord Grantham i jeszcze kilka osób. Przede wszystkim jednak muszę z tobą pomówić, Marto.

— I mnie brak było ciebie, Reggy. Mam wprowadzić wiele zajęć, ale zawsze o tobie myślę. Pewnie wyjedziemy do miasta? Zaraz przebiorę się.

— Doskonale, jedźmy. Po drodze i przy jedzeniu nagadamy się do woli.

Gdy siedzieli w samochodzie, markiz pierwszy przerwał milczenie.

— Przyznaję, Marto, że popełniłem duży błąd. Zapominałem stale o różnicy wieku między nami i usuwałem przed tobą wszystko, do czego mogłabyś mieć prawo, jako młoda kobieta. To też muszę przyznać rację panu Bordenowi, że mi na tę okoliczność zwrócił uwagę. Uczynił to zresztą w formie bardzo delikatnej, nie nazywając rzeczy po imieniu.

— Borden to porządny człowiek! — odparła Marta. — Dotychczas jednak nie umiem sobie wyjaśnić właściwego celu jego wizyty. Co się zaś tyczy owych uprawnień moich, których, jak twierdzisz, odmawiałeś mi, to bynajmniej nie domagam się ich. Nie przepadam za mieszczkańskimi wygodami, Reggy i argumenty Bordena nie trafiają mi do przekonania!

— Za czym więc tęsknisz, Marto?

Milczała jakiś czas.

Dopiero gdy byli na moście Battersea, zaczęła mówić:

— Jestem u progu czterdziestki, Reggy. Teraz, albo nigdy! Oto moje hasło!

— Dla mnie kwestia wieku już nie istnieje! — przyznał z boleścią.

Wzięła go za rękę.

— Gdybyśmy byli o kilkanaście lat młodszy — nie traciłabym odwagi. Byłeś mi wszystkim w młodości, przyjacielem, doradcą i nauczycielem i wiem, że nie powinienam uskarżać się na życie...

— Mnie zaś, Marto, muszą wystarczyć wspomnienia! — rzekł cicho.

— Ależ Reginaldzie, przecież nie jesteś starcem! — zaprzeczyła.

Pojawienie się ich w restauracji Trewlesa wywołało małą rewolucję.

Zajęli mały stolik, a gospodarz i służba witali ich uroczyście.

Dopiero po przekąskach zaczął markiz mówić o swym przyjeździe do Londynu.

— Ostatnimi dniami — rzekł — odczuwam szczególnie brak ciebie, Marto. Byłaś wszakże moją cichą przystanią wśród przykrości i utrapień, jakich mi nie szczędzi życie. Może dlatego, że zbyt wiele żądałem,

a za mało zwykłym był dawać. Poza tym przyczyną tego była różnica wieku między nami. Ciągłe zapominam, że jesteś młoda, Marto...

Jej oczy zaszyły łzami, a głos drżał ze wzruszenia.

— Jak to dobrze, że przyjechałeś, Reggy. Nie myśl, proszę, o tych rzeczach. Moje fantazje wywie-trzeją mi z głowy. Bądź nadal takim, jakim byłeś, a będę zadowolona.

Spojrzała na niego ukradkiem.

Jeszcze przed paru tygodniami wydawał jej się młodym, dziś widzi przed sobą starca. Jedyne oczy jego zachowały blask.

— Czy rzeczywiście przypuszczasz, Marto, że szczęście nasze ponownie zakwitnie? Twój wydawca, pan Borden, innego był zdania. Żądał ode mnie, abym cię porzucił, abym zrozumiał, że nie jesteś już dla mnie...

— Znienawidziałabym cię, Reggy, gdybyś uległ namowom Bordena. Przyznaję, że go lubię i wysoko cenię, ale powinien wiedzieć, że samopoświęcenie się jest wznioślejsze od miłości. Upragnione szczęście znaleźć może u boku innej kobiety.

— Nie jestem o niego zazdrosny, Marto, ale już sama myśl, że jego rozumowanie mogłoby wzniecić w tobie chęć zmiany, była dla mnie nieznośna.

— Nie mówmy o tym więcej, Reggy. Zobaczysz, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Jest rzeczą naturalną, że kobieta myśli o własnym ognisku domowym, ale i to pragnienie potrafię w sobie stłumić... Pozostaną co najwyżej ślady tej tęsknoty...

Zaczęli rozmawiać o rzeczach ogólnych.

Niewątpliwie zacieka cię, Marto, wiadomość

o zaręczynach córki mojej, Letycji z lordem Karolem Granthamem. Święta Bożego Narodzenia spędzę przy-
uszczalnie w osamotnieniu. Związek ten cieszy mnie
ze wszechmiar. Może uda nam się, Marto, gdy Letycja
wyjdzie za mąż, a ty będziesz wolniejsza, pojechać do
Włoch. Florencja na wiosnę naprawdę jest przy-
jemna.

— Bardzo się będę cieszyć. — odpowiedziała
obojętnie.

— Pomyśl tylko, Marto! Maleńka willa na pa-
górkę tuż przy Fiesole. Pojechalibyśmy zaraz po
świętach, jeżeli tylko okoliczności pomyślnie się uło-
żą. A w powrotnej drodze zawadzimy o francuską
Rivièrę.

— Bardzo się będę cieszyć! — powtórzyła.

— Rozerwiemy się trochę, a zwłaszcza ja, któ-
ry coraz mniej pasuję do dzisiejszego życia w An-
glii. Aby umożliwić sobie pobyt w Mandelej, pako-
wałem w proces z Vont'em każdy wolny grosz. Dziś,
gdy proces przegrałem, nie czuję się dobrze u siebie
na wsi.

— Czy wiesz, Reggy, że odwiedziłam ojca?

— Wspomniałaś mi, że się do niego wybierasz.

— Niestety potraktował mnie jak nierządnicę,
która przyszła prosić o litość.

— Całe szczęście, Marto, że Vont jest twoim oj-
cem, inaczej spróbowałbym od dawna zlikwidować
ten spór jakimś celnym strzałem z dubeltówki. Je-
dynie świadomość, że to twój ojciec — powstrzy-
mała mnie od wymierzenia sobie samemu sprawie-
dliwości.

Zadrżała przerażona.

— Na litość Boga, Reggy, nie wchodź ojcu w drogę — prosiła.

Opuścili restaurację i znaleźli się na ulicy, gdzie oczekiwał samochód markiza.

— Czy pozwolisz, Marto, że już tutaj pożegnam się z tobą? Muszę się spieszyć, by na czas zdążyć do Mandelej.

— Ależ naturalnie, Reggy. Musisz być w domu przed przybyciem gości. Do widzenia!

Podawała mu rękę, którą ucałował.

— Jak to dobrze, że cię odwiedziłem, Marto. Czuję się znacznie spokojniejszy.

Ścisnęła mu rękę wzruszona.

— Wracaj prędko, Reggy. Będzie mi tęskno za tobą!

— Przyjadę w pierwszych dniach przyszłego miesiąca. Jeżeli by zaszło coś ważnego, to mnie wezwij.

Skinęła na taksówkę i wsiadła do niej.

Markiz zamknął za nią drzwiczki, trzymając w ręce kapelusz.

XXXII

Księżna Karolina spacerowała z Letycją po parku w Mandeley. Była w świetnym humorze.

— Tam naprzeciwko leży Broomsley, prawda Letycjo? — zapytała swą bratanicę. — Jakże ci się podoba wasz nowy sąsiad, Letty, który zamieszkał tam? Mam na myśli pana Thaina?

Letycja dziwnie była małomówna.

Widujemy go rzadko kiedy — odpowiedziała.

— To szczerzy i uczciwie myślący człowiek! — Jeździ konno lub swym potężnym „Rolls Roycem“. mówiła dalej księżna. — Poza tym jest on dla was nader pożądanym lokatorem.

— To prawda, ciociu! Obecnie utrzymanie nasze oparte jest prawie wyłącznie na dochodzie z willi w Broomsley.

— Wydaje mi się nieraz, Letty, że pan Thain jest dla ciebie... niesympatyczny.

— Istotnie ciociu! — potwierdziła Letycja.

Księżna Karolina była zdumiona.

— Nie rozumiem dlaczego, droga Letty. Ja go bardzo lubię. Poważny, przystojny mężczyzna i wcale nie pyszni się swymi pieniędzmi. Moje dziecko, bądź uprzejma dla pana Thaina, zwłaszcza, że prosiłam

twego ojca, by go zaprosił w czasie mego pobytu u was...

— Uprzedziliśmy nawet życzenie cioci, gdyż pan Thain otrzymał zaproszenie na dzisiejszy wieczór.

— Cieszy mnie to, Letty. Ja również noszę się z myślą zaproszenia go do Szkocji na jesień. Może mi wskaże akcje kolejowe amerykańskie, które warto kupić.

— Nie dowierzam panu Thainowi na grosz! — rzekła Letycja.

Księżna Karolina stanęła jak wryta.

— Posuwasz się cokolwiek za daleko, Letty! odpowiedziała ostrzegawczo.

— Być może ciociu. Wiem tylko, że sprzedał ojcu całą masę akcji, które nie mają żadnej wartości.

— Co takiego? A skądże ojciec wziął pieniędzy na zapłacenie tych akcji?

— Wystawił mu weksel na całą sumę, płatna za sześć tygodni.

— A jeżeli akcje pójdą w górę? — spytała księżna z miną znawczyni. — Wtedy ojciec twój i weksel zapłaci i zysk schowa do kieszeni. A jeżeli nie, to poprosi Thaina o prolongatę weksłu.

— Zdaje mi się, że ciocia ma wygórowane pojęcie o uczciwości pana Thaina! — odparła drwiąco Letycja.

Księżna była w gruncie rzeczy tym wszystkim trochę zaniepokojona. Postanowiła zmienić przedmiot rozmowy.

— Gdzie Karolek siedzi od rana? — zapytała.

— Rozmowa z ojcem o moim posagu. Zawsze myślałam, że to rzecz adwokatów.

— Myślę, Letty, że jesteś zadowolona, iż wychodzisz za męża, aczkolwiek nie okazujesz tego po sobie. Karolek jest niezłą partią, choć nie należy do rzędu milionerów...

— Karolek jest takim samym dobrym kandydatem na męża, jak i każdy inny! — odpowiedziała Letycja obojętnie.

— Potrzebna ci jest zmiana powietrza, moje dziecko. Każda rozsądna panna, zanim zdecyduje się wyjść za męża, powinna być pewna swych uczuć...

— Gdyby o małżeństwie na prawdę decydowała wyłącznie miłość, w takim razie umarłabym starą panną, a do tego, ciociu, nie mam najmniejszej ochoty.

Karolina westchnęła.

— W naszej rodzinie — rzekła — wierność małżeńska nie jest pojęciem czczym, zdawkowym. Ojciec twój dochowuje wierności pewnej temy, abyś poślubiła Karolka, zwłaszcza, że nie jest on tak dumny, jak ty... Kiedy zamierzacie rozesłać zawiadomienia o waszych zaręczynach?

— Jak tylko Karolek powróci do Londynu. — odpowiedziała Letycja.

— A czy bardzo cię kocha? — indagowała księżna.

— Jeżeli nawet mnie kocha, to w każdym razie nie daje tego poznać po sobie.

— Szkoda.

— Czy ciocia ma na jutro jakie projekty?

— Żadnych. Chcę tylko, o ile możliwości, uprzyjemnić sobie pobyt u was. Zamierzam nadto pomóc z Vent'em. Może uda mi się wpłynąć na niego,

by przestał dokuczać ojcu. Przy tej okazji może wstąpię do Broomsley...

— Uważam, że to niebardzo wypada! — rzekła Letycja.

— Dlaczego? Mam już czterdzieści lat i z pewnością nikogo nie będzie razić, jeżeli odwiedzę mego pupila. Ty, Letycjo, też powinnaś być dla niego więcej uprzejma. Na grzeczności nikt jeszcze nie stracił.

— Wątpię, ciociu, czy pan Thain może mi w tym względzie coś zarzucić.

Księżna rozeszła się z bratanicą i skierowała się w stronę dworku Vont'a. Podeszła do siatki drucianej, jaka odgradzała dworek od parku i spostrzegłszy starego, pozdrowiła go.

— Dzień dobry, Vont!

Stary wyprostował się, ale nie zdjął kapelusza.

— Czego pani tutaj szuka? — spytał opryskliwie.

— Dlaczego to Vont nie raczy nawet uchylić kapelusza? Czy Vont nie poznaje mnie?

— Owszem, poznaję. Pani jest księżna Karolina. Kapelusza nie zdejmuję, bo nie jestem winien czołobitności. Nasieniu, z którego pani pochodzi, wzbroniony jest wstęp do mego domu.

— Jesteście zawziętym starym tetrykiem.

— Jestem takim, jakim mnie pan Bóg stworzył.

— Dajmy temu pokój. Przyszłam tutaj, aby powiedzieć, że Vont ośmiesza się tylko i że pretensje Vonta nie są uzasadnione.

Vont stał nieruchomy, iak gdyby nie nie słyszał.

Karolina mówiła dalej

— Na co się Vont uskarża? Wprawdzie brat mój uwiódł córkę waszą, ale w rezultacie wyszło jej to przecież na dobrze... Córka wasza jest szczęśliwa. Czy Vont słyszy, co ja mówię?

— Owszem, słyszę.

— Gdyby brat mój uwiódł waszą córkę, a potem ją porzucił, to pierwsza wzięłabym mu to za złe i przyznałabym Vont'owi rację. Ale przecież stało się inaczej. Niech Vont położy biblię, zajmie się czymś pożyteczniejszym, odwiedzi swych dawnych przyjaciół, a nie przesiaduje po⁴ całych dniach bezczynnie.

— Czyby pani chciała, aby jej bratanica przeszła te same koleje życia co moja córka?

— Co za bezczelne pytanie! Jak Vont śmie porównywać swą córkę, prostą wieśniaczkę z moją bratanicą, córką markiza Mandeley?

Dopiero teraz poruszył się starzec. Podniósł kij i wskazał na pałac.

— Pani jest bezwstydna. Precz stąd! Moja córka była dla mnie akurat tyle warta, co dla pani córka markiza. Biblia głosi równość!

— Tak! odpowiedziała. — Ale biblia każe też przebaczać.

— I równą mierzyć miarką bogatych i biednych! rzekł starzec, jakby nie słysząc jej słów.

— Niema celu sprzeczać się z wami, Vont. Spójrzcie w lustro i przypatrzcie się sobie. Nie macie chyba siedemdziesięciu lat, a wyglądacie na sto, bo cały dzień tylko przeklinacie. Nie czytajcie wyłącznie Starego Testamentu, ale zajrzycie i do Nowego. Napiszcie list do córki, żeby do was przyjechała

I opiekowała się wami. Podajcie mi rękę, Vont. Pomogę wam napisać list, dobrze?

Spojrzenie, jakie na nią rzucił, zamroziło jej krew w żyłach. Zrozumiała, że celu nie dopnie.

— Czy to on panią tutaj przysłał? — spytał zimno.

— Nie! Przyszedłem z własnej chęci. Pamiętam dni, kiedy trzymaliście mnie za rękę i uczyli, jak zastawiać sidła na króliki. Wtedy byliście człowiekiem rozumnym i uczynnym. Przypuszczałam, że choć częśćkę towarzysza moich lat dziecinnych odnajdę w was, Vont.

— Księżna myli się. Stary Vont jeszcze żyje. Proszę powiedzieć temu tam w pałacu, że nie z próżniactwa przesiaduję po całych dniach na progu mego domu i że zbliża się godzina mojej zemsty za doznaną krzywdę. Niech zażywa światła słonecznego, którego mu Pan Bóg jeszcze użycza. Jestem stary, tak. Ale nie dość stary, abym nie mógł doczekać chwili, gdy jego pycha utonie w nędzy i poniżeniu.

Odwrócił się i wszedł do swego domu.

Karolina zdrętwiała, jak gdyby rażona piorunem.

Nie wiedziała, że na świecie tyle jest nienawści.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Z widocznym zaniepokojeniem przeczytał markiz list, jaki mu podał służący.

— Co się to mogło stać, Letty, że pan Thain odpowiada odmownie na nasze zaproszenie?

— Nie mam pojęcia! — odpowiedziała, obrzucając spojrzeniem, pełnym żalu ciotkę Karolinę. — Zapewniam cię, ojczy, że wysłałam zaproszenie na czas.

— Może zaszło tu jakieś nieporozumienie? — rzekł markiz. — Widocznie nie wie, że nie zamysłasz pozostać u nas dłuższy czas, Karolino. Po śniadaniu pójdę do Broomsley, to dowiem się, co się stało.

— Pójdę razem z tobą! — rzekła księżna. — Już tak dawno tam nie byłam.

Gdy siedzieli w ogrodzie przy kawie, Letycja odezwała się do ojca:

— Ojczy, czy odebrałeś jakie pomyślniejsze wiadomości?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Pytam się, gdyż od kilku dni wyglądasz znacznie lepiej. Pewnie służą ci spacer w otwartym samochodzie.

— Owszem, czuję się lepiej! — odparł markiz.

— Czy dowiedziałeś się czego o twych akcjach?

— spytała bojaźliwie.

Markiz nadchmurzył czoło.

— Nie, niczego, Letty. To znaczy niczego pocieszającego. Nowy wywiad potwierdził obawy adwokata Wadham'a...

Letycja spojrzała w stronę Broomsley'u.

— Czy nie zastanawiałeś się, ojcze, nad tym, że postępowanie pana Thaina w stosunku do nas jest co najmniej zagadkowe?

— Przeciwnie! — zaprzeczył markiz. — Pan Thain postępował zawsze jak gentleman.

— Być może, że się mylę... — rzekła Letycja. Ale niech już ojciec idzie z ciocią do Broomsley. Pan Thain z pewnością nie oprze się prośbie cioci.

— A może lepiej, abyś ty, Letty, poszła z ojcem? — odparła księżna Karolina.

— Nie mogę stąd odejść, ciociu! — odpowiedziała, uśmiechając się do młodego lorda Granthama, który zbliżał się właśnie w towarzystwie miss Sylwii Lacey.

Księżna Karolina podniosła się.

— Nie należy, — rzekła. — przeszkadzać zakochanym. Chodźmy, Reginaldzie, zajrzeć lwu w paszczę.

— A może i panna Sylwia pójdzie z nami? — zaproponował markiz.

— Niestety nie mogę! — odpowiedziała. — Ale proszę powiedzieć panu Thainowi, że bardzo się ucieszę, gdy go zobaczę tutaj. Może zdecyduje się przyjść.

Gdy Dawid dostrzegł swych gości, wybiegł ku nim.

— Co za miła niespodzianka! — zawołał, witając się. — Wybieram się do Mandeley po południu, aby przywitać księżnę.

— Spodziewałam się tego, ale dlaczego nie chce pan przyjść wieczorem? Dostał pan zaproszenie specjalnie na moją cześć, a wymawia się pan od tego zaszczytu. To wstyd! Mam z panem dużo do pomówienia i proszę stawić się punktualnie!

— Księżna pani jest zawsze dla mnie nadto łaskawa. — rzekł Thain z galanterią.

— A mimo to usiłuje pan wymknąć mi się, zapewne w obawie flirtu ze mną?

— Znudziłaby się pani napewno, flirtując ze mną, gdyż w towarzystwie dam zachowuję się jak prostak.

— Istotnie odnoszę nieraz wrażenie, że pan stro- ni od ludzi.

— Tak jest! Samotność nie nuży mnie! — odpowiedział Thain.

— I czemu to przypisać? Pewnie pan zakocha- ny, a ja nieszczęśliwa niczego się nie domyślam... Ja, spowiednica pana! Tak, tak, napewno zakocha- ny! — powtarzała, nie słysząc, by przeczył. — Czy przypadkiem nie w tym podlotku, Sylwii?

Thain roześmiał się.

— Widziałem ją zaledwie dwa, czy trzy razy, muszę jednak przyznać, że ma dużo wdzięku.

— Musi pan bezwarunkowo ożenić się, panie Dawidzie! — żartowała księżna. Szkoda wprowadzić pańskiej wolności kawalerskiej, ale trudno panu bę-

dzie bronić się przed atakami osobników płci mojej. Musi pan mieć żonę, żeby ją obsypywać kosztownościami i żeby panu godnie reprezentowała dom.

— Narazie nie śpieszy mi się do jarzma małżeńskiego! — odparł żartobliwie.

Patrzała na niego badawczo.

— Czy pan przypadkiem nie palnął głupstwa, przed którym ostrzegałam pana i nie zakochał się w Letycji?

Śmiech jego tym razem brzmiał nieszczerze.

— Na tyle nie byłem naiwny. — odparł. — Słyszałem przy tym, że lady Letycja jest zaręczona. Ten młody człowiek, który bawi obecnie w Mandeley, to przecież jej przyszły mąż, prawda?

— Musi pan jeszcze odpowiedzieć mi na poprzednie moje pytanie: dlaczego odpowiedział pan odmownie na zaproszenie na dzisiejszy wieczór?

— Faktycznie nie miałem ochoty. Wiedziałem, że zbierze się liczniejsze towarzystwo, dla mnie obce, zdecydowałem się więc pozostać w domu.

— Co za przeczulenie! Ale ostatecznie przyjdzie pan, panie Dawidzie? Prawda?

— Czyż mogę odmówić tak miłym naleganiom? — odrzekł.

Zwrócili się w stronę markiza, którego interesował świeżo dokonany remont willi.

— Drzewo padło od pierwszego uderzenia toporem, Reggy! — mówiła księżna wesoło. — Pan Thain odmówił przybycia tylko dlatego, że bał się liczniejszego towarzystwa. Ale zmienił zamiar.

— Bardzo się cieszę, że się pan zdecydował! — rzekł markiz. — Czekamy na pana kwadrans po ósmej.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Dawid wszedł do wielkiego salonu, który był otwierany tylko przy uroczystościach rodzinnych. Letycja podeszła ku niemu.

Z trudnością opanował wzruszenie i zdobył się na obojętność.

— Cieszy mnie bardzo, że pan przyszedł! — przywitała go uprzejmie. — Chcę przy tym skorzystać z chwili, w której jesteśmy sami, aby pana przeprosić za moją niegrzeczność.

— Jest pani bardzo łaskawa, ale nie widzę powodu, dla którego miałaby mnie pani przeproszać.

— Nie za czyny, lub słowa, — rzekła. — ale za złe myśli o panu. Proszę o przebaczenie za brak zaufania. Dobrze, że pan przyszedł... Czuję się spokojniejszą...

Patrzyli sobie w oczy. Milczenie przerwał głos księżny Karoliny, która podeszła do nich w towarzystwie brata.

— Przyszedłam, by pana przywitać! — zawołała, wyciągając do Thaina obie ręce.

Z zewnątrz doszedł nagle hałas podjeżdżających jednocześnie kilku samochodów.

Gossett anonsował nowo przybyłych: ksiądz

proboszcz sąsiedniej parafii, generał Turnbull z żoną, pułkownik Lacey z córką.

— Obok mnie siedzieć będzie przy stole Thain! — oznajmiła półgłosem księżna Karolina. — Jak ślicznie wyglądasz, Sylwiol — zawołała do wchodzącej z ojcem miss Lacey... — Niech pan tylko za nadto nie flirtuje z Sylwią, panie Dawidzie! Idę porozmawiać chwilę z tym głuchym, jak pień, generałem Turnbull.

Niebawem poproszono do stołu.

Dawid znalazł swe miejsce pomiędzy księżną i Sylwią Lacey.

— Niepotrzebnie tutaj przyjechałam! — szepnęła mu do ucha Karolina.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony.

— Ponieważ pan zawiódł moje oczekiwania. Na okręcie był pan czarującym towarzyszem podróży, w Londynie można było od biedy wytrzymać z panem, a tutaj jest pan nudny jak lukrecja! — mówiła żartobliwie. — Ustawicznie jest pan zadumany, jak gdyby był pan myślami w Ameryce. Czy rzeczywiście jest pan tak strasznie zakochany?

— Widocznie nie dość jeszcze oswoiłem się z nowymi warunkami życia.

— A może to jakaś nieszczęśliwa miłość? Niech no się pan przyzna, panie Dawidzie! A czy przypadkiem nie ja wpadłam panu w oko? Niech pan powie, czy tak jest, czy też wolałby się pan ożenić? — pawała dalej wesoło księżna.

— Czy myśl o ożenku potępiłaby pani? — zapytał Dawid.

— To zależy, kto jest przedmiotem pańskich

westchnień. Bo jeżeli naprawdę ja, to nie potrzebuje pan zapędzać się aż do ołtarza! — swawoliła dalej.

Dawid obejrzał się wokoło cokolwiek zażenowany, stwierdził jednak, że całe towarzystwo słuchało z uwagą generała Turnbull'a, który opowiadał swe przygody z czasów wielkiej wojny. Zwłaszcza Sylwia interesowała się tymi wspomnieniami żołnierskimi. Nachyliła się w stronę generała, by nie stracić ani jednego słowa.

Dopiero wówczas zdecydował się Dawid odpowiedzieć księżnej Karolinie:

— Przecież nie tak dawno ostrzegła mnie pani, bym nie mierzył zbyt wysoko.

— Miałam jedynie dobro pana na widoku! — odrzekła.

— Dziękuję księżnej, nie rozumiem jednak różnicy, jaka w jej pojęciu zachodzi między małżeństwem, a miłością.

Uśmiechnęła się znacząco.

— Pan jest doprawdy człowiekiem przedpotopowym. Małżeństwo jest umową dożgonną, której skutki przechodzą nawet na potomstwo. Natomiast przyjaźń, czy też miłość łączyć może dwie istoty nie koniecznie do siebie... dopasowane. Niezgodność usposobień dodaje nawet pieprzyku w przyjaźni.

— Dopiero teraz zaczynam panią rozumieć.

— Widzę, że pan jest takim niewiniątkiem, za jakie pana brałam.

— Staram się tylko dostosować mój punkt widzenia do rozumowań księżnej...

Goście wstali od stołu. Panie przeszły do sąsiedniego buduaru.

Dawid patrzył na oddalającą się z wolna Letycję, póki nie zniknęła za drzwiami.

Naraz zbliżył się do niego lokaj i podał mu list na tacy.

— List ten dopiero co przyniesiono z Broom-sley! — oznajmił.

— Dawidem owładnęło złe przecucie. Otwierając kopertę, dostrzegł markiza, który przyjaźnie kiwał mu głową.

„Godzina nadeszła, — czytał Dawid. — czekam na ciebie!“

— Odpowiedzi nie będzie! — powiedział do lokaja i schował list do kieszeni.

ROZDZIAŁ XXXV.

Karolek Grantham był przez cały wieczór nie w humorze.

Oddalił się od towarzystwa panów i podszedł do narzeczonej.

— Ciągle mam powody do irytacji! — rzekł.

— To u ciebie rzecz codzienna! — odpowiedziała mu chłodno.

— Ty właśnie irytujesz mnie! — dodał wściekły. Wzruszyła ramionami.

— No, i?

— Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, dlaczego nie nosisz pierścionka, który ci dałem, Letty?

— Już ci mówiłam, że włożę go w dniu, w którym zaręczyny nasze zostaną oficjalnie ogłoszone.

— Nie rozumiem, dlaczego miałabyś zwlekać tak długo, Letty?

— Uważam to za właściwe, mój drogi.

— To zwlekanie nie jest dla mnie zbyt pochlebne.

— Czy to jest wszystko, co miałeś mi do powiedzenia? Czekają na mnie moi partnerzy do bridge'a.

Grantham tracił cierpliwość.

Wpatrując się w niego dostrzegła Letycja po raz pierwszy, jak złe miał oczy.

— Dalej chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiałś z tym drabem Thainem, kiedy do ciebie podszedł?

— Bardzo żałuję, że nie mogę zaspokoić twojej ciekawości, Karolku. Rozmowa z panem Thainem była natury osobistej.

Wścikłość malowała się jeszcze wyraźniej na twarzy Granthama.

— Rozmowa natury osobistej? — mruczał. — Czy to ma znaczyć, że masz z tym facetem jakieś tajemnice?

— Facet? Drab? Co znaczą te określenia? Czy pan Thain jest dla ciebie niesympatyczny?

— Sympatyczny? — powtórzył pogardliwie. — Thain jest dla mnie obojętny. Dość mu chyba okazujemy honoru, dopuszczając go do naszego towarzystwa. W każdym razie nigdybym nie przypuszczał, abyś była zdolna prowadzić z nim szeptem jakieś tajemnicze rozmowy. Czy wolno mi zapytać o czym z nim mówiłaś?

— Pytać ci wolno, mnie zaś wolno nie odpowiadać! — rzekła zniecierpliwiona. — Będiesz grał w bridge'a?

— Nie! odburknął wścikły. — Wolę porozmawiać z miss Sylwią Lacey! Do widzenia!

Sylwia była bardzo zadowolona z tego obrotu rzeczy.

W tymże czasie księżna Karolina zaproponowała Dawidowi obejrzenie zbioru obrazów i usiadła z nim w oddalonym kącie galerii. Z okiem widać było oświetlony dworek starego Vont'a.

— Czy pani pozwoli, że jej zaдам pewne pytanie? — zaczął pierwszy Thain. — Czy pani uważa, że związanie się słowem honoru obowiązuje bez względu na okoliczności?

— Trudno mi na to odpowiedzieć! — odrzekła Karolina. — W każdym bądź razie nie wyobrażam sobie, aby pan mógł związać się słowem, że wykona rzecz nie licującą z pojęciem honoru!

— Gdy przyjałem na siebie zobowiązanie, wydawało mi się ono nawet aktem sprawiedliwości. Z biegiem czasu warunki, w jakich się znalazłem, uległy radykalnej zmianie, aczkolwiek istota zobowiązania pozostała ta sama...

— Czy zobowiązanie to jest natury pieniężnej? — zapytała księżna.

— Nie! Kwestia pieniędzy nie wchodzi zupełnie w grę! — rzekł Thain. — Cała sprawa streszcza się obecnie w pytaniu, czy powinienem dotrzymać słowa, jeżeli związane jest ono z aktem, który dziś wydaje mi się niegodziwym?

— Dlaczego pyta mnie pan o radę, panie Dawidzie?

— Sam nie wiem, dlaczego, — odrzekł. — Widocznie księżna wzbudza we mnie zaufanie.

— Na miejscu pana postarałbym się, by człowiek, któremu dał pan słowo, zwolnił pana ze zobowiązania wobec zmienionych warunków! — rzekła po namyśle.

— A jeżeli mnie nie zwolni?

— W takim razie nie wolno panu złamać słowa. Musi pan dotrzymać przyrzeczenia bez żadnych wykrętów! Słowo jest rzeczą honoru!

Dawid patrzył przed siebie w półmrok długiej galerii obrazów, głęboko zamysłony.

Z oddali dochodził śmiech Sylwii, której Karolek opowiadał swoje najnowsze dowcipy.

Letycja patrzyła na Thaina, nie będąc sama przez niego widziana. Jego surowy wyraz twarzy i męska stanowczość podobały się jej.

Dawid zwrócił się ponownie do księżnej:

— Ma pani rację! Muszę dotrzymać słowa.

Powrócili do salonu i Dawid natknął się na Letycję.

Wstała i podeszła ku niemu.

— Muszę przywołać do porządku mego narzeczonego! — odezwała się wesoło. — Proszę go zastąpić przy panie Lacey!

— Bardzo pani dziękuję za ten miły rozkaz, ale go nie wypełnię, nie jestem bowiem w tej chwili usposobiony do konwersacji.

Patrzyła na niego badawczo przez długą chwilę.

— Czy pan nie wie, że Sylwia jest panem zachwycona?... Gdybym była mężczyzną...

— To co? — zapytał.

— Poślubiła bym Sylwię! — rzekła.

— Ja zaś, — odparł hardo, — poślubił bym tylko panią!

Przypatrywała mu się w zamyśleniu i uśmiechnęła się.

Śmiech ten jej wziął za szyderstwo.

— Letycjo! — powiedział. — Za chwilę muszę wymknąć się stąd. Chciałbym to uczynić, nie żegnając się z gośćmi państwa. Proszę mnie wytłumaczyć, otrzymałem jednak list, który mnie wzywa natychmiast.

Z miłą chęcią wytłumaczę pana. A może mogła bym pomóc w czymś panu?

— Nie! — odpowiedział z wolna. — Mnie nikt i nic pomóc nie może.

Patrzała na niego, gdy się oddalał, po czym powróciła do kart. Karolina podeszła do niej i spytała:

— Czy skończyłaś już flirt z panem Thainem?

— Tak, nawet do tego stopnia, że uciekł stąd. Prosił, bym go wytłumaczyła.

Wyjście Thaina zdziwiło wszystkich, a księżna Karolina dała ujście swym myślom.

— Nie zaproszę go — rzekła — do Szkocji. Niespodzianki, jakie nam robi, nie przyczyniłyby się do uprzyjemniania nam letnich wyczasów.

— Zapewne wezwał go jego sekretarz! — wtrącił markiz. — Potentaci finansowi są niewolnikami swych pieniędzy.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zanim Dawid zdążył nacisnąć klamkę, już mu Vont otworzył drzwi, witając go na progu dwor-
ku.

— Dzień sądu nadszedł! — odezwał się starzec, wprowadzając siostrzeńca do środka. — Oczekiwa-
łem go długie godziny, aż wreszcie nadszedł.

Dawid zdjął w milczeniu palto i położył je na
krześle.

Vont ze zdziwieniem spoglądał na wizytowy
strój siostrzeńca.

— Byłeś na przyjęciu w pałacu, Dawidzie? —
zapytał.

— Tak, wuju. List twój przyniesiono mi do pa-
łacu i idę wprost stamtąd!

— Wierzyłem w ciebie zawsze, mój chłopcze i
wiem, że mogę na tobie polegać!

Dawid podszedł do okna, by pełną pierśią zaczer-
pnąć powietrza.

— Zanim zaczniesz mówić dalej, wuju, — rzekł
— pozwól i mnie coś powiedzieć!

— Powiesz to kiedy indziej, Dawidzie! Teraz nie
czas mówić, lecz trzeba działać.

— Cóż mam robić? — zapytał Dawid.

— Spełnić przyrzeczenie!

— Jeszcze dziś? Cóż mógłbym zrobić w nocy?

Pozwól wuju, że się przedtem wypowiem.

— Mów, Dawidzie!

— Przypominam sobie wszystko dokładnie, co mówiliśmy w Orlich Górach Arizony i znam na pamięć każdą sylabę mej przysięgi, wuju.

— Którą złożyłeś, Dawidzie, trzymając rękę na Piśmie Świętym.

— Czyż mógłbym zapomnieć o tej strasznej godzinie, wuju? Czy próbowałem opuścić cię kiedykolwiek?

— Nigdy, Dawidzie, a dziś w nocy będziesz mógł spełnić przyrzeczenie, po czym już będziesz wolny. Przygotowałem wszystko, by ci ułatwić zadanie i nie napotkasz na żadne większe trudności.

— Dobrze wuju ale przedtem musisz mnie wysłuchać. Od szeregu dni mam wyrzuty sumienia, że zrujnowałem lorda. Postępować w ten sam sposób dalej, byłoby ponad moje siły. Nic więcej wuju, zrobić dla ciebie nie mogę!

— Nic więcej dla mnie nie możesz zrobić? — wykrzyknął starzec.

— Nic więcej, wuju! — Nie znam twych dalszych zamysłów, błagam cię jednak, nie żądaj, bym je wykonał. Dręczy mnie sumienie i chwili nie mam spokojnej...

— Tak myślisz?

Starzec ciężko dyszał. Zdawało się, że utracił mowę. Wyciągnął ręce i kureczowo ścisnął palce.

Dawid stał przerażony, myśląc, że starzec bliski jest śmierci.

Zanim jednak podszedł do wuja, Vont już padł przed nim na kolana.

— Dawidzie! — zawołał, a w głosie jego brzmiało rozpaczliwe błaganie i odbijało się głucho o puste ściany izby. — Nie opuszczaj mnie i nie łam przysięgi, jaką złożyłeś z ręką na Biblii. Czy nie oddałem ci ostatniego grosza, abyś wyszedł na człowieka? Czy nie żyłem jak żebrak, bylebyś tylko mógł się wybić? Dzień i noc pracowałem w znoju, bylebyś ty coś miał, chłopcze. Jeżeli mnie teraz opuścisz, Dawidzie, to staniesz się moim mordercą. W twoich oczach pozbawię się życia, jeżeli złamiesz dane mi słowo i nie pozwolisz mi zemścić się na nim. Słyszysz, co ci mówię? Oni ciebie otumanili, Dawidzie. Wyzyskali twoje dobre serce i skłonili do złamania słowa, byle by tylko uchronić tego pyszałka przed moją zemstą...

Dawid gwałtownie podniósł starca i posadził na krześle.

— Mów wuju, co mam robić! — rzekł, zdecydowany już na wszystko.

Głos starca jakby odzyskał dawną siłę.

— Oto moja ręka, która spoczywa na Biblii! — rzekł uroczyście. — A drugą wznoszę do nieba i przysięgam ci, że jeżeli nie wykonasz rozkazu mego, znajdziesz mnie tutaj jutro martwego.

— Mów, wuju, co mam czynić! — powtórzył Dawid. — Słowa dotrzymam i spełnię twój rozkaz!

Twarz starca wypogodziła się. Wyciągnął z kieszeni lampkę elektryczną i rzekł, kierując się ku wyjściu.

— Chodź za mna, Dawidzie!

Szedł za nim przez ogród, aż do muru starej piwnicy.

— Pamiętasz to miejsce, Dawidzie? — spytał stary.

— Pamiętam. Bawiłem się tutaj nieraz.

Vont odchylił duży kamień. W świetle lampki widać było schody, prowadzące do podziemnego lochu.

Dawid przystanął, przerażony.

— Czy to może jest tajne przejście do pałacu? — spytał.

— Tak, jedno z pięciu, które muszą być gdzieś w pobliżu! — odparł starzec. Przeszedłem przed paru dniami cały korytarz i postarałem się o dopływ powietrza... Weź tę lampkę, Dawidzie i idź na przód. Nie zgubisz drogi, gdyż wysypałem ją czystym piaskiem... Na końcu korytarza będą drzwi, otwarte na oścież. Zaraz potem znajdziesz schody, a za nimi przejście, wyłożone płytami kamiennymi. Przejdiesz parę kroków i staniesz przed ścianą. Pchnij ją z całej siły i wejdź do pokoju.

— Do jakiego pokoju? — zapytał Dawid, oszołomiony.

— Do sypialni Lady Letycji! Ale mówmy cicho, gdyż może nas ktoś podsłuchać.

— Do sypialni lady...? Czyś oszalał, wuju?...

— Nie, mój chłopcze. Nie było nigdy człowieka rozsądniejszego ode mnie. Godziny tej oczekiwałem całe lata, aż nareszcie nadeszła. Niema nic gorszego dla tego pyszałka, jak obrażenie jego dumy. Wiem również, jak dumną jest jego córka. Gdy nocą dostaniesz się do jej sypialni, zawezwie służbę. Ale właśnie o to mi chodzi. Niech będą świadkowie, niech

powiedzą pyszałkowi, że w sypialni jego córki znaleźli siostrzeńca starego Vont'a. Wiem dobrze, że zamaże on jakoś tę sprawę, ale trochę brudu przyłgnie do jego córki na zawsze...

Dawid wybuchnął śmiechem.

— Wuju drogi, zastanów się! Czy człowiek rozsądny mógłby kiedykolwiek powziąć podobny plan zemsty? Czy wiesz, za kogo mnie wezmą, gdy mnie pochwyć w nocy w pokoju sypialnym lady Letycji? Za zwykłego złodzieja, włamywacza! Czy zdołam usprawiedliwić to najście? Wyrzucą mnie po prostu za drzwi i nikt nie ośmieli się rzucić nawet cienia podejrzenia na lady Letycję. Czy znasz ją wuju? Jest to istota pełna czaru i godna najwyższego szacunku...

— Po co mamy się sprzeczać, Dawidzie? — przerwał stary. — Ja też znam się trochę na ludziach i ich słabościach... A czym się trudnią oni najchętniej? Ploteczkami i wzajemnym ośmieszaniem się w pogoni za sensacją. Zrób, czego od ciebie żądam i nie przejmuj się następstwami. Najście twoje wyjaśnić możesz, jak ci się podoba. Wróć do mnie, jeśli zechcesz, byleś tylko spełnił rozkaz. Wszystko się wyjaśni i zatuszuje. Pozostanie tylko fakt, że Dawid Thain był w nocy w sypialni lady Letycji.

— Wuju — jęknął Dawid. — Nie wymagaj tego ode mnie. Letycja była dla mnie zawsze miłą i uprzejmą. Czy dla dokonania zemsty musimy poświęcić dobrą sławę dziewczęcia? Rozkaż, bym zabił jej ojca, a uczynię to.

— Wcale o tym nie myślę. Śmierć nie jest żadną karą dla niego i dla jemu podobnych. Zresztą jest on za odważny na to, by bał się śmierci. Tylko jego

córka może być narzędziem mej zemsty. Spełnij moją wolę, Dawidzie, albo mnie zabij!

Na wpół przytomny, schwycił Dawid latarkę

— Idę!

Wszedł do lochu. Od czasu do czasu słyszał w swej imaginacji czyjeś kroki i przystawał pilnie nad-słuchując. Doszedł do ściany, pchnął ją nadludzkim wysiłkiem i...

Lady Letycja leżała na kanapce, otulona w nie-bieski szlafroczek i czytała książkę. Smolne łuczy-wa trzaskały na kominku, rzucając dookoła migotli-we blaski i cienie.

Nagle spostrzegła intruza. Otworzyła usta, jak-by chciała rzucić jakieś pytanie... Książka wysunęła jej się z ręki i spadła na gruby dywan.

Uniosła się i oparła obiedwiema rękami o po-duszkę, na próżno usiłując wymówić słowo.

I Dawid nie mógł otworzyć ust wkrótce jednak opanował się siłą woli. Zaczął mówić wyraźnie, choć głosem przyciszonym.

— Proszę mi pozwolić wyjaśnić, w jaki sposób znalazłem się tutaj. Nie żądam przebaczenia, ani też nie zamierzam podejść do pani bliżej. Idę z domu Vont'a podziemnym kurytarzem i spełniam rozkaz Vont'a, który zobowiązałem się spełnić pod przysię-gą.

Letycja przyszła już do siebie i zapytała spo-kojnie:

— Co pana zmusza słuchać ślepo rozkazów Vont'a?

— Jestem jego siostrzeńcem, tym chłopcem, który bawił się w pałacowym ogrodzie i który przypiął pani przed laty pasek do łyżwy na ślizgawce. Czym jestem i co posiadam, zawdzięczam Ryszardowi Vontowi. Onłożył na moje wykształcenie, on pożyczył mi pieniędzy, dzięki którym doszedłem do majątku. jednocześnie zobowiązał mnie do przysięgi, którą teraz właśnie spełniłem. Teraz, lady Letycjo wrócę tą samą drogą, którą tutaj wtargnąłem i proszę Boga, aby wyjednał mi przebaczenie pani.

W czasie, gdy mówił, do uszu jego doszedł lekki łoskot od strony miejsca, przez które wszedł. Podskoczył, usiłując wydostać się. Napróżno! Otwór w murze był zatarasowany.

Letycja śledziła przerażona jego ruchy.

— Przeklęty starzec! — jęknął Dawid. — Zamknął mnie tutaj.

Lady Letycja podniosła się.

— Rozumiem wszystkol — rzekła spokojnie. — Vontowi nie wystarczyło, że pan wszedł w nocy do mego pokoju. Podkraść się tutaj i odciął panu odwrót. Co pan teraz zrobi?

Spoglądał na nią bezradny.

— Wyskoczę oknem.

— Niepodobieństwo. Jesteśmy na pierwszym piętrze, a w dodatku ponad szklanym dachem umywalni. Mógłby pan się zabić, a co najmniej ciężko poranić, sytuacji zaś w jakiej pan się znajduje, nie poprawiło by to zupełnie. Spróbujemy znaleźć inne wyjście...

— Niech mne pani wypuści drzwiami. Gdy

Bym nawet natknął się na kogoś, to jakoś wytłuma-
czę moją obecność w pałacu.

Uśmiechnęła się.

— Czy pan tak źle się czuje w moim towarzy-
stwie, że panu tak pilno wyjść stąd? Czy mój pokój
nie jest miły? Zastanówmy się chwilę, któredy naj-
bezpieczniej dla pana było by wydostać się na zew-
nątrz.

— Jak to dobrze, że pani nie traci pogody du-
cha, że pani tak panuje nad sobą... Ale naprawdę
ja muszę już odejść. Chwili niema do stracenia...

— Niech się pan nie niecierpliwi, panie Dawi-
dzie. Zobaczę, czy nikt nas nie podpatruje...

Przeszła obok niego i przyłożyła ucho do dziur-
ki od klucza.

Nagle spowaźniała i ostrzegawczo wyciągnęła
rękę.

— Ktoś przeszedł przez dziedziniec! — szepnęła.
— Co to może znaczyć? Przecież już przeszło godzi-
nę jak wszyscy poszli spać. Niech pan czeka i nie
rusza się.

Oboje nadśluchiwali.

Nagle drgnęli. Ktoś szarpnął za dzwon alarmo-
wy. Wśród ciszy nocnej ponuro rozbrzmiały dźwięki
dzwonu.

— Jak na jeden wieczór to trochę za wiele uroz-
maiceń! — odezwała się Letycja.

Skoczył ku niej, widząc, że bliska jest omdlenia.

— Niech się pan mną nie przeraża! — prosiła.
— Czuję się już dobrze.

Ze dworu doszedł ich okrzyk: „Pali się“! po-
czym wszystko ucichło.

Na kurytarzu słysząc jednak było stuk otwie-

ranych drzwi i zbliżających się kroków. Na progu pokoju Letycji ukazało się kilka postaci. Markiz wszedł pierwszy. Ubrany był kompletnie. Ośłupiał, widząc Thaina, po chwili jednak, zdając sobie sprawę z sytuacji, spojrzał na córkę z przerażeniem.

— Boże miły! Pan Thain tutaj? Co do stu diabłów...?

Letycja podeszła do ojca.

— Ojczel! — rzekła błagalnie, nie będąc w stanie wymówić słowa więcej.

Markiz stał nieruchomo.

Letycja przeczytała w oczach narzeczonego i ciotki Karoliny, która też przybiegła, wyrok na siebie. Odwaga jej stopniała jak śnieg pod promieniami słońca. Zachwiała się.

Dawid podbiegł i ułożył ją na kanapie, po czym zwrócił się do obecnych. Właśnie w drzwiach ukazała się Sylwia i uczepiła się, na wpół omdlała, ramienia lorda Granthama.

— Czy poszaleliście? — krzyknął w uniesieniu. — Co z tego, że znalazłem się tutaj? Czy moja obecność nie może wynikać z jakiegoś nieszczęśliwego zbiegu okoliczności? Czy lady Letycja nie jest córką markiza of Mandeley? Czy nie jest narzeczoną lorda Granthama i bratanicą księżnej Karoliny? Czy rzeczywiście ktoś ośmielił się wątpić choćby na chwilę, że jedynie nieszczęśliwy przypadek przyprowadził mnie tutaj?

Wszyscy zdawali się oskarżać Thaina, nikt mu jednak nie odpowiedział.

Wtem wszedł kamerdyner Gossett i oznajmił drżącym głosem:

— Ogień już ugaszony, proszę jaśnie pana. Ktoś

rzucił na podwórze kilka suchych gałęzi i podpalił je, a potem pociągnął za dzwon alarmowy.

— Proszę przynieść natychmiast wody! — rozkazał Thain. — Czy Gossett nie widzi, że lady Letycja zemdląca z przerażenia?

Teraz i księżna Karolina ruszyła po sole orzeźwiające, a Sylwia po wodę kolońską.

Markiz podszedł do Thaina.

— W jaki sposób dostał się pan tutaj? — zapytał.

Podziemnym korytarzem z dworku starego Vonta! — odpowiedział Thain.

— A czy lady Letycja nie była wtajemniczona i uprzedzona o pańskich zamiarach? — spytał Grantham ochrypłym głosem.

— Tylko człowiek nikczemny może zadać podobne pytanie! — odpowiedział ostro Dawid. — Włamałem się tutaj z nakazu, któremu nie mogłem przeciwstawić się, a człowiek, który szedł za mną ukradkiem, zatarasował mi odwrót... Czy książę nie domyśla się, kim jestem? Jestem siostrzeńcem Vonta, który pała nienawiścią do księcia i zaprzysiągł mu zemstę, ja zaś, wbrew woli i przekonania, musiałem być narzędziem tej zemsty. Dziś wieczorem przyjął mi list, który został mi doręczony w czasie przyjęcia w pałacu. W liście swym żądał Vont, abym włargnął do sypialni lady Letycji, by w ten sposób ją skompromitować. Groził mi przy tym, że jeżeli nie dochowam danej mu kiedyś przysięgi na posłuszeństwo, pozbawi się życia w moich oczach. Niezawodnie to Vont zadzwonił na alarm, by mnie tutaj przychwycono. Bóg jeden wie, ile goryczy przełknąłem w tych kilkunastu minutach.

Letycja przyszła już do siebie.

— Dość już tej tragifarsy! — rzekła. — Pozwól, ojcze, by pan Thain się oddalił. Powiedział całą prawdę i... chciałabym pozostać sama!

Wychodząc z pałacu, Amerykanin zapytał cicho:

— Czy książę pozwoli, że powiem jeszcze kilka słów?

— Nie! — odpowiedział markiz. — Winę całego tego zajścia przypisuję sobie samemu. Przyjmowałem pana w moim domu, chcąc zastosować w praktyce nowoczesne zasady stosunków towarzyskich. Widocznie jednak nie można bezkarnie utrzymywać stosunków z lokajami i ich potomstwem. Ponieważ pan dostatecznie wyjaśnił cały ten incydent, nie ma potrzeby zastanawiać się dłużej nad nim. Zapatrywania pańskie są, niestety, inne niż nasze, panie Thain. Jeżeli pan szczerze żałuje tego, co się stało, to powinien pan jak najprędzej opuścić Broomsley i przenieść się w inne strony. Mój administrator zgłosi się do pana w tych dniach!

Markiz oddalił się bez pożegnania, a Dawid poszedł do Broomsley.

ROZDZIAŁ XXXVII

Nazajutrz z rana zjawiała się księżna Karolina przy śniadaniu w kostiumie podróżnym.

— Dzień dobry, Reginaldzie!

— Dzień dobry ci, Karolino. Wstałaś dziś najpierwsza ze wszystkich.

— Karolek Grantham odjechał z samego rana! — rzekła. — Zostawił u Gossetta liścik, w którym usprawiedliwia się jakimś pilnym interesem.

— To całkiem zrozumiałe, że się ulotnił! — odparł markiz.

— Ja też uciekam stąd, Reggy. Zadysponuj dla mnie konie na pociąg przedpołudniowy.

— Czy rzeczywiście uważasz za właściwe wyjechać teraz od nas, Karolino?

— Uważam, że jestem tutaj zbyt uczona. Przy całej mojej tolerancji sceny podobne do wczorajszej budzą we mnie niesmak. Jeszcze przed tygodniem wyśmiałabym projekt małżeństwa Letty z Thainem, dziś jednak mogę ci dać jedną tylko radę: wydaj ją jak najprędzej za Thaina!

— Porzuciłaś więc myśl zaproszenia Thaina do Szkocji?

— Naturalnie, że go nie zaproszę! A ty, Reginaldzie, co zamierzasz zrobić?

— Masz na myśli wczorajszy wieczór, prawda Karolino? Nie mam zamiaru być złym ojcem i wolę pozostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi i milczeć. Od dawna spodziewałem się, że Vont wymyśli coś idiotycznego...

Karolina spoglądała na brata drwi

— Czy zawinił tutaj wyłącznie stary Vont? — zapytała ironicznie.

Markiz przyjrzał się siostrze uważnie.

— Wyrażasz się nieco tajemniczo, Karolino i nie wiem, co właściwie wprowadza cię w zły humor. Dlaczego tak nagle chcesz wyjechać?... Przypuszczam, że mimo... doznanego rozczarowania, nie zapomnisz, że jesteś mi winna wdzięczność za to, żeś dowiedziała się pochodzenia tego Thaina.

— Nie obawiaj się, pamiętam o tym. Czy myślisz, że mi pilno zdradzić się z własną moją głupotą?... Czy Thain dostał się podziemnym korytarzem, czy też spadł z nieba, nie zmienia to jednak faktu, że przyłapaliśmy go w sypialni Letycji...

— Dość już tego tematu! — przerwał markiz opryskliwie i zaczął spożywać śniadanie.

Po kilku minutach wszedł Gossett i podał mu list, który markiz otworzył drżącą ręką, poznając charakter pisma.

„Reginaldzie, — pisała Marta. — wczoraj odbył się mój ślub z Jerzym Bordenem. Mam wrażenie, że kobieca część mego serca skłoniła mnie do tego kroku, gdyż od szeregu tygo-

Źni tęskniłam za mężem. Brak mi dalszych słów i proszę cię tylko o przebaczenie.

Twoja Marta“.

Błędnymi oczami wodził markiz po drzewach parkowych i bezwiednie włożył list z powrotem do koperty.

Marta odeszła... pustka przed nim i samotność.

— Wystygnie ci kawa, Reggy! — odezwała się Karolina. — Czy to list od Thaina?

— Niel Wybacz, że odejdę, Karolino, ale mam do załatwienia pilną sprawę.

Wstał i oddalił się powoli, przygarbiony.

Patrzała na niego uważnie. Tak... Reginald zestarzał się.

— Boże! — szepnęła. — Starość... jakże ją nienawidzę... Starość i... samotność...

Markiz wybrał w swej garderobie stary kapelusz filcowy oraz laskę, grubszą niż zwykle używał i skierował się ku dworkowi Vonta.

Starzec siedział, jak zwykle, na ławce i trzymał na kolanach biblię.

Markiz zatrzymał się przed ogrodzeniem z drutu.

— Ryszardzie Vont! — odezwał się. — Przyszedłem, by rozmówić się z wami raz jeszcze. Czy słyszycie, co mówię?

Vont siedział nieruchomy i milczał.

Markiz wyjął list Marty.

— Jesteście uparty i twarde macie serce, Vont. Czego nie wymyśliliście, by zemścić się na mnie? Ale to wszystko na próżno! Słyszycie?

Vont wciąż milczał. Markiz oparł się o ogrodzenie.

— Uwiodłem córkę waszą, to prawda. Ale kie-

rowała mną szczerą miłość. Chcę wam powiedzieć, jak zostałem ukarany. Szereg lat byłem z Martą szczęśliwy. Byłem jej wierny, tak jak wy, Vont jesteście wierni uczuciu zemsty, jaką do mnie pałacie. Z kapryśnej i rozżalonej dziewczyny zrobiłem damę, utalentowaną literatkę i kobietę, zadowoloną z życia. Słyszycie mnie Vont?... Słuchajcie co się dalej stało.

Starzec wciąż milczał. Markiz patrzył jak gdyby przez mgłę.

— Córką waszą sama dokonała zemsty, a uczyniła to w sposób stokroć dla mnie boleśniejszy niż wy uczyniliście wczorajszej nocy... Opuściła mnie i wyszła za mąż...

Żadnej odpowiedzi. Żadnego poruszenia!

Markiz przetarł oczy i ujrzał rzeczywistość w całej jej prostocie.

Przeskoczył ogrodzenie i pochylił się nad zastygłym ciałem swego zaciętego wroga.

Drżącymi palcami zamknął mu oczy. Potem zapukał do okna.

— Pani Wells! — zawołał. — Vont zasłabł!

— Boże miłosierny!

— Umarł. Niech pani pójdzie do miasteczka i poprosi lekarza, ja zaś uprzedzę jego siostrzeńca.

Powrócił do pałacu i natychmiast posłał do Broomsley.

— Gossett, — zwrócił się potem do swego kamerdynera. — chcę być sam i proszę nikogo do mnie nie wpuszczać.

Gossett skłonił się.

Był starym sługą i wiedział dobrze, że jego panu należy się spokój.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Ryszard Vont został pochowany na wiejskim cmentarzu. Za trumną ojca szła Marta w żałobie obok Dawida Thaina.

Po pogrzebie odprowadził ją do bramy.

— Czy poznaje mnie pani? — zapytał.

— Naturalnie. Pan jest siostrzeńcem mego ojca... Przecież bawiliśmy się tutaj nieraz. Poznaje twoje oczy, Dawidzie. Ojciec-nieboszczyk kochał cię zawsze bardzo.

— Byłem z nim razem długie lata w Ameryce. — mówił Dawid. — Gdy powróciliśmy, chciał, abym mieszkał oddzielnie. Wiesz przecież, Marto, co mu zatruwało życie.

— Wiem! — odparła. — To ja byłem przyczyną jego zgryzoły...

— Zobowiązał mnie, — mówił dalej Dawid. — abym mu dopomógł dokonać zemsty. Uczyniłem to i... zrujnowałem sobie życie... Pojedź ze mną do Broomsley, Marto.

— Nie mogę, Dawidzie. Chcę jeszcze zejść do mieszkania ojca. Zobaczymy się jeszcze nieraz...

— Zamierzam opuścić Anglię i powrócić do Ameryki. — rzekł Thain.

— Chciałeś przecież osiedlić się tutaj, Dawdzie?

— Tylko dlatego, by być w każdej chwili na usługi wuja. Dziś, gdy spełniłem jego wolę, wrócę do mojej przybranej ojczyzny, bo własną straciłem...

— Coś zrobił markizowi? — zapytała Marta.

— Staralem się go zrujnować i rzucić cień na jego córkę... Ale nie mówmy o tym, Marto. Niezadługo dowiesz się o wszystkim... Pozwól teraz, że cię pożegnám, skoro nie chcesz jechać ze mną do Broom-sley.

Zanim zdołała mu odpowiedzieć, już się oddalił.

Obejrzała się, a widząc markiza, zrozumiała przyczynę pośpiechu Dawida.

Markiz podszedł do niej.

— Jeżeli idziesz do dworku, — rzekł. — to cię doprowadzę.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Wreszcie markiz odezwał się:

— Nie traćmy na próżno słów... Życie twego ojca zatrute było przeciwieństwami, które znasz dobrze, a za które oboje ponosimy odpowiedzialność. Główną atoli przyczyną tej ciągłej udręki był jego upór. Sprawiedliwości jednak musi się stać zadość, choć jak dotychczas nie widzę, w jakiej formie to się przejawia...

— Istotnie, — odpowiedziała. — ojciec był nierozsądny i z góry odrzucał każdą próbę pojednania.

— A czy wiesz, Marto, że siostrzeniec ojca, a mój nowy lokator w Broomsley, był, wbrew swej woli, narzędziem zemsty ojca?

— Tak, wiem o tym! — rzekła.

— Ja pierwszy zobaczyłem ojca twego nieżywego. — ciągnął dalej markiz. — Gdy tylko odebrałem twój list, poszedłem zaraz do niego, by mu zakomunikować nowinę, sądziłem bowiem, że nienawiść jego nareszcie ustanie. Niestety list twój czytałem już przed trupem. Myślę, że umierając, był przeświadczony, że dokonał zemsty i że przeświadczenie to napawało go radością...

Marta chciała odpowiedzieć, powstrzymał ją jednak ruchem ręki.

— O tym wszystkim mówię ci, Marto, byś mnie zrozumiała w godzinie naszego rozstania się.

— Samotność, Reginaldzie, będzie dla ciebie na-
był uciążliwą...

— Nie, Marto. Świadomość, że ty już nie jesteś osamotniona, jest dla mnie ulgą. Rozpoczynasz nowe życie i będziesz dla twego męża tak potrzebna, jak byłaś dla mnie przez te długie lata... To jest całkiem naturalne i dlatego musimy się rozstać.

Wskazała na dworek starego Vonta.

— Ten domek należy teraz do mnie, Reginaldzie. Zwracam ci go.

Markiz patrzył w zamyśleniu na przedmiot tak długiego sporu.

— Chociaż to jedno życzenie moje spełniło się... Inne — nigdy chyba nie urzeczywistnią się... Tam dalej stoi twój samochód, Marto. Czy to mąż twój daje ci znaki ręką?

— Tak, to on! — rzekła

— Idź do niego!

— Podejdźmy razem. — rzekła cicho.

— Nie, Marto. Idź sama. Pozdrów twego męża

oǒe mnie i przyjm życzenia szczęśliwego z nim współżycia. Bądź zdrowa!...

Odeszła i zbliżyła się do samochodu, przed którym stał jej mąż i łkając oparła się o jego ramię.

— Zabierz mnie stąd Jerzy! Uwieź jak najprędzej!

Po pogrzebie wuja Dawid oddał się pracy. Nieustannie odbierał i wysyłał depesze i listy.

Przed chwilą właśnie wręczył mu sekretarz kablogram który mu przypomniiał rozmowę z Letycją, gdy go przepraszała za niesłuszne podejrzenia. Akcje „Plutona“, które też miały być narzędziem zemsty Vonta i nie warte były jednego dolara, trudno było już kupić po ośm dolarów. Ropa naftowa wytrysnęła w ilościach niesłychanych. Tereny naftowe miały wartość miliardową.

Czterdzieści tysięcy funtów markiza warte dziś były czterekroć sto tysięcy.

— Czy to nie dziwne? — powiedział Thain do swego sekretarza, który pracował z nim jeszcze w Ameryce i cieszył się całkowitym jego zaufaniem.

— Istotnie niezwykły wypadek, panie szefiel — odparł sekretarz Jackson. — Wszystko, czego się pan dotknie, zamienia się w złoto.

— Czyżby? — rzekł Thain z powątpiewaniem.

— Kupiłem i dla siebie trochę tych akcji... — mówił dalej Jackson. — i płaciłem za nie po siedemdziesiąt centów za sztukę.

— Ale miliona pan chyba nie zarobił, bo w takim razie nie chciałby pan więcej u mnie pracować, prawda?

— Co znowu, panie szefiel Z tego, co dotychczas zaoszczędziłem, a obecnie zarobiłem, mogę co

najwyżej zabezpieczyć sobie starość. Więcej zresztą nie chcę... Dobrze mi u pana!...

Po chwili milczenia sekretarz zapytał:

— Czy pan szef ma zamiar powrócić do Ameryki? W takim razie należałoby uważać za stracone pieniądze, jakie pan włożył w przebudowę i urządzenie willi.

— Nie jestem jeszcze zupełnie zdecydowany. — odpowiedział Thain, obojętnie. — Jest tu kilka listów, na które należy odpowiedzieć. Niech mi pan da je potem do podpisu.

Po wyjściu sekretarza Dawid zatopił się w myślach. Przebiegł pamięcią swój krótki pobyt w Anglii i to szczęście w interesach, jakie mu sprzyjało. Tylko osobiste jego pragnienia nie urzeczywistniały się tak, jak nie spełniła się zemsta jego wuja... Przecież akcje „Plutona“ przyniosły markizowi majątek miast zrujnować go do reszty, a wtargnięcie do sypialni lady Letycji ośmieszyło nie ją, lecz tylko jego i uniemożliwiło mu dalszy pobyt w Anglii... Markiz może teraz oczyścić swe hipoteki, on zaś musi ponownie porzucić ojczyznę...

Opuścił głowę smutny i upokorzony.

Nagle ocknął się, słysząc czyjeś kroki.

Otworzył oczy i osłupiał. Przed nim stała lady Letycja, cokolwiek blada, ale uśmiechnięta.

— Niech pan się nie przeraża, nie jestem duchem! — rzekła. — Chodźmy do ogrodu. Chciałabym chwilę z panem pomówić...

W milczeniu szedł za nią, tak strwożony, że chwilami chciałby uciec od niej.

Jakby przeczuwając to, przysunęła się ku niemu bliżej.

— Pomówmy spokojnie i rozsądnie! — rzekła.
— W ostatnich dniach żyliśmy jak gdyby przytłoczeni ciężarem kamieni. Przybiegłam tutaj, aby przywrócić sobie i panu równowagę ducha. Usiądźmy tutaj... w tym samym miejscu, w którym już raz siedzieliśmy...

Siedli na tych samych fotelach ogrodowych, Dawid jednak wciąż nie mógł jeszcze opanować się i nie był w stanie wymówić słowa.

— Przeszłam myślami wszystko, co przeżyliśmy — odezwała się Letycja. — i odczuwam potrzebę wywnętrzenia się przed kimś. Pan jest jedynym człowiekiem, przed którym mogę to uczynić...

— A pozostali goście pani, krewni, bliscy?...

— Opuścili nas! — rzekła. — Nazajutrz z rana po pańskiej nocnej... wizycie, wszyscy się rozjechali. Pierwszy ulotnił się mój narzeczony, lord Grantham. Pozostawił list, w którym pisze, że mi nadal ufa, jednak ważne interesy powołują go do Londynu... W ślad za nim wyjechała ciotka Karolina... Co najdziwniejsze to to, że ciocia zarzucała mi, iż pokrzyżowałam pewne jej plany, dotyczące pana... Przy tym wszystkim zapewniała mnie, że żadna kobieta w naszej rodzinie nie byłaby zdolna popełnić coś niewłaściwego... Mimo to jednak ulotniła się tak samo prędko, jak mój narzeczony...

— A panna Sylwia Lacey? — zapytał Dawid.

— Przyszła do mnie z miną niewiniątka, prosząc o chwilę rozmowy w parku. Pytała mnie, czy jestem zaręczona z Karolkiem, bo jeżeli tak, to oświadczyła mi, iż gotowa jest wstąpić do klasztoru, tak bardzo go kocha... Przypuszczalnie Karolek naprawdę zawrócił jej głowę swymi umizgami... Bogu dzięki, pewno doszedł do przekonania, że nigdy mnie

szczerze nie kochał. Sylwia ma teraz otwartą drogę...
O trzeciej po południu wyjechała z Mandelej...

— Boże drogi! — jęknął Dawid. — I temu wszystkiemu ja jestem winien?!

— Tak! — rzekła Letycja. — Wyjaśnienia, jakie pan złożył, były szczerze i prawdziwe i nikt nie zdawał się wątpić w ich prawdziwość. Mimo to jednak fakt, że pan wszedł do mej sypialni podziemnym korytarzem, o którego istnieniu nawet ojciec mój nie wiedział, oraz drugi fakt, że zemdlałam — wzbudziły różne domysły i powątpiewania. Tak przynajmniej dowodziła na wyjezdnym ciotka Karolina.

— Jutro z rana chcę jechać do Londynu! — oznajmił Dawid. — Do chwili obecnej nie mogłem naturalnie nic przedsięwziąć, by naprawić zło... Całe życie będę pani wdzięczny za to, że pani tu przyszła... Starałem się zawsze postępować tak, by nie wstydzic się swych czynów i to udawało mi się jakoś... Ów wieczór i owe straszne chwile w pokoju pani były dla mnie piekłem. Jeżeli dobroć pani i tę wizytę uważać mogę za przebaczenie, to po wyjeździe stąd będę ludziom śmiało patrzył w oczy...

— Ale dlaczego pan chce stąd wyjechać? — zapytała dziwnym cichym głosem.

Serce Dawida zabiło silniej, a oczy pożerały ją. Uśmiechnęła się doń radośnie.

— Dlaczego chcę wyjechać? — rzekł, a głos jego brzmiał dzwicznie. — Czy nie jest moim obowiązkiem usunąć się zupełnie, by zatrzeć we wspomnieniu pani tę fatalną godzinę, w której postąpiłem jak tchórz? W sobotę wracam do Ameryki. Zamówiłem już telegraficznie kabinę na okręcie.

Pochyliła się ku niemu i wzięła go za rękę.

— Panie Dawidzie! — rzekła. — Im więcej zastanawiam się nad tym, co się stało, tym jaśniej zdaję sobie sprawę, że nie mógł pan postąpić inaczej, jako pan postąpił. Jednej tylko drobnej rzeczy nie umiem sobie wyjaśnić... Czy owe akcje naftowe nie stanowiły części planu zemsty Vonta? Stary Vont napewno nie chciał, aby ojciec mój osiągnął dzięki panu korzyści materialne, prawda?

— Byliśmy pewni, że akcje te są bezwartościowe. — rzekł Thain śmiało i szczerze. — Ojciec pani miał być doprowadzony do ruiny majątkowej. Stało się jednak wręcz przeciwnie... Dziś akcje przedstawiają olbrzymią wartość i ojciec pani może całkowicie oczyścić hipoteki i rozbudować swoje folwarki. Pani, panno Letycjo, zjawiała się u mnie, jak dobry anioł i raczyła mi przebaczyć. Niech pani spełni jeszcze jeden dobry uczynek i poprosi ojca, by zatrzymał akcje, stanowią one bowiem jego własność. Nie potrzebuje nawet mi dziękować, nie moja bowiem w tym zasługa, że na dzikich polach Arizony wytrysnęła nafta i to w takiej obfitości.

— Ojciec mój bardzo się zmienił w ostatnich dniach. — odpowiedziała Letycja. — Wygląda jak starzec. — Widocznie ma jakieś nowe przykrości...

— Czy ojciec pani wie, że mi pani przebaczyła? — zapytał Dawid.

— Spodziewa się nawet, — szepnęła. — że mnie pan odprowadzi do Mandelej i zostanie u nas na obiedzie...

Spojrzał jej w oczy, wziął za obydwie ręce i... przycisnął do siebie.

Odetchnął pełną piersią. Rozwarły się przed nimi wrota do raju i zapomniał o świecie całym.

Wreszcie Letycja podniosła się, ujęła go pod ramię i wprowadziła do domu.

— Teraz możesz mi pokazać swoją bibliotekę, Dawidzie!

— — — — —

Gdy po dłuższej chwili podchodzili do pałacu, Dawid wskazał na dworek Vonta.

— Wiesz Letycjo, że w tym dworku mieszkałem przed laty? Że mój ojciec i dziad byli wiernymi sługami twych rodziców i dziadków?

— Wiem! — odrzekła. — Nie zapomniałam niczego, ale nauczyłam się niejednego. Nie będę przed tobą ukrywać, że dumna jestem z mego rodu, ale są to tylko słabostki, które nie zamącają nam wspólnego szczęśliwego życia... Nie mów nic, najdroższy. Byłeś dotychczas dzielny i jestem dumna z ciebie. Moją zaś jedyną zasługą jest to, że urodziłam się w moim środowisku.. Muszę ci jednak coś jeszcze powiedzieć. — dodała uśmiechając się załotnie. — Zgadnij, co zamierzał zrobić ojciec, gdy mu powiedziałam, że wybieram się do ciebie?

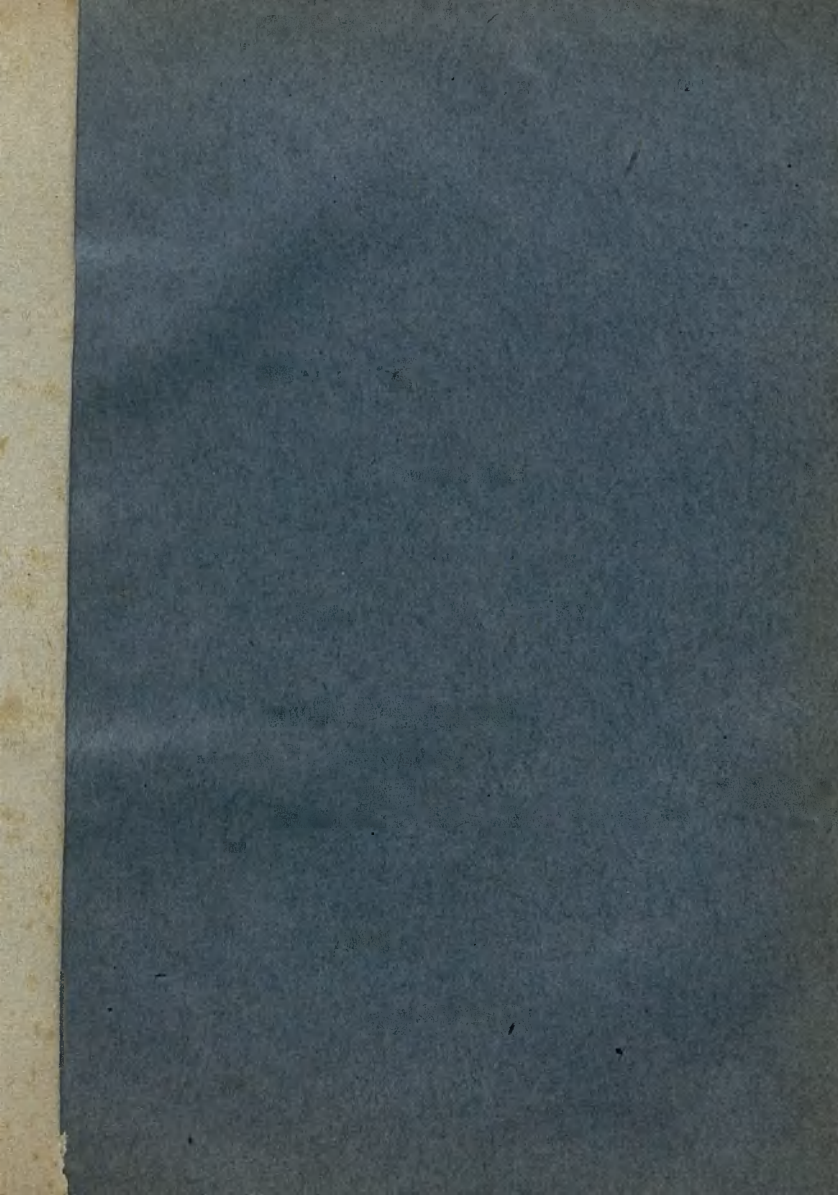
— No, co takiego?

— Zamierzał wysłać do swego adwokata, pana Wydhama jr. liścik z zapytaniem, jaka jest obecna wartość akcji „Plutona“. Zawsze był pewny, że akcje, dostarczone mu przez ciebie, muszą pójść w górę... I miał rację...

— On jeden, dobry mój stary i mądry ojciec, poznał się na tobie od razu i ocenił cię należycie! — dodała, uśmiechając się doń wciąż mile.

KONIEC.





Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030001722739



I 1755382

SL